

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(59) 2009

Głosy o haniebniej depolonizacji ♦ S. Palka rozmawia z godnym Księdzem ♦ J. Jania o Kamieńcu Podolskim ♦ O lwowskim Ratuszu ♦ Wrzesień 1939 ♦ J. Kapłon wspomina Karpackie Towarzystwo Narciarzy ♦ O Ormianach i ich kulturze ♦ Wspomnienia z domu, z młodości, ze szkoły, z II wojny ♦ Sylwetki

KONIEC CZY KONTYNUACJA?

Trzy czwarte roku 2009 za nami. To już piętnasty rok istnienia naszego kwartalnika. Mimo różnych obaw, jakie przez te lata nas od czasu do czasu nękały, wydaliśmy z górą 60 zeszytów. Zyskaliśmy sobie uznanie w wielu miejscach kraju i wśród licznych Czytelników, także za jałtańskim kordonem.

Kiedy się przegląda ów ilościowy dorobek, można spostrzec, jak ogromną porcję wiedzy udało się zebrać i przekazać Czytelnikom oraz Internautom: o historii i kulturze ziem południowo-wschodnich, o miejscach, rodzinach i wybitnych Polakach, którzy stamtąd się wywodzili lub tam osiedli, a także o tych, którzy po wygnaniu utrwaliли dobre imię Polski, Lwowa i całej rodzinnej Małopolski Wschodniej.

Dlaczego uważamy to za ważne? Dlatego, że nie wszędzie można się o tych wszystkich sprawach dowiedzieć, że ciągle działają siły – wewnętrzne i zewnętrzne – które usilnie starają się, by Polacy zapomnieli o wielkiej części swojej narodowej historii. O dziejach tej części swego kraju, która przez wieki broniła całości ziem polskich, a nawet więcej – Europy i jej kultury. To w ziemie wschodnie uderzały niezliczone najazdy mongolskie, tureckie, rosyjskie – carskie i sowieckie, to one najczęściej ucierpiały na zaborach i okupacjach, a wreszcie na trwałej aneksji połowy kraju. I tu różne myśli przychodzą do głowy...

O tym wszystkim nie uczy się młodzieży, nawet przyszłych nauczycieli. Nie publikuje się – z całym rozmysłem. Przeciętny Polak coraz mniej wie, coraz mniej kojarzy, a w konsekwencji, co najgorsze, zagubił poczucie narodowej godności.

My, ludzie z ziem wschodnich – a w każdym razie starsze pokolenie – widzimy to wszystko zapewne ostrzej, bo chyba przeżyliśmy więcej. Mamy za sobą trzy okupacje, tragiczne masowe deportacje na nieludzką ziemię, trzy czwarte ofiar Katynia i tyleż poległych w walkach na Zachodzie i Wschodzie, a potem ludobójstwo, ekspatriację i rozproszenie po nowej Polsce i po wszystkich krajach i kontynentach świata. Czegóż więcej potrzeba?

To trzeba poznawać i przekazywać innym, żeby nie było lekceważone. Żeby doceniać wartości, które ktoś chce przed nami pomniejszyć lub ukryć. Żeby wyzbyć się naiwności wobec doraźnie tworzonych wersji historycznych – w istocie ahistorycznych, bardziej politycznych niż merytorycznych.

Wszystko to nie oznacza, że zajmujemy się polityką. Przeciwnie – materiały, które najchętniej zamieszczamy, dotyczą normalnego życia ludzi wybitnych i zwykłych, wydarzeń publicznych i domowych, miejsc bliskich i szczególnych, kultury wysokiej i codziennej. To są nasze tematy powszednie, dopiero wśród nich pojawiają się sprawy wielkiej historii – historii Polski, w której nasze strony miały udział znaczący, czasem decydujący. Ale o tym już była mowa.

Napływ materiałów mamy niemały, lecz nie unikamy także przedruków – naukowych, publicystycznych czy literackich, jeśli zasługują dziś na przypomnienie. Naszą mocną stroną – jak sądzimy – jest omawianie mało uświadomionych czy wręcz ujawnianie nieznanymi tematami historycznymi. Przykładem sprawa prapolskich Łędzian, znana dopiero od niedawna nielicznym historykom, albo problem naszego miejsca na styku dwóch dość obcych sobie kultur. Problemy współczesne stały się przedmiotem licznych rozmów ze specjalistami, jak ostatnio – z dr Lucyną Kulińską, z ks. prof. J. Wołczańskim, czy z p. Z. Malikiem o szkołach kadeckich II Rzeczypospolitej. Nasze kresowe piśmko, jedyne w Polsce południowej, staramy się redagować z pożytkiem dla wszystkich życzliwych Rodaków, a także dla pamięci.

Warto na koniec dodać, że w każdym numerze CL zamieszczamy porcję informacji o pomocy Rodakom, o kulturze, wreszcie o książkach. W tej ostatniej dziedzinie nie tylko przedstawiamy Czytelnikom wschodniomałopolskie lektury, ale przygotowujemy materiały

MIASTO JAK BRYLANT... (7)

Był czas, że nasi sprzymierzeńcy i gospodarze – zwłaszcza gdy im się zaczęło powodzić na froncie – zaczęli mówić na temat swych granic zachodnich. W takich rozmowach Lwów, Wilno, Grodno, Białystok – według ich mniemania – były miastami sowieckimi, ukraińskimi, litewskimi i białoruskimi, do których Rosja sowiecka ma rzekomo historyczne i wszelkie inne prawa.

Postawa nasza w tej dziedzinie była nieustępliwa, nieugięta, harda. Niemniej trzeba było na to coś odpowiedzieć i to tak, by odpowiedź ta miała wartość i na przyszłość dla naszej sprawy, by związać ją z wartościami innymi, które łącznie wzięwszy podniosą poziom ducha Dywizji.

Powstał więc projekt nadania naszej Dywizji imienia Lwów. Naturalnie władze sowieckie nie zgodziłyby się na taką polityczną nazwę, dlatego Dowódca Dywizji zdecydował dać tę nazwę małą literą*.

To miało swoją wymowę i wartość, gdyż wszyscy wiedzieliśmy, dlaczego tak właśnie się stało. Żołnierze byli dumni z tej nazwy. Później, w odpowiednim czasie, ta mała litera „l” urosnie, stanie się wielką i wtedy ten Lwów, ten zawsze WIERNY LWÓW będzie znów walczył, będzie bił i zwyciężał nie tylko tam, w Kraju, ale i na każdym innym polu walki, wszystko jedno, gdzie ono będzie się znajdowało: w Afryce czy Azji, czy gdziekolwiek w Europie.

Dywizja Lwów. Wspomnienia żołnierskie z ZSRR i Iraku, 1941–1943.

** Dywizja Lwów*

Znów przypomniał mi się Lwów i ten dziwny lwowski ludek, mający w sobie tyle życia, energii, humoru i wiary. Kochani Lwowiacy!... Gdzie was nie ma?... Chyba najmniej was we Lwowie, bo nie ma na świecie takiej dziury, gdzie by nie można było spotkać kogoś ze Lwowa. Nawet do Tocka zawędrowali i już robią ruch!... Już się organizują!... Już mają batalion „Lwowskich Dzieci”! [...] Nie jestem Lwowianinem, ale jakże często myślałem właśnie o Lwowie... I tu muszę się przyznać do jednej rzeczy, która komuś może wydać się śmieszną, głupią lub nieprawdopodobną... Myślałem nie o pomniku Mickiewicza czy Sobieskiego, nie o panoramie Raclawickiej, nie o pamiątkach historycznych czy dziełach sztuki, ale o rzeczach codziennych, zwyczajnych, na które w normalnym życiu nie zwraca się prawie żadnej uwagi, a które we wspomnieniach nabierają specjalnego uroku. Może ktoś nazwać to małostkowością, ale kiedy przypominałem sobie bufet u Telickowej, „fiakra” stojącego na rogu Rejtana albo mały tramwaj, z trudem wspinający się pod górę przez ulicę Kopernika, czułem tak wielkie wzruszenie, że łzy napływały mi do oczu.

Feliks Konarski (Ref-Ren), *Piosenki z plecaka Helenki*, komentarz do powstałej w 1941 piosenki *Naprzód, Lwowskie Dzieci*.

Bądź zdrowy, Lwowie!

Chociaż z ostatnimi opuszczam mury Twoje prawiekowe
I chociaż biorę garść Twej Świętej Ziemi na życie nowe –
Czuję się zdrajcą, żem w ciężkiej potrzebie
Nie zginął raczej – nimem rzucił Ciebie.

Przebacz mi, Lwowie!

W godziny wieczorne, gdy słucham z sercem ciężącym jak ołów
Czy może dzwony usłyszę nieszporne z Twoich kościołów –
Modlitwy moje w Twoją lecą stronę –
Grodzie mych ojców, miasto wymarzone.

W daleką stronę rzucicieś nas Boże!

Ludzie tu obcy, dusze ich jałowe,
Nie rozumieją, jak tęsknić może serce kresowe –
Nie mogą pojąć, że na śląskiej ziemi
Lwów nam się marzy z kościoły swojemi.

Autor nieznanym (uczestnik ostatniego transportu repatriacyjnego ze Lwowa), *Bądź zdrowy, Lwowie*, 1946.

Stanisław Kostecki

Ani słowa po polsku

Sytuacja języka polskiego w Kościele rzymskokatolickim na Ukrainie

i ukraińskiego. Ludzie zachowali wielki sentyment do języka polskiego i nie ma parafii na Ukrainie, gdzieby parafianie nie prosili kapłana o mszę św. w języku polskim, ale

Obserwując wiele pozytywnych zmian, które zaszły w Kościele rzymskokatolickim na Ukrainie w ostatnim dziesięcioleciu, trzeba jednak zaznaczyć, że najbardziej obecnie niepokojąca jest sytuacja językowa w Kościele. W każdej parafii na Ukrainie, pomijając Zakarpacie, zdecydowaną większość pod względem narodowym stanowią Polacy. Jednak mamy dziś coraz więcej parafii, gdzie tak w liturgii, jak i nawet w paraliturgii, przestał być używany język polski. W wielu innych parafiach ulegają redukcji nabożeństwa w języku polskim. Przy tym warto zaznaczyć, że tego rodzaju zmiany zachodzą bardzo często przy absolutnym ignorowaniu woli wiernych.

Rozumiejąc misję Kościoła w głoszeniu Słowa Bożego w języku ojczystym dla każdego narodu, trudno zrozumieć, dlaczego właśnie w stosunku do języka polskiego stosowana jest redukcja, której skutkiem jest uniemożliwienie Polakom Ukrainy usłyszenia Słowa Bożego w języku ojczystym. Ale najgroźniej wygląda sytuacja dotycząca katechizacji oraz nabożeństw dla dzieci i młodzieży, gdzie język polski jest obecnie praktycznie nieużywany.

Prasa katolicka wydawana na Ukrainie jest też przeważnie w języku ukraińskim. Na niejednokrotne prośby – na przykład skierowane do redakcji wydawanej w Kijowie „Gazety Parafialnej” – o drukowanie chociażby jednej strony w języku polskim, żadne zmiany nie nastąpiły. W tej sytuacji budujący i godny naśladowania jest przykład wydawanego w Ostrogu czasopisma „Wołanie z Wołynia”, które ukazuje się w dwóch wersjach: ukraińskiej i polskiej.

Problem komplikuje słaba znajomość języka polskiego wśród Polaków Ukrainy, która jest skutkiem dwuwiekowego przesładowania Polaków i języka polskiego na tych terenach. Ale słaba znajomość języka polskiego nie oznacza wcale słabego rozumienia, ponieważ sprawie rozumienia pomaga podobieństwo języków polskiego

– jak powiedziałem na wstępie – mamy na Ukrainie coraz więcej parafii, w których już słowa po polsku nie usłyszysz. Trzeba zapytać, czy takie traktowanie języka polskiego nie jest właśnie przyczyną tego, że tak mało inteligencji polskiej praktykuje dzisiaj w Kościele katolickim na Ukrainie?

Jednak są i innego rodzaju przykłady, kiedy księża, widząc tak wielką potrzebę posługiwania się językiem ojczystym wśród Polaków, organizują nauczanie języka polskiego i nawet sami występują w roli nauczycieli. Z tego względu, że są to dość rzadkie zjawiska na Ukrainie, tym bardziej chciałbym takim księżom, siostronom i braciom zakonnym za ich rozumienie sytuacji powiedzieć – Bóg zapłać.

Nowa sytuacja językowa w Kościele rzymskokatolickim na Ukrainie została już zauważona przez przedstawicieli władzy państwowej Ukrainy. Wstępna analiza badań naukowych poświęconych sytuacji językowej w tym Kościele, prowadzonych przez oficjalne instytucje ukraińskie, jednoznacznie wskazuje na to, że proces ukraińzacji życia religijnego w Kościele rzymskokatolickim na Ukrainie jest odbierany jako szansa ostatecznego wynarodowienia Polaków mieszkających na Ukrainie. Dlatego lęk Polaków na Ukrainie o to, że Kościół zostanie wykorzystany jako instrument ich dalszego wynarodowienia jest, moim zdaniem, uzasadniony. Gorzkie słowa wypowiedziane przez człowieka-legendę księdza prałata Antoniego Homickiego, który na parę dni przed śmiercią w 1992 roku powiedział: *To, czego nie potrafili dokonać carat i komuniści, mogą dokonać księża z Polski* – niechże posłużą jako wielka przestroga dla nas.

Autor jest prezesem Związku Polaków na Ukrainie. Powyższy tekst jest zapisem referatu wygłoszonego na II Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy, który odbył się w maju 2001 r. w Warszawie, Pułtusku, Krakowie i Częstochowie.

List do Arcybiskupa

JE ks. Mieczysław Mokrzycki, Arcybiskup Metropolita Lwowski

Z ogromnym niepokojem wierni Kościoła rzymskokatolickiego we Lwowie ponownie zwracają się do JE Abpa Mieczysława Mokrzyckiego z prośbą o zaniechanie manipulacji językowych w liturgii Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie (w tym w Katedrze Łacińskiej we Lwowie).

Od kilku tygodni w lwowskiej Katedrze do nabożeństw z udziałem dzieci i młodzieży wprowadzany jest język ukraiński. Zmiany te odbywają się bez konsultacji z wiernymi i bez porozumienia z rodzicami dzieci. Zmiany wprowadzone w Katedrze Łacińskiej we Lwowie są tym bardziej niepokojące, iż w taki właśnie sposób zaczynała się ukraińszczenie Polaków za Zbruczem, która postępuje w sposób nieodwracalny.

Chcemy przypomnieć zwierzchnikom kościoła na Ukrainie, że mamy prawo do słuchania Słowa Bożego w języku ojczystym, takie są bowiem ustalenia Soboru Watykańskiego.

Św. Sobór Powszechny Watykański II (Konstytucja o św. Liturgii) wydał normy dotyczące używania języka w liturgii kościoła rzymskokatolickiego. Są to języki narodowe (ojczyste), a nie język państwowy. Skoro już wówczas zauważono ważny element w stosowaniu języka ojczystego w ewangelizacji i głoszeniu słowa Bożego, zwracamy się do Abpa Mieczysława Mokrzyckiego i Episkopatu Ukrainy o uszanowanie naszego prawa do modlitwy w języku narodowym. Prosimy o niewprowadzanie „mieszanych rozwiązań”, ponieważ wprowadzanie języka „mieszanego” odbywa się ze szkodą dla powagi liturgii.

Mimo że w większości parafii rzymskokatolickich na Ukrainie przeważają ilościowo Polacy bądź Ukraińcy pochodzenia polskiego, obserwujemy ciągłą redukcję języka polskiego. Język polski zanika w kościele. Bardzo bolesny jest fakt, że przy wszelkich zmianach zwierzchnicy ignorują potrzeby wiernych. Powstaje nieodparte wrażenie, że jest to działanie celowe. Prosimy o to, aby o języku katechezy, wydawnictw, nabożeństw z udziałem dzieci i młodzieży mogli

decydować rodzice, a nie wyłącznie księża i siostry.

Mieszkający na terenie Lwowa i zachodnich województw obecnej Ukrainy Polacy przywiązani są do rodzimych tradycji, obywateli, również do swego języka ojczystego, w którym od wieków modlą się w świątyniach. W wielu regionach Ukrainy wprowadzenie czytań w języku ukraińskim było pierwszym krokiem do wprowadzenia ukraińszczenia wiernych i uniemożliwienia głoszenia słowa Bożego w języku polskim. Język polski w wielu parafiach zamieszkiwanych przez Polaków jest praktycznie nieużywany, księża posługują się „surżykiem” – mieszkanką języków polskiego i ukraińskiego. Taka sytuacja ma też miejsce od pewnego czasu w Katedrze Łacińskiej we Lwowie, gdzie pracują kapłani o żenującej sprawności językowej, niektórzy z księży mają problem z wysławianiem się w obydwu językach. Jest to proces groźny i niebezpieczny, wiernych uwstecznia. a kapłanów utwierdza w przekonaniu, że ich znajomość języka jest wystarczająca.

Władze kościelne i poszczególne parafie na Ukrainie pozyskują znaczne środki finansowe od polskich instytucji rządowych i pozarządowych motywując potrzeby (organizacja pielgrzymek, wyjazdów, renowacja kościołów, dofinansowania, etc.) krzewieniem tradycji i kultury polskiej, po czym następuje: usuwanie polskich napisów z tabliczek, odmowa sprawowania liturgii w języku polskim mimo próśb wiernych, co jest nagminne w mniejszych miejscowościach, odmowa odprawienia drogi krzyżowej po polsku dla dzieci itd.

Pochylając się nad ustaleniami Konstytucji o Liturgii, warto również podkreślić fakt, iż wierni mają swoje miejsce i rolę do spełnienia w zgromadzeniu liturgicznym. Liturgia to działanie ludu, dla ludu i z ludem ku Bogu. Duchowni spełniają w niej rolę przewodniczących koncelebracji. Niech więc księża oddadzą Bogu, co Boskie, a wiernym to, co do wiernych należy: prosimy o Słowo Boże w języku ojczystym, bez polityki i bez pogardy dla naszych uczuć i potrzeb.

W załączniku podpisy.

Tadeusz Krzyżewski

SERCE LWOWA

Dokąd cię zaprowadzi życie na ostatnie „żniwo wędrówek”? – Może jeszcze niejednokrotnie wypadnie ci wrócić do rodzinnego miasta po latach rozłąki, a może trzeba ci będzie przemierzyć oceany i na obcym brzegu założyć swój Dom Nowy?!

Bywa tak często wojennym i powojennym czasem. Nic to – po roku, dwóch lub dwudziestu zatęsknisz, nostalgia ściśnie cię przemożnym chwytem za serce – i wrócisz, by raz jeszcze ujrzeć miasto w pasji nieraz wzgardzone, a tak głęboko ukochane!

Wyda ci się wówczas pięknym podwórko domu, w którym ujrzales pierwszy raz światło dzienne; głęboką zadumę wywoła w tobie dźwięk sygnaturki sąsiedniego kościółka, a stary, często „puđem” nazwany ratusz stanie się w oczach twych najcenniejszym sanktuarium pamiątek młodości, wiecznie żywo bijącym sercem całego, gwarne go miasta.

Gdy skronie ubieli siwizna – tak urzekająco brzmi opowieść o „dawnych, lepszych czasach” – położysz wtedy dłoń na słońcem wygrzanym grzbiecie lwa ratuszowego i przypomnisz mu: – Byliśmy obaj młodzi. Widzieliśmy niejedno – i Ty i ja. Wichry nas szarpały burzliwe, a twój bliźniak na szczycie wieży ratuszowej umieszczony tam jeszcze z początkiem XVII wieku przez sławetnego burmistrza Marcina Kampiana,

wskazywał miastu jako chorągiewka wiatrem obracana zmiany losu. Pamiętasz tę złowrobną noc 1672, gdy wiatr od wschodu złamał szczyt wieży i lwiego brata wraz z herbami miasta zrzucił na bruk? – Wiedzieli mieszczanie, że oznacza to zbliżanie się klęsk i nieszczęścia. Jakoż przecież, wkrótce po tym nastąpiło najstraszniejsze w dziejach Lwowa oblężenie tureckie – odparte w końcu pomyślnie.

A gdy na jakiś czas przed zdobyciem i złupieniem miasta przez Szwedów w roku 1704 wiatr znowu strącił go z wieży, a w 1706 piorun zniszczył szczyt ratusza w zupełności – zrozumieli czujni obywatele, że ciężkie idą czasy dla rodzinnego grodu. Widziałeś też, w ciągu następných lat, jak nawet ciągłe wojny nie wystarczyły do zupełnego pogńębienia miasta – straszną zarazę, ciągłe pogrzeby, głód, więzienia, niewolę, ucisk, łupiestwo... Taki był w skrócie rejestr dziejów Lwowa od połowy siedemnastego wieku.

Ale i dawniejsze, stokroć piękniejsze czasy pamiętają te mury strzeżone dziś przez ciebie – mój lewku, i przez tych bogów studziennych. Długi był okres w dziejach ratusza, gdy spoglądano nań jak na świątynię rządu i sprawiedliwości, jak na prawdziwy Kapitol Lwowski. – To okres ustroju magdeburskiego, od 1356 roku, gdy miasto, a wraz z nim ratusz bogaciły się z roku na rok. Szereg przywilejów i funkcji urzędowych przemieniły dom radny na przepyszną siedzibę patrycjatu miejskiego. Ratusz posiadał nie tylko salę obrad, lecz również halę targową oraz własne winiarnie, nigdzie bowiem nie wolno było sprzedawać wina, jedynie w ratuszu. Zatem w piwnicach miejskich szykowano najszlachetniejsze wina mołdawskie, greckie i włoskie, a beczki opieczetowane lwią pieczęcią rajcowską wędrowały stąd we wszystkie strony świata.

W ratuszu odbywały się tymi czasami uroczystości i wesela mieszczkańskie, huczne

Ratusz lwowski przed połową XIX w.



przyjęcia, barwne iluminacje, sute uczyły. Nie mało przepychu i dekoracyjności nadawały tym przyjęciom cenne sztuki wszelakiej broni zdobiące komnaty, a także bezcenna kolekcja kobierców, rozwieszana w sali rady.

„Konsularny” ten zbiór dywanów stanowił wielki majątek i chlubę gminy, dotrwał zaś do początków XVIII wieku, gdy panowie rajcy, zmuszeni zmiennymi kolejami losu, zastawili swe kobierce na rzecz kontrybucji i opłat wojennych, a ostatecznie wpadły one w ręce wojsk szwedzkich.

Nie przeszkodziły w owych latach bogaceni się gminy nawet wielkie pożary ratusza w roku 1527 i 1571, a odbudowa ratusza przez Marcina Kampania z początkiem XVII wieku utrwaliła jego kształty na przeszło dwa wieki. Dopiero zawalenie się wieży w 1826 roku zmusiło radę miejską do wybudowania nowej, wysokiej na 65 m, zaś ostateczną postać dzisiejszą nadano ratuszowi w latach 1849–1851.

Dzielnie strzegłeś, lewku mój, ratusza w ostatniej wojennej potrzebie, bo szczęśliwym trafem ani jeden pocisk nie zadrasnął jego wieży ni dachu.

Dobre i złe godziny wydzwaniał nam zegar ratuszowy, łącząc wspólną nicią czasu Ciebie, mnie i Miasto. I choć lat ma ten zegar niespełna sto, zdołał już zdobyć miłość ludzką i stać się nieodrodną częścią miasta jak ty, nasz stróżu ratuszowy! Czyż istnieje piękniejszy przykład przywiązania do martwego mechanizmu jak zegarmistrz Józef Weiss, który opukiwał to serce serca ratuszowego, ucieleśniające rytm wielkomijski przez całą połowę dziewiętnastego stulecia, a jego zepsucie się przyplacił ciężką chorobą, a następnie śmiercią?! – Bo życie ratusza związane jest z organizmem Lwowa złotymi nitkami ciepłego, ludzkiego uczucia, ogarnia wszystko – żywe i martwe – promieniami sławnych wspomnień, mądrych rządów, lat poświęceń, przykładowego współdziałania...

Wszędzie, gdzie los ci pozwoli zbierać żniwo mozolnego żywota, powitaj szczerym sercem przybysza z rodzinnych stron. Poznasz go po rodowym, mimowolnym zawołaniu „Ta-joj” i po spojrzeniu, które – jak twoje – wiele pamięta. Gdy razem przejdziecie wspomnieniem tę młodość sławną, a tak często chmurną, pierś waszą rozszerzy radosna duma i to poczucie wspólnoty – żeście Lwowianie.

Andrzej Chlipalski

PARĘ SŁÓW O LWOWIE ŚREDNIOWIECZNYM

Intencja napisania tego artykułu wynika z faktu, iż nawet wielu rodowitych lwowian ma niejasne pojęcie o zachodnioeuropejskich korzeniach swego miasta. Tekst ten został napisany w oparciu o literaturę, która prostuje ruską legendę o mieście w czasach przedkazimierzowskich. Była tam drewniana osada, najpierw zapewne łędziańska, potem większa, ruska, nazwana Lwowem, ale miasto powstało za Kazimierza Wielkiego.



Ruiny kościoła Franciszkanów po bombardowaniu w 1948 r.

Historia kultury na terenach polskich w ciągu (z grubsza rzecz biorąc) tysiąclecia naszej państwowości wyróżnia te same okresy rozwoju budownictwa, co cała zachodnia, łacińska Europa, pamiętając oczywiście o opóźnieniach, jakie spowodowało nasze położenie na samym wschodnim krańcu ówczesnego cywilizowanego świata zachodniej i południowo-zachodniej Europy. Nie wdając się tu we wszystkie etapy rozwoju naszej kultury budowlanej, przypomnijmy, że na samym początku, tj. na przełomie I i II tysiąclecia zapanowała u nas architektura zwana romańską, przyniesiona z Zachodu razem z chrześcijaństwem, gdzie już od paruset lat – z pewnymi odmianami – była stylem ówczesnego budownictwa, głównie



kościelnego. Techniczny rozwój budownictwa w Europie przeistoczył w gotyk, tworząc w konsekwencji nową estetykę form i zdobnictwa. Gotyk stał się architektonicznym triumfem późnego średniowiecza, a zabytki tej epoki – przede wszystkim we Francji i zachodnich Niemczech – należą do głównych magnesów dla turystów z całego świata. W XVI wieku gotyk zrobił miejsce renesansowi.

Tak było w Europie i w Polsce. Czy w całej Polsce?

Przypomnijmy, że w roku 981 książę kijowski Włodzimierz najechał na polskie, łędziańskie ziemie południowo-wschodnie, wnosząc tam panowanie ruskie na z górą trzy i pół wieku. Stało się tak na skutek najazdów mongolskich na Ruś i braku sił Kijowa na ich wstrzymanie. Wyjściem dla Rusi było więc parcie ku zachodowi na ziemie niezbyt gęsto zaludnione przez zachodniosłowiańskich Łędzian, niewchodzące jeszcze formalnie w skład państwa polskiego. Jednym z widomych znaków obecności tam zachodnich plemion okazał się posąg Światowida odnaleziony w XIX w. w nurcie Zbrucza¹. W orbitę Zachodu ziemie te powróciły w latach 40. XIV wieku.

Jakie znaczenie miało owo obce panowanie dla historii architektury na tych ziemiach? Trzeba powiedzieć, że władztwo ruskie zahamowało na parę wieków naturalny rozwój cywilizacyjny owej krainy, uniemożliwiając całkowicie dostęp zachodniego budownictwa – panującej wtedy architektury romańskiej. Nie tylko: nie wprowadziło żadnej innej nowoczesnej (na tamte czasy), trwałej architektury, a całe budownictwo Lwowa ruskiego było drewniane, zarówno mieszkalne –

w tym siedziba książęca – jak i obronne, i cerkiewne. Nie pozostało po tym – prawie nic. Epoka ruska okazała się dla rozwoju urbanistyki i architektury średniowiecznego Lwowa całkowicie jałowa.

Jedyną murowaną ruską budowlą sakralną, jaka powstała we Lwowie, na terenie tzw. miasta ruskiego, była zachowana do dziś (z wieloma zmianami) cerkiew św. Mikołaja z XIII wieku, prawdopodobnie „zamkowa”. Trzeba dodać, że owa cerkiew, jakkolwiek jest budowlą o rzucie *centralnym* (na planie krzyża greckiego), jednak wykazuje podobieństwa nie do świątyń bizantyjskich, lecz do kościołów przedromańskich południowej Europy, Nadrenii (!) oraz Armenii². Można stąd wysnuć wniosek, że związki kulturowe ruskiego Lwowa były bliższe m.in. łańcińskiej Europy niż Kijowa.

Z tamtej epoki panowania ruskiego – jej późnego okresu – mamy we Lwowie dwie świątynie łańcińskie. Pierwsza to kościół, który można przypisać epoce romańskiej. Jest to kościół św. Jana Chrzciciela, zbudowany w XIII w. przez misjonarzy dominikańskich. Jednak późniejsze przebudowy pozbawiły go cech romańskich, a dochodzi się do nich tylko przez logiczne rozumowanie³. Z epoki przedkazimierzowskiej jest jeszcze kościół MB Śnieżnej, ten jednak wykazuje pewne cechy gotyckie (rzut), czytelne dziś jednak dla specjalistów, ponieważ był wielokrotnie przebudowywany.

Tyle o epoce przedgotyckiej.

Powrót ziem południowo-wschodnich do Królestwa Polskiego za sprawą Kazimierza Wielkiego (lata 40. XIV w.) otwiera historię architektury w pełnym tego słowa znaczeniu. Król zakłada miasto z prawdziwego zdarzenia,



Detale gotyckie odkryte na fasadach kamienic Rynku

a jego rozwój – dla odrobienia opóźnień – odbywa się z niezwykłym rozmachem. Plan miasta wytyczono na zasadach europejskich – szachownica ulic z rynkiem po środku, budownictwo, nie tylko sakralne, staje się mrowane, a pod względem stylu zapanowuje architektura gotycka, trwająca w Europie już przynajmniej od dwóch wieków.

Na terenie nowego miasta powstaje główny kościół parafialny, który z czasem staje się katedrą arcybiskupią, ponadto kościoły Dominikanów, Franciszkanów i mniejsze: św. Katarzyny w obrębie Niskiego Zamku, św. Ducha oraz św. Stanisława – za murami miasta.

Na próżno szukać dziś – poza Katedrą Łacińską – owych gotyckich kościołów. Nie miał Lwów szczęścia do architektury tamtego czasu, a szkoda, bo gotyk był niejako legitymacją powrotu Lwowa do Polski i zachodniej Europy. Kościoły – szczęśliwie poza tym najważniejszym – przypadły, przypadła też gotycka zabudowa miejska, ale o tym niżej.

Co stało się z gotyckimi kościołami Lwowa? O Katedrze tu pisać nie będziemy, bo – mimo licznych i dość drastycznych przebudów – dalej stoi i charakteru swej ostrołukowej konstrukcji nie straciła. Poza ówczesnym kościołem parafialnym, późniejszej katedrze, najważniejsze były placówki dominikańska i franciszkańska – te zakony zawsze pierwsze wchodziły do nowo zakładanych miast owej epoki. Wybierano dla nich miejsca, które poza sferą religijną zapewniałyby osłonę przed ostrzałem miasta. Tak było też we Lwowie: klasztor dominikański powstał przy murach wschodnich, franciszkański – zachodnich⁴.

Kościół i klasztor dominikański powstały ok. 1370 r. w dzisiejszym miejscu. Niestety kolejne pożary zniszczyły je w latach 1408 i 1511. Odbudowywano je dość długo, aż w końcu kościół stał się pięknym dziełem baroku. W klasztorze zachowały się częściowo krużganki gotyckie.

Kościół i klasztor Franciszkanów, usytuowany między Niskim Zamkiem a katedrą, zbudowano z końcem XIV w. Dotrwały do końca XVIII w., gdy zaborcy austriaccy skasowali zakon. Po pewnym czasie opuszczony kościół przebudowano na teatr⁵. W czasie rozruchów Wiosny Ludów w r. 1848 kościół został zbombardowany, a ruiny wkrótce rozebrano.

Kościółek św. Katarzyny przepadł razem z Niskim Zamkiem – zburzyli je zaborcy austriaccy po zaanektowaniu Lwowa. Na tym miejscu powstał potem gmach skarbkowski i Muzeum Przemysłowe. Kościółek św. Ducha z XV w. był związany ze szpitalem pod tym samym wezwaniem i usytuowany, wraz z cmentarzem, w miejscu dzisiejszego placu św. Ducha (i dalej, w kierunku ul. Kilińskiego). Zburzyli je również zaborcy z końcem XVIII wieku.

Wreszcie kościół św. Stanisława – był zlokalizowany poza murami miasta, za Petwią. Zburzony z końcem XVIII w. w związku z rozbudową centrum miasta; pozostała tylko nazwa uliczki, łączącej ulicę Legionów i Rzeźnicką.

Na obszarze Ziemi Czerwieńskiej powstało sporo dalszych kościołów gotyckich: największe i najpiękniejsze w Przemyślu i Drohobyczu, dalej w Rohatynie, Gródku Jagiellońskim. Styl gotycki długo utrzymywał się na tych ziemiach (także jako tzw. post-



gotyk⁶, toteż pewne jego elementy (głównie sklepienia) są do dziś czytelne w wielu kościołach prowincjonalnych: w Podhajcach (jeśli dotąd nie runęły w tragicznie opuszczonej ruinie), Samborze, Jazłowcu itd.

Tyle o kościołach, kolej na zabudowę miejską.

Jak powiedziano wcześniej, miasto kazimierzowskie zostało zbudowane od samego początku z kamienia i cegły⁷ – w odróżnieniu od ruskiego Lwowa, który w istocie – zarówno w sensie urbanistycznym, jak i budowlanym – nie był miastem, lecz drewnianą osadą wokół rezydencji kniaziowskiej. Jednak o wyrazie ówczesnej architektury polskiego Lwowa niewiele można powiedzieć, ponieważ w roku 1527 miasto zostało strawione przez tragiczny pożar, który zniszczył najbardziej wartościowe jego fragmenty: samo centrum, tzn. Rynek z przyległymi ulicami, gdzie zamieszkiwał – jak można się domyślać – miejski patrycjat. Pozostały jedynie dolne partie kamienic.

Do odbudowy podchodzono wtedy (niestety!) racjonalnie: części pozostałych murów burzono, lepiej zachowane nadbudowywano, maskując fragmenty zniszczonych gotyckich detali, które nie mogły już zdobić nowych rezydencji mieszczkańskich. Był to już wszak XVI wiek – epoka renesansu, potem barok i rokoko, w końcu XIX-wieczny eklektyzm. Pod nowym wystrojem gotyk zaginął. Pojęcie konserwacji zabytków nie było znane.

Szczęśliwie w XIX/XX wieku doceniono relikty przeszłości. W trakcie remontów odnajdywano zachowane stare fragmenty i detale i odsłaniano je. Jest ich niemało na niektórych parterach fasad, w bramach i piwnicach kamienic. Te gotyckie i gotycko-renesansowe świadectwa lwowskiego średniowiecza pokazujemy na kilku zdjęciach.

* * *

Warto na koniec podać, iż historyk sztuki Andrzej Olszewski (1930 Lwów – 2005 Kraków)⁸ opisał w piśmie naukowym *Folia Historiae Artium* relikty ołtarza późnogotyckiego, znajdujące się dziś w dziale malarstwa polskiego Lwowskiej Galerii Obrazów (dawna galeria Orzechowicza przy ul. Ossolińskich). Swój artykuł poświęcił jednak tylko analizie artystyczno-porównawczej i domniemanemu miejscu powstania (na podstawie analogii – w Nowym Sączu, Bieczu?) Natomiast nie podał, jak i kiedy ołtarz znalazł się we Lwowie, gdzie znajdowały się te relikty bądź cały ołtarz przed II wojną i we wcześniejszych wiekach. W Katedrze lwowskiej, w którymś ze zburzonych kościołów, może w innym mieście?



Gotycki portal kościoła w Kulikowie.
Fot. Dominika Paluch

- 1 Patrz CL 3/96, s. 6, artykuł Jana Adamczewskiego.
- 2 Jest to opinia historyka ukraińskiego W. Siczynskiego (lata międzywojenne).
- 3 Styl romański przynosili Benedyktyni i Cystersi, ci jednak nie docierali na ziemię zajęte przez Ruś.
- 4 W Krakowie oba klasztory stanęły w jednej linii, po stronie południowej starego miasta. Z innych stron były rozlewiska i bagna.
- 5 Grała w nim m.in. trupa Wojciecha Bogusławskiego w ostatnim 10-leciu XVIII w.
- 6 Nie mylić z XIX-wiecznym neogotykiem.
- 7 Oczywiście w budynkach kamienno-ceglanych stropy (poza sklepieniami nad piwnicami i czasem parterem) oraz konstrukcje dachów były drewniane.
- 8 A. Olszewski był przez kilka lat członkiem ZO TMLiKPW w Krakowie.

LITERATURA

- Tadeusz Mańkowski, *Dawny Lwów, jego sztuka i kultura artystyczna*. Londyn 1974.
- Fryderyk Papee, *Historia miasta Lwowa*. Lwów–Warszawa 1924.
- Stefan MękarSKI, *Lwów. Karta z dziejów miasta*. Londyn 1982.
- Franciszek Barański, *Przewodnik po Lwowie*. Lwów 1902.
- Andrzej Olszewski, nadbitka artykułu z *Folia Historiae Artium*, t. XI, 1975.



Dariusz Jania

TWIERDZA RZECZYPOSPOLITEJ (1)

Ufortyfikowanie Kamieńca Podolskiego w XVII wieku

*Wyjechawszy po południu z Chreptio-
wa, jechali do wieczora, następnie całą noc
– i drugiego dnia, również po południu, uj-
rzeli już wyniosłe skały kamienieckie. Na
ich widok, a także na widok baszt i rondeli
fortecznych zdobiących szczyty skał wielka
otucha wstąpiła im zaraz w serca. Albowiem
wydawało się niepodobnym, aby jaka inna
ręka prócz boskiej mogła zburzyć to orle
gniazdo na szczycie otoczonych pętlicą rzeki
wiszarów uwite. (...) Zapatrzone oczy [No-
wowiejskiego – D.J.] utkwiiły w skąpanym
w blaskach słonecznych Kamieńcu i uśmie-
chał się ciągle. Dwaj rycerze i Basia patrzyli
na niego ze zdziwieniem, bo nie mogli zrozu-
mieć, jakim sposobem widok twierdzy zdjął
tak nagle wszelki ciężar z jego duszy.*

Taki obraz Kamieńca Podolskiego

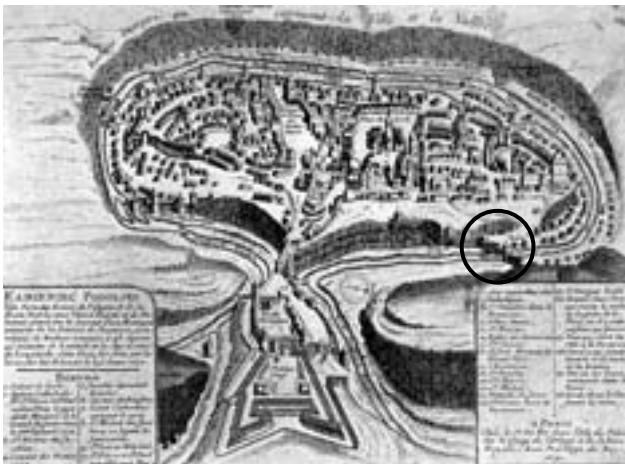
ukazał Henryk Sienkiewicz czytelnikom po-
wieści *Pan Wołodyjowski*. Na kolejnych kil-
kudziesięciu stronach bohaterowie Sienkie-
wiczowscy, a wśród nich również twierdza
kamieniecka, samotnie stawiają czoło po-
tężnej armii przeciwnika. To właśnie dzięki
tej powieści, pisanej w XIX wieku *ku po-
krzepieniu serc*, przetrwała sława i legenda
twierdzy. Legenda, która powstała w wieku
XVII o bastionie nie do zdobycia, *ręką Boga
uczynionym*, który miał bronić Rzeczypospo-
litej i całego chrześcijaństwa przed Turkami
i ich sojusznikami. Niestety tylko legendy,
w którą społeczność szlachecka omawia-
nego wieku zbyt łatwo uwierzyła, a ta, jakże
naiwna, wiara doprowadziła do upadku nie
tylko samego Kamieńca, ale i w pewnej
mierze całej Rzeczypospolitej. Warto więc
przyjrzeć się, jaka była prawdziwa historia
kresowej twierdzy, jej architektury i jak two-
rzyła się legenda.

Już same początki Kamieńca są niejasne
i owiane legendą. Według badań archeolo-
gicznych, pierwsze osady na tych terenach
sięgają – jak twierdzi Tadeusz Polak – pa-
leolitu. Osadnictwo to zachowuje ciągłość
swojego istnienia przez epoki brązu i żelaza
do naszej ery. Ale czy w tym okresie można

mówić tylko o ludach koczujących przez jakiś
czas na tych terenach, czy może o stałej,
w jakiś sposób obwarowanej osadzie, którą
można by było nazwać miastem? Wydaje
się, że z terenem tym związane były tylko
ludy koczownicze, choć coraz częściej łączy
się powstanie miasta ze starożytnym ple-
mieniem Daków, podbitym w 106 roku n.e.
przez Rzymian. W tych starożytnych cza-
sach Kamieniec miał posiadać dwie nazwy
(na mapie Ptolemeusza). Grecy i Dakowie
mieli nazywać go Klepidawą (*klepsis* – zło-
dziej), gdyż w tych niedostępnych wzniesie-
niach skalnych, otoczonych puszcza mieli
się ukrywać złodzieje, natomiast ludność
Wołoszy i Multan nadać mu miała nazwę
Petridava (*petra* – skała) od skał, na których
miało być usytuowane miasto. Jednak na po-
twierdzenie tych starożytnych korzeni grodu
nie ma archeologicznych dowodów. Znale-
zione w okolicach miasta monety rzymskie
z II i III wieku n.e. pozwoliły na wysunięcie
tezy, iż Kamieniec w tym czasie należał do
imperium rzymskiego. Pogląd ten obala Jan
Janczykowi. Według niego Kamieniec nig-
dy nie należał do Cesarstwa Rzymskiego.
Granice tego imperium po podbiciu Dacji
w II wieku znajdowały się ok. 150 km od
tego miejsca, gdzie powstało miasto. Trudno
również uwierzyć, by Rzymianie wybudowali
dużą strażnicę w tym miejscu (a takie są
przypuszczenia na podstawie badań arche-
ologów ukraińskich) i nie odnotowali tego fak-
tu w źródłach pisanych. Znalezione monety
rzymskie mogą świadczyć zatem o istnieją-
cej wymianie handlowej między Rzymianami
a ludami przebywającymi w miejscu, gdzie
powstał Kamieniec Podolski. Te najnowsze
badania potwierdzają tezę Aleksandra Pru-
siewicza, który już na początku XX wieku
negował starożytne dzieje Kamieńca.

Pierwsza zapiska o mieście

pochodzi z X wieku, z kroniki Nestora. Autor
wymienia tenże gród wśród innych, które zo-
stały zdobyte przez książąt ruskich. W wieku
XII Kamieniec należał najprawdopodobniej do



Plan Kamieńca Podolskiego wg sztychu z 1691 r. (odwrócony przez ówczesnego wydawcę). Zaznaczona Brama Polska (Lacka)

księstwa halickiego. W 1240 roku podczas najazdu Tatarów na Europę Batu-chan zdobył i zniszczył miasto używając tarana. Rozbił nim umocnienia okalające Kamieniec. Z tego wynika, że już w XIII wieku miasto było obwarowane i prawdopodobnie posiadało niewielki zamek o kształcie zbliżonym do trójkąta. Przez ponad sto lat Kamieniec był w rękach Tatarów. Odzyskał go wielki książę litewski Olgierd pokonując ich w 1362 roku nad Sinyemi Wodami. Od tego czasu Podolem (wraz z Kamieńcem) zarządzili Koriatowicze.

Dopiero od przejęcia przez nich rządów zaczął się pewny historycznie okres dziejów Kamieńca. Tak o historycznych początkach miasta pisał w XVII wieku Maciej Strykowski w swojej kronice: *gdy zajęchali w łowy [książęta Aleksander, Konstantyn, Fiodor, i Jurgi Koriatowicze – D.J.] ubili żubrów, jeleni, sarn i dzikich kobył bardzo wiele nad rzeką Smotricą w tym miejscu, gdzie dziś Kamieniec Podolski. Tam tedy onym obławem nad nadzieję ucieszeni krotofil kozackich z litewskim i ruskim rycerstwem używali, a obaczywszy miejsce przystojne do zamku prawie ręką Bożą w twardym a niedobyłym horodzisku położone, założyli tam i zbudowali zamek i miasto sławne Kamieniec, od kamiennej skały nazwany.* Oni to odbudowawszy miasto nadali mu w 1347 roku prawa miejskie.

Zarówno miasto, jak i powstały około roku 1362 murowany gród, nazwany później Starym Zamkiem, zbudowane były na ważnym pod względem strategicznym terenie. To tędy wiódł tradycyjny szlak najazdów tatarskich z Budziaku i Krymu na ziemie ruskie. Tędy też szła armia turecka, która wyruszyła z Mołdawii na północ. Ten, kto trzymał w swoim ręku twierdzę kamieniec-

ką, miał również zwierzchnictwo nad całym Podolem.

Położenie topograficzne twierdzy było idealne do obrony. Płynąca ku Dniestrowi rzeka Smotrycz wryła się pomiędzy skały, tworząc jar o głębokości 35 metrów. Stworzone dzięki temu stoki skalne dochodziły do wysokości 50–70 metrów.

Swój zachwyt położeniem topograficznym wyraził Maciej Strykowski, który tak opisywał Kamieniec:

To miasto i zamek (w którym sam był dwakroć) leży od Chocima zamku wołoskiego pogranicznego i od Dniestru rzeki dwie mili, w równinie pięknej,

prawie basta koronna, ręką Bożą zbudowana, byśmy jej strzec, a małym kosztem oprawić chcieli; wokół niego jest przekop przyrodzony bardzo a przykro głęboki, przez który Smotrycz rzeka płynąc miast oblewa, z obydwu stron zasię wkoło skały kamieniste bardzo przykre jako uciossane, przekop, rzekę i miasto otoczywają, a od pola równego szerokim przeciągiem odłączają, iż gdy z pola w przekop do rzeki wejrzysz, zda się jako przepaść, z przekopu zaś ku skale kamiennej, na której we środku miast leży, przystęp bardzo trudny, przykry, i na wejrzeniu nie podobny: bo skały kamienne jako dwie ściany uciossane i z wierzchu na dół, i z dołu na wierzch są wyniosłe.

W XVI wieku widok dwóch skalnych cypli opasanych rzeką ugruntowywał wśród polskiego społeczeństwa przekonanie o szczególnej Bożej interwencji w krajobraz. To właśnie w tym wieku narodził się stereotyp o niemożności zdobycia Kamieńca. Dość proroczo i złowrogo brzmia słowa Strykowskiego o tym, że nie trzeba wielkich kosztów na umocnienia zamku i miasta. Autor był pod takim wrażeniem warunków naturalnych, na których wzniesione zostały budowle, iż uważał, że w dużym stopniu wystarczą one do umocnienia zarówno miasta, jak i zamku. Takie myślenie niestety przejęła bardzo duża część społeczeństwa polskiego. Jak błędne było to myślenie i jak brzemienne w skutki przekonała się szlachta w 1672 roku. Warto zatem przyjrzeć się,

jak wyglądały umocnienia Kamieńca

ręką ludzką uczynione. Całe miasto było otoczone trudnym do przebycia jarem rzeczonym

i skałami. By wzmocnić te naturalne zabezpieczenia, zbudowano szereg baszt i bastionów połączonych murem. Dzięki temu miasto było bezpieczne i nie musiało obawiać się szturmów nieprzyjaciół. Niemożliwe było nawet prowadzenie oblężenia miasta. Od zachodu, na północ i południe, gdzie wstęp do kotliny Smotrycza był dogodniejszy, założono dwa dzieła fortyfikacyjne, by odpowiednio zabezpieczyć dostęp do miasta. Były to Brama Lacka i Brama Ruska.

Brama Lacka (Polska) usytuowana była od strony wschodniej miasta. Początki budowy umocnień w tym miejscu pochodzą z XIII wieku. Rozbudowywana była w następnych wiekach. W drugiej połowie wieku XVII brama ta składała się z półkolistego budynku, umocnionego sześcioma basztami. Dodatkowo dwie baszty wybudowane były na nadbrzeżu w niewielkiej odległości. Od tej bramy przez rzekę była przerzucona murowana galeria, opatrzona strzelnicami. Na końcach tej galerii znajdowały się baszty. Wybudowano też śluzę, które umożliwiałały w czasie niebezpieczeństwa spiętrzenie wód Smotrycza.

Po zachodniej stronie miasta stała Brama Ruska. Pełniła ona analogiczną funkcję jak Brama Lacka. Brama Ruska składała się z siedmiu baszt. Najdalej na północ od zespołu warownego na występie jaru zbudowano basztę zwaną Strażniczą, następnie Przybramną, która strzegła półkuliście zamkniętego wjazdu do barbakanu. Barbakan ten poprzedzał bramę z wjazdem do miasta. Z bramą łączył się biegnący wzdłuż rzeki wąski długi piętrowy budynek pokryty dachem dwuspadowym, uwieńczony basztą Nadbrzeżną. Ściany tej bramy były zaopatrzone w strzelnice kluczowe i działowe. Podobnie jak w przypadku Bramy Lackiej również tu wzniesiono tamę powodującą spiętrzenie wody. Obydwie te bramy, dobrze ufortyfikowane, stanowiły bardzo dużą przeszkodę dla nieprzyjaciela, który chciał wkroczyć do miasta. Nawet gdyby udało się nieproszonego gościom sforsować te bramy, nie oznaczało to, że miasto jest już opanowane. Dojście do centrum utrudniały prowadzące w górę ścieżki, które miały osłonę z ufortyfikowanych baszt i domów. I tak od Bramy Lackiej wiodła droga do kolejnego umocnienia, tak zwanej Baszty Batorego, zwanej inaczej Koronną lub siedmiopiętrową.

Wybudowana w 1585 roku na planie zbliżonym do kwadratu, wieża *bastejowa* miała dogodne warunki do prowadzenia ognia, gdyż ściany jej wyposażone były w otwory strzelnicze zarówno kluczowe, jak i działowe. Do elewacji teże bramy dobudowano tak od wschodniej, jak i od zachodniej części przybudówki. W zachodniej przybudówce mieściła się brama wjazdowa do miasta, tak zwana Wietrzna Brama. Od baszty odchodziły mury, które ciągnęły się krawędzią miasta w stronę południową. Były one zakończone *skazamatowaną* budowlą wzniesioną na planie prostokąta, o pogrubionych ścianach z arkadowymi wnękami. Fortyfikacje te łączyły się murem z Bramą Ruską. Prócz tego miasto posiadało jeszcze do obrony kilka bastionów połączonych ze sobą. Były to: Baszta Janczarska (Gancarska), Krawiecka (Ślusarska) oraz Rzeźnicza (Kuśnierska). Wszystkie te baszty, zbudowane na planie kwadratu (Krawiecka i Rzeźnicza) oraz koła (Janczarska), posiadały otwory na strzelnice działowe. Natomiast od strony zachodniej głównego wjazdu do miasta bronił zespół dzieł obronnych wybudowany z murowanych ścian i również zaopatrzone w strzelnice działowe. Szerokie przejście do miasta było wzmocnione pięcioboczną murowaną konstrukcją, zwaną Bastionem Ormiańskim, umocnioną artylerią.

Posiadał też Kamieniec Podolski arsenał, gdyż znajdował się tu skład artylerii koronnej. Przez dłuższy czas działa stały na murach. Natomiast amunicja przechowywana była w Starym Zamku. W konstytucji sejmowej z 1649 roku nakazano starszemu nad armatą by *tam* [w Kamieńcu – D.J.] *cekhhaus zbudował*. Jednak z ustaleniem, gdzie wybudowano ten budynek, są pewne trudności. Antoni Rolle umieścił go w *starej warowni obok bramy zamkowej*, nie podając źródła takiego umiejscowienia budynku. Lecz ruiny przebudowywanego pod koniec XVIII wieku niskiego parterowego budynku, który w tym czasie spełniał funkcję arsenału, postawionego na planie prostokąta, znajdują się poniżej Bramy Batorego w mieście. Na „Planie Rzymskim”, oraz sztychu Dodenechra i – jak twierdzi Tadeusz Nowak – na planie Tomaszewicza z 1672 roku nie ma zaznaczonego arsenału w zamku. Pewne jest, że nie przystąpiono do budowy arsenału od razu (1649). Możliwe, że Rolle



Zamek kamieniecki, fragment „Planu Rzymskiego”. A – most zamkowy, B – Podzamcze, C – Stary Zamek, D – Nowy Zamek, 1 – Rondela św. Anny; Baszty: 2 – Czarna, 3 – Lanckorońska, 4 – Różanka, 5 – Wodna, 6 – brama do Nowego Zamku w mostem, 7 – Nowa, 8 – Denna, 9 – Lacka, 10 – Tęczynońska, 11 – Kołpak, 12 – Papińska; 13 – Nadszańce, 14 – Uszy bastionu (orylony), 15 – kurtyna, 16 – kawalery, 17 – fosa ze skarpami i kontrskarpami. Oprac. D. Jania

pisząc o arsenale w zamku miał na myśli tymczasowe pomieszczenie lub po pewnym czasie zmieniono jego lokalizację. Pewne jest, że w XVIII wieku arsenał funkcjonował w mieście. Natomiast kwestia, jak sytuacja wyglądała w wieku XVII, wymaga dalszych badań.

Jednym z najsłabszych punktów dość dobrze ufortyfikowanego miasta był górujący nieco nad nim cypel. Tam właśnie, by zabezpieczyć najdogodniejsze dla nieprzyjaciela miejsce do oblegania i zdobycia miasta, wybudowano również umocnienia. W XVII wieku

istniały tam dwa zamki –

Stary (wybudowany w XIV w.) i Nowy (z XVII w.). Droga z miasta do Starego Zamku wiodła przez most wzniesiony nad kanionem mającym 50 m wysokości. Ostrołukowe sklepienia konstrukcji przęsłowej mostu wybudowano już w XIII wieku. Sklepienia te powstały na istniejących już w tym czasie kamiennych

filarach. W wieku XVI wykonano remont mostu, między innymi obmurowując sklepienia. Generalnej modernizacji mostu dokonano za panowania tureckiego (1672–1699). Po zdobyciu Kamieńca most nie nadawał się do użytku. Świadczy o tym fakt, iż Mehmed IV do miasta wjeżdżał przez Ruską Bramę, a nie od najbardziej reprezentacyjnej strony, czyli od zamku. Turcy remontowali most około trzynastu lat, przeznaczając na ten cel w latach 1685–1686 większość z 15 milionów dukatów przeznaczonych na remont fortecy. Most obustronnie omurowano i wybudowano mur. Na ten cel użyli Turcy budulca z niedokończonego kościoła jezuitów i z rozebranego klasztoru karmelitów. I właśnie ten fakt remontu mostu niektórzy badacze błędnie utożsamiają z jego powstaniem. Tę tezę o wybudowaniu mostu za czasów tureckich głosili M. Baliński, A.J. Rolle, M. Rolle.

Od strony miasta u wylotu drogi, która prowadziła na most, zostało jeszcze w XVI wieku wybudowane (w uproszczonej formie) bastionowe dzieło obronne modernizowane w XVII wieku. Z drugiej strony mostu natomiast rozciągał się Stary Zamek. Według Macieja Stryjowskiego – położony w gorszym miejscu niż miasto, ale basztami i murami nie najgorzej obwarowany. Wybudowany w średniowieczu, a przebudowywany w XV, a zwłaszcza w XVI wieku pod kierunkiem Joba Pretfusa i Camillususa, którzy między innymi przystosowywali zamek do prowadzenia ognia artyleryjskiego, przedstawiał się w XVII wieku następująco.

Zbudowany na planie zbliżonym do prostokąta, murowany, o zachodnim boku wygiętym w formie łuku. Od zachodu, południa i wschodu broniły zamku skały, od północy natomiast ziemne fortyfikacje, posiadające wały i fosy, które w potrzebie można było napęłnić wodą. Miały one kształt trójkąta i nazywane były podzamczem. Był to najsłabszy element zamku, mimo iż wzmocniony kontrskarpami. Od strony miasta na podzamcze prowadziła brama wjazdowa w postaci rondeli (św. Anny). Po przejściu przez podzamcze, idąc wzdłuż obwarowań ziemnych wyposażonych w strzelnice, by wejść do właściwego zamku, trzeba było przejść przez bramę składającą się z trzech arkad o sklepieniu gzymsowanym. Tuż obok tej bramy było wejście do lochów. Podania

ludowe głosily, iż to podziemne przejście łączyło się z twierdzą chocimską, co było raczej niemożliwe. Po lewej stronie bramy była pierwsza baszta przykryta piramidalnym dachem, zwana Czarną. W baszcie tej znajdowała się studnia głęboka na trzydzieści sześć metrów, wybudowana prawdopodobnie przez Turków. Basztę tę naprawiano w 1544 roku. Od niej rozciągała się kurtyna i prowadziła do kolejnej baszty Lanckorońskiej. Została ona zbudowana na początku XVI wieku bez dachu. Zadaszona w wieku XVII przez Turków. Pod tą basztą od XVI wieku stała szopa, w której *kamień na drzwi i okna ciosają* oraz stajnia. Dalej obok tej baszty była maleńka baszta, przez którą było przejście na mury. Czwarta baszta, zwana Różanką, powstała w początkach XVI wieku z funduszy biskupa kujawskiego Krzesława z Kurozwęk. Mury w tym miejscu były grube na 4 metry. Obok niej stała baszta Mała. Niżej od Różanki, nad Smotryczem w miejscowości Wydrówka stała kolejna baszta, zwana Wodną. Stąd dostarczano do zamku wodę. Baszta Różanka wieńczy też jedną stronę bramy do Nowego Zamku. Brama ta wysoka była na dwadzieścia sążni (około trzydziestu sześciu metrów). Od niej to szedł do Nowego Zamku przez fosę, w razie potrzeby napełnianą wodą, most zwodzony. Tutaj też prawdopodobnie znajdowała się łaźnia. Z drugiej strony bramy jest baszta zwana Nową. Powstała w XVI wieku, wybudowana przez Turków podczas oblężenia w 1672 roku, została przez nich odbudowana. Na rogu zamku była ósma baszta, tak zwana Denna. W baszcie tej drzwi były tak skonstruowane, by można było przez nie przetaczać armaty z jednej strony murów na drugą. Baszta ta miała trzy piętra wysokości. W niej też znajdowała się komnata, z której strażnik obserwował drogę wołoską. Tutaj też była kaplica zamkowa. Kolejna baszta, powstała w XVI wieku, zwana była Lacką, czyli „Korabiem arcybiskupim”. Dalej znajdowała się baszta Tęczyńska, zwana „Kołpakiem”, ufundowana w XVI wieku przez biskupa kamienieckiego Jakuba Buczackiego. Na rogu stała ostatnia baszta – Papieska, nazwana na cześć papieża Juliusza II, który na początku XVI wieku przesłał świętopietrze na remont fortyfikacji. Z tych to właśnie środków wybudowano basztę Papieską. Fundusze na twierdzę przekazywali także

inni następcy św. Piotra: Mikołaj V i Leon X. Jak widać, na odpowiednim zabezpieczeniu zamku kamienieckiego będącego przez wiele lat zaporą nie do przebycia przez Tatarów i Turków, zależało także Stolicy Apostolskiej, co świadczy, że nie tylko Polacy pokładali w tej twierdzy ogromne nadzieje. Stary Zamek, jak można zauważyć, prawie całkowicie wyremontowany i przebudowany w XVI wieku, miał układ „baszt wysokich”. To właśnie te dwanaście baszt i wyremontowany oraz podwyższony mur miały chronić dostęp do zamku. Niestety fortyfikacje miasta już w XVI wieku nie należały do nowoczesnych. Wobec rozwijającej się bardzo szybko w tym okresie techniki oblężniczej umocnienia Starego Zamku (zwłaszcza od jego zachodniej strony) nie gwarantowały bezpieczeństwa jego załodze ani miastu. Poczynając więc od roku 1618 lub 1621 rozpoczęto sypać tak zwany Nowy Zamek. Twórcą projektu był inżynier wojskowy i budowniczy królewski Teofil Schomberg. Nowy Zamek zbudowany był częściowo według szkoły starowłoskiej (odmiana *beluardów*), z wykorzystaniem osiągnięć szkoły nowowłoskiej. Był to szeroki wał ziemny z oblicowaniem kamiennym i dwoma zaokrąglonymi półbastionami (uszami) zwanymi *orylonami*, połączonymi krótką kurtyną. Na orylonach znajdowały się dodatkowo kawalieri. Wał ten zwrócony ku zachodowi broniony był przez fosę wzmocnioną skarpami i kontrskarpami. Mający narys rogowy Nowy Zamek posiadał częściowo załamaną kurtynę południową. W samym zamku znajdowały się dodatkowe stanowiska ogniowe, zwane nadszańcami. Budowa Nowego Zamku w związku z napiętą sytuacją pomiędzy Turcją a Rzeczpospolitą posuwała się dość szybko. Niestety pośpiech, z jakim wznoszono zamek, nie służył jego odpowiedniemu zaplanowaniu i umocnieniu. Wyraz tego dał Ulryk Werdum pisząc: *lecz fortyfikacje te są źle założone i niedługo dałyby się bronić, gdyby je według reguł sztuki zaatakowano. Zamek zaś zajęty dominuje nad miastem. Twierdza ta zatem prędzej osłabia niż wzmacnia miasto.*

Werdum pisał te słowa w 1671 roku. Niedługo trzeba było czekać na ich potwierdzenie. Wszystkie mankamenty dodatkowo jeszcze bardzo słabo opatrzonej twierdzy ujawnili Turcy zdobywając ją po dwóch tygodniach oblężenia w 1672 roku.

Dzień 22 września 1939 roku

Mieszkałem we Lwowie w małym mieszkanku przy ulicy Akademickiej i Łozińskiego, o paręset metrów zaledwie od przedsiębiorstwa, w którym pracowałem. Budynek był stary, dobrze zakonserwowany; pamiętam historyczny napis w olbrzymim holu: *Leopolis Semper Fidelis* – najpierw wierny Koronie, potem Rzeczypospolitej, ale zawsze Polsce... W tym fatalnym dla nas dniu 22 września zdecydowano otworzyć jak zwykle sklepy; była to pewnego rodzaju manifestacja w stosunku do bolszewików. Nie godziliśmy się z najazdem i mniej jeszcze z narzuconymi nam siłą zmianami i warunkami. Niepotrzebna nam była „ochrona” ani „wyzwolenie”, uważaliśmy się za niezwykłych. Żyliśmy w polskiej ziemi i to, co się działo, było tylko początkiem bezprawia. Mieliliśmy pewność, że nadejdzie chwila odwetu.

Wskazówki zegara stały z uporem w miejscu. Myślę, że dzień ten był jednym z najdłuższych w moim życiu.

Do sklepu nikt się nie zbliżał, ulice opustoszały. Wojsko Polskie, biorące udział w obronie miasta, wycofało się w dniach poprzednich; celem żołnierzy było schronić się na Węgrzech lub w Rumunii. Mówiono, że młodzi oficerowie, nie mogąc zaakceptować rzeczywistości godzącej w ich honor, pozbawiali się życia.

Mieszkańcy miasta, nie wyłączając kobiet i dzieci, pracowali z entuzjazmem przy wznoszeniu barykad. Kopali doły przeciwczołgowe starając się utrudnić postępy wojsk niemieckich. Wysiłek ten, niestety, okazał się bezprzedmiotowy. Pakt niemiecko-rosyjski przekreślił początkową strategię, pierścień oblężniczy zniknął; teraz zbliżali się bolszewicy, których już nie sposób było powstrzymać. Oczekiwaliśmy więc „splendorem okrytych” wojsk sowieckich z myślą opuszczenia kurtyn naszych sklepów w momencie ich przemarszu.

Ten gest stanowił jedyną naszą obronę. Wielu mieszkańców akceptowało rzeczywistość i pozostawało na miejscu. Starali się chronić swe mienie, wierząc w lepsze jutro,

inni opuszczali kraj, dążąc za wojskiem w odwrocie. Z tysiący żołnierzy godzących się na internowanie w wyżej wymienionych krajach wielu przekraczało granicę z bronią w rękę, inni ukrywali ją starannie w ziemi ojczystej z myślą odkopania jej kiedyś i użycia w chwili potrzeby. Młodzież masowo przechodziła przez *zieloną granicę*, aby służyć sprawie wyzwolenia chociażby poza krajem.

Zbliżała się godzina przerwy obiadowej. Zamknęliśmy sklep. Udałem się do jadłodajni uniwersyteckiej przy ulicy Łozińskiego. Obiad zjadłem bez apetytu. Myślę, że w dniu tym wszystkich spotkało to samo, ostatecznie wydarzenia wpływały ujemnie na stan psychiczny człowieka. Gdy wróciłem do lokalu, rozmowa nadal się nie układała. Około godziny czternastej zjawił się właściciel przedsiębiorstwa, pan Mikołaj Olech.

– *Współpracowaliśmy przez długie lata, mam na myśli niektórych panów – powiedział po przywitaniu się – i znam doskonale młodszy personel firmy. Wszyscy potrafili odróżnić ziarno od plew, dobro od zła. Moment obecny jest trudny, przełomowy, niemniej jednak wierzę niezłomnie, że należy to przetrwać. Dlatego chciałbym dzisiaj jak najbardziej być po waszej stronie, aczkolwiek w innym tego słowa znaczeniu...*

Obserwowałem go bez przerwy, przypomniałem sobie, co robił przed wojną: był członkiem Zarządu Izby Przemysłowo-Handlowej, radcą miejskim, eleganckim, energicznym, uśmiechniętym sympatycznym panem. Dziś zobaczyłem w nim innego człowieka.

– *Myślę, że w nowym porządku społecznym, który bez wątplenia wprowadzą nasi najeźdźcy, nie będzie miejsca dla właścicieli. Taka była przyczyna likwidacji naszej filii przy ulicy św. Zofii. Nie wiem, jaki los spotka nasz sklep tutaj, przy ulicy św. Mikołaja, w każdym razie wolalibyśmy, ażeby nie wpadł w ręce bolszewików... – obserwował nas przez dłuższy okres, starając się odgadnąć nasze myśli. – W najbliższych dniach wyjeżdżam na zachód, może do Krakowa... Wolę opłacić podróż niż jechać gratis na Syberię.*

– Nastąpiła cisza. Jego wypowiedź brzmiała tragicznie. – *Mówiąc, że pragnę pozostać z panami w inny sposób, mam na myśli, że „Kolonialny” oddaję do waszej dyspozycji. Utwórzcie spółkę, jeżeli to będzie możliwe, albo coś w tym sensie i starajcie się przetrzymać, ale przede wszystkim bądźcie dobrymi Polakami.*

W tym samym momencie usłyszeliśmy szybkie opuszczanie kurtyn jednego ze sklepów, na prawo. Ktoś krzyknął: – *Opuszczajcie stopy, bolszewicy już się zbliżają! Są tuż, tuż!*

Zaledwie wykonaliśmy polecenie, kiedy ulicą przed nami przejechały z pośpiechem małe samochody pancerne, wywołując hałas nienaoliwionymi gąsienicami. Były uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe. Zajęliśmy miejsca przy szparach i obserwowaliśmy przemarsz.

Po chwili zaczęły przejeżdżać wozy ciężarowe olbrzymich rozmiarów, wypełnione po brzegi żołdactwem, wyposażone również w ciężkie karabiny maszynowe; niektóre z działkami przeciwlotniczymi lub przeciwpancernymi. Później zaczęły „defiladę” taczanki: dziwna broń rosyjska używana jeszcze przez wojska carskie, czyli ciężkie karabiny maszynowe na dwukołowej platformie, ciągnięte przez żołnierzy, widocznie z braku innego środka lokomocji albo po prostu dla bezpieczeństwa, aby móc użyć broni w każdej chwili. Po jakimś czasie zaczęła maszerować piechota... Mój Boże, czego tam nie było: oddziały kazachskie, uzbekie, turkmeńskie, azerbejdżańskie, kirgiskie, pochodzące z południowych republik azjatyckich. Twarze skierowane ku ziemi, wyraz oczu ponury, powiedziałabym, melancholijny, cera ziemista, oczy skośne, zmęczeni, źle odżywieni. Mundury ich były brudne, podarte i łatanne. Karabiny niektórych żołnierzy pozbawione pasów, zwisały z ramion na powroczach. Obuwie mieli wykonane z brezentu, z gumową podeszwą. Odstęp w szeregach był znikomy: zdawało się, że jeden żołnierz wchodził na drugiego. Mieli szpiczaste nakrycia głowy w szarym kolorze, z materiału pośledniej jakości. Odznaczała się na nich olbrzymia czerwona gwiazda. Ich wygląd robił wrażenie przytłaczające; po przemarszu każdego oddziału ciągnął się ostry odór, przypominający ciężarówkę transportującą bydło do rzeźni lub na sprzedaż.

– *Mój Boże!* – wyrzekłem przygnębiony. – *Ten motłoch będzie stanowił o losach naszego kraju...*

Po dwóch godzinach skończyło się to niepożądane i odrażające widowisko. Po chwili pan Mikołaj zwrócił się do mnie z prośbą towarzyszenia mu w drodze do filii przy ulicy św. Zofii. Chciał się zorientować w sytuacji tamtej dzielnicy. Wyszliśmy. Na zewnątrz można było dostrzec rozpoczynający się ruch przechodniów. Szliśmy ulicą św. Mikołaja, którą przed chwilą maszerowały wojska.

Doszliliśmy do ulicy Zyblikiewicza, kierując się do placu św. Zofii z zamiarem zagłębienia się w ulicę o tej samej nazwie. Idąc ulicą Zyblikiewicza, natknęliśmy się na dwukołowy wóz wyładowany jabłkami: wokół niego około dwudziestu osób, w większości kobiety i dzieci, korzystało z oferty sprzedającego, tak rzadkiej w owych okropnych dniach. Gospodarna jesień darzyła obfitością natury chętnych do nabycia jakiegokolwiek produktu w owym trudnym czasie.

W tejże samej chwili silny metaliczny zgrzyt gąsienic czołgowych odciągnął moją uwagę od znajdującego się naprzeciw nas wozu. Odwróciłem się i spostrzegłem dwa ciężkie czołgi wyjeżdżające z ulicy Batorego. Białe chorągwie, symbol pokoju, powiewały z ich prawej strony. Jechały w naszym kierunku.

– *Panie Olech* – powiedziałem z przejęciem – *nie mam zaufania do bolszewickich czołgów.* Popatrzył na mnie zdziwiony.

– *Boisz się?*

Wyznałem, że tak, że byłoby lepiej ukryć się w jakimś bezpiecznym miejscu. Pan Olech nie zlekceważył mojej uwagi...

Wkroczenie armii sowieckiej do Lwowa
22 września





– *Chodźmy wobec tego, w pobliżu jest kaplica.*

Weszliśmy. Z zewnątrz dochodził metaliczny szcęk gąsienic, jak również głuchy dźwięk motorów. Odgłosy te przybierały na sile. Pierwszy czołg przystanął na wysokości kaplicy, następny uczynił to samo. Chwi-

ła wyczekiwania... i nastąpiły wybuchy, potężne wybuchy, strzały z dział czołgowych. Co się działo na zewnątrz? Po chwili czołgi zaczęły się oddalać.

Opuściliśmy kaplicę. W pierwszym momencie nie zwróciliśmy uwagi, że ulica była wyludniona, nie było żywej duszy, wóz z jabłkami też zniknął. Scena nabrała realnego wymiaru, kiedy ujrzeliśmy kobietę podnoszącą się z jezdni: krwawiła na całym ciele, była w agonii. Prawą ręką podtrzymywała krwawiącą pierś, kaszląc z cicha. Wąski strumyk krwi sączył się jej z ust. Nigdy nie zapomnę tej sceny... Zrobiła kilka kroków i osunęła się na jezdnię. Nie podniosła się już więcej. Znałem ją: robiła zakupy w „Kolonialnym” w przedwojennych dobrych czasach...

W przedwojennych dobrych czasach... Wspomnienie utkwilo w mej pamięci, zartało się na chwilę, ażeby skoncentrować się nad inną rzeczywistością: pan Mikołaj i ja mieliśmy przed oczyma budzącą grozę scenę.

Armaty sowieckich czołgów zmiotły z ulicy w niezrozumiałej akcji niewinnych ludzi korzystających z okazji kupna jabłek. Ciała ich, porożrywane na części przez zdradzieckie pociski armatnie, leżały w kałużach krwi, rozrzucone wokół zniszczonego wozu. Nieco dalej strzępy zmasakrowanego konia dodawały grozy temu koszmarnemu widokowi. Setki czerwonych jabłek razem z jednym kołem wozu potoczyły się daleko, chcąc jak gdyby oddalić się od tej tragedii. Inne,

zgniecione na miążgę, na równi z ludzkimi ciałami i koniem, przypominały makabryczny dywan utkany z owoców i ludzi. Przed chwilą przejeżdżały po nim gąsienice sowieckich czołgów.

Gąsienice, ohydne gąsienice – myślałem gorączkowo. – Gąsienice to pasożyty, które atakują?... Które rozgniatają?... Nie! Gąsienice nie rozgniatają... A przecież budynki ulicy są pokryte krwią i spryskane cząstkami mózgow ludzkich... Gąsienice nie wspinają się po ścianach kamienic...

Byłem bliski omdlenia, traściłem grunt pod nogami. Pan Olech mnie podtrzymał: – *Nie myślałem, że masz aż tyle wytrzymałości. Odwagi, młodzieńcze... należy być odpornym, bardzo odpornym. To, co widzisz, to dopiero początek. Uratowałeś nasze życie; musiałeś mieć przecucie: dotknął cię palec Boży.*

Uratowałeś nasze życie – myślałem. I nie było to zwykłe przecucie, ale nic tam już nie mogliśmy uratować, gdzie śmierć rozwiła swe złowrogie skrzydła.

Odeszliśmy z miejsca koszmaru patrząc tylko przed siebie. Do tej chwili byłem szczęśliwym młodzieńcem, studentem praktykującym w przedsiębiorstwie spożywczo-kolonialnym o wielkiej renomie, kimś, kto snił o studiach uniwersyteckich...

Wszystko to teraz było nierealne, zgniecione przez wojnę i inwazję, zniszczone przez strzały armatnie morderczych czołgów sowieckich. Dzień 22 września 1939 roku, dzień mojej duszy zranionej, moment, w którym zacząłem hartować ducha z myślą przetrwania nieszczęść, które mogły mnie spotkać.

Tytuł wspomnienia pochodzi od Redakcji.

STANISŁAW BRONISŁAW SKOWROŃSKI, ur. 1919 w Horodence; syn komendanta posterunku Policji Państwowej. W czasie II wojny światowej, po przeżyciach w więzieniu sowieckim i łagrze, przedostał się do armii Andersa i w W. Brytanii został oficerem Sztabu Nacz. Wodza PSZ na Zachodzie. Po skoku do okupowanej Polski jako cichociemny (IX '43), działał w AK na Wileńszczyźnie. Aresztowany przez NKWD w XII '44, wywieziony do Zagłębia Donieckiego, pracował w kopalni węgla. W X '45 uciekł z łagru i dotarł do Lwowa. Poszukiwany przez służby bezpieczeństwa sowieckie i polskie, przedostał się w 1946 do Anglii. Osiadł w Argentynie.

Janusz Hodyr

O Kazimierzu Sichulskim, myśliwych i kościele św. Elżbiety (2)

Dokończenie z CL 2/09

Kazimierz Sichulski w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie

Wybuch wojny zastał autora Hubertowskiej kaplicy w lwowskim domu na Zofiówce. W tym czasie jego problemy ze zdrowiem przybierały na sile. Po wkroczeniu do miasta oddziałów Armii Czerwonej nastąpił dla jego rodziny ciężki czas – zapoczątkowała je gruntowna rewizja domu. Sześćdziesięcioletni wówczas profesor ASP w Krakowie, którego w minionych latach doświadczyła gospodarcza recesja kraju, uważał, że najpewniejszym sposobem zabezpieczenia oszczędności przed dewaluacją jest lokowanie ich w złocie. Dlatego większość gotówki ze sprzedanych prac zamienił na złote dwudziestodolarówki, by odłożyć sobie coś na tzw. *czarną godzinę*. Cały swój wypracowany dorobek przechowywał w glinianym garnku, który zakopywał w piwnicy swego domu. Gdy pod pretekstem poszukiwania broni dom został poddany rewizji – dzban wypełniony złotymi monetami został odnaleziony i zarekwirowany. Ta strata nie tylko pozbawiła rodzinę malarza środków do życia, ale również odcisnęła trwałe ślady na jego schorowanym sercu. Okres pierwszej sowieckiej okupacji Lwowa, a następnie niemieckiego agresora nie oszczędzi Profesora. Pogarszający się stan jego zdrowia sprawi, że w drugiej połowie października 1942 r. trafi do szpitala, w którym będzie przebywał do pierwszych dni listopada. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że cenionemu mistrzowi, który swym talentem i artystycznym dorobkiem na trwałe wpisał się w historię polskiej kultury, pozostają ostatnie godziny życia. Po wyjściu ze szpitala udaje się do swego domu. Jest tu obecny tylko ciałem, skupiony i małomówny, myślami gdzieś daleko, siedząc na balkonie swego domu, patrzy na ogród. Odrywając się na chwilę z głębokiego zamyslenia, do przechodzącej najmłodszej córki powiedział: *Widzisz dziecko – życie jest jak ten liść na drzewie. Wyrasta, rośnie, dojrzewa, a potem więdnie i spada do zie-*

mi. Tak jest i z naszym życiem. Niebawem jego rodzina stwierdzi, że Profesora nie ma już wśród żywych.

Maria Rolecka*, która mistrza Sichulskiego знаła osobiście, ostatni okres jego życia w swoim pamiętniku tak opisuje (fragment):

Kazimierza Sichulskiego poznałam w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie. Prowadziłam wówczas sklep z obrazami – Salon Sztuki – który mieścił się przy ul. Akademickiej 23 i nosił nazwę „Kunstaustellung”. Sklep był własnością Feliksa Michała Wygrzywałskiego.

W Kunstaustellung wystawiał i sprzedawał swe obrazy nie tylko Feliks Wygrzywałski, lecz także cała plejada artystów. Prócz tego sprzedawaliśmy obrazy pozostawione w komisie przez osoby postronne. Ówczesne ciężkie warunki bytu zmuszały wielu do wyzbywania się nawet dzieł sztuki, aby zdobyć pieniądze na życie. Nabywcami byli: Niemcy, Włosi, Słowacy oraz polscy handlarze obrazów. Prócz sprzedających i kupujących przychodziło do Kunstaustellung wielu znajomych i przyjaciół. Traktowali oni Salon jako miejsce spotkań towarzyskich i jak w cukierni przesiadywali w nim przez wiele godzin. Stałymi gośćmi byli artyści malarze Czesław i Tadeusz Sadowscy, inż. Adam Wojtan, tenor Stanisław Werner, znany aktor Bronisław Dąbrowski z żoną Myszka z baletu, Janka Pitulajówna, kustosz muzeum Jerzy Güttler, Zofia z Gerstmanów Festenburgowa i wielu, wielu innych. Wpadali na pogawędkę malarze Rozwadowski i Batowski. Codziennym gościem był Kazimierz Sichulski, zwany przez nas wszystkich „Sichułą”. Przychodził stale około godz. 17, sapiąc, dysząc i narzekając na złe zdrowie. – „Chory jestem, atak miałem o 4. nad ranem, muszę usiąść i wypocząć”. Gdy fotelik, który uważał za swoją własność, był zajęty, energicznym ruchem wskazującego palca wypraszał, a raczej wyrzucał siedzącego i sam rozsiadał się wygodnie. Zdejmował



K. Sichulski, autoportret
w pracowni, 1924

bobrową czapkę, rozwiązując powoli tasiemki kłap, okolonych wąskim pasmem bokobrodów, które łączyły się podbródkiem. Brodę golił. Twierdził, że styl ten oszczędza mu mydła do golenia, którego ma bardzo mało. Wyglądem swym przypominał rybaka. Kiedy

rozpiął powoli futro i zapalił papierosa, zapominając o wszystkich swoich niedomaganiach fizycznych, zaczynał swe opowiadanie, rubasznie, nie przebierając w słowach. Opowiadał o latach swej młodości, o przygodach w wojsku austriackim, jak to ładnie wyglądał w czerwonych opiętych portkach i ullańskim czako z końską kitą, jakie miał powodzenie u kobiet i jak one za nim szalały, jak się ożenił, rozwiódł, ożenił po raz wtóry. Opowiadał o córkach dodając: „ładne są szelmy” i zawsze z rozrzewnieniem wspominał syna. Gdy zbliżała się pora przyjścia Sichuły, sklep zapełniał się nie klientami, lecz słuchaczami. Wszyscy entuzjaści profesora stawiali się w komplecie, między nimi Enzo Sacco (młody Włoch znający język polski) oraz Słowak – lotnik Józef Szkot.

Za każdym swoim pobytem Sichuła przeglądał wszystkie nowe przyniesione do sklepu obrazy i większość z nich krytykował. Nie oszczędzał też Wygrzywały. – „Ta bój się Boga, Feliksie! Ta cóż ty za bohomyz malujesz, ta gdzie ty takie niebo widział?” Wygrzywański wzruszał ramionami i odpowiadał: – „No cóż mam robić, żyć trzeba, a maluję hamanów dla hamanów”. – „Nu – a ja nie, nigdy się nie ześwinie i ani szmir, ani kiczów malował nie będę” – odpowiadał Sichulski.

Kiedyś zauważył w sklepie piękne anemony w złoconych stylowych ramach. Zauważyłam, że wzrok Profesora wciąż biegł ku anemonom. Spytałam więc, czy mu się ten obraz podoba. – „Gdzie tam, świństwo jakieś” – mruknął, ale nie przestawał kokietować obrazu – w końcu zapytał: „A kto to namalował?” – „Pan Panie Profesorze” – odpowiedziałam. „Co?! Ja?... Pewno wy-

kradziono mi go z pracowni i nie jest podpisany”. – „Owszem, podpisany!” – „A, to w takim razie musiałem podpisać w przypływie dobrego humoru”. Po chwili dodał: – „A wie Pani, to jest jednak całkiem niezły obraz”.

Przyniesiono na sprzedaż mały obrazek Wlastimila Hofmana. Podobał mi się i zamierzałam go kupić. Aby zasięgnąć opinii zapytałam: – „Jak się panu Profesorowi ten Hofman podoba?” Spojrzał na obrazek znad okularów, lecz nie odpowiedział. W końcu gdy miał już dość moich kilkakrotnych natarczywych pytań, odezwał się: – „Ta, pani Marysiu, to jest tak samo, jakby się pani zapytała Paderewskiego, jak mu się ten kataryniarz na ulicy podoba”. – Obrazka nie kupiłam. O pracy jednego ze znanych malarzy mówił: – „A ten, cóż on dla sztuki polskiej zrobił? ... Ułan – dziwka, ułan – dziwka”. Wiedzieliśmy, że w okresie wojennym profesor miał duże trudności finansowe. Namawiał go Wygrzywała, namawiałam i ja, aby przysłał do sklepu coś ze swoich obrazów na sprzedaż. Odmawiał, gdyż jak twierdził: – „nikt z dzisiejszych hamanów mojej sztuki ani nie oceni, ani nie zrozumie”.

Poza tym nie chciał wyzbywać się swoich dzieł, a malować wówczas nie miał na czym, bo ani płótna, ani blejtramów nigdzie kupić nie było można. Przyniósł dwa małe obrazki i zawiadomił mnie, że namalował również duży obraz na sprzedaż na odwrotnej stronie jakiegoś kicza, który znalazł na strychu. Poprosił, abym kogoś po ten obraz przysłała, bo: – „stary jestem i sił nie mam na taskanie”. Obraz „Orka wołami” natychmiast umieściłam na wystawie – był przepiękny. Nie trwało długo, gdy do sklepu wszedł Niemiec i obejrawszy dokładnie obraz, z miejsca go kupił. Zapłacił czekiem. Następnego dnia miałam czek zrealizować i sądziłam, że uda mi się to uczynić przed przyjściem Sichuły. Nic podobnego. Wpadł znacznie wcześniej niż zwykle i już od progu, jak Jowisz Olimpijski, rzucił na mnie grokami. – „Zawiodłem się na pani, obietnicy nie potrafi pani dotrzymać. Obraz miał być wystawiony – nie ma go. Małych obrazków też nie widzę. Gdzie one są?” Rzucił wzrokiem po ścianach i nie dając przyjść do słowa, wymyślał mi bez ustanku, że uważał mnie za przyjaciela, ale jak to zwykle z babami, wierzyć im nie można, że zawiódł się

ogromnie na mnie i że nigdy mi nie... itd. itd. – „Już dzisiaj wierzyć nikomu nie mogę. A małe obrazki gdzie są? – a widzę powiesiła je pani koło urynałów (martwa natura) Sadowskiego”. Słuchałam tych wymyśleń do pewnej chwili spokojnie. W końcu i we mnie krew zawrzała i krzyknęłam: – „Obraz sprzedany! – i to za cenę dwukrotnie wyższą niż pan wyznaczył, a Wygrzywała obiecał komisowego nie potrącać.” Na to Sichulski: – „To czemu pani od razu mi tego nie mówi! Tylko pozwala mi irytować się – no a gdzie pieniądze? Kto mój obraz kupił?” Odpowiedziałam, że Niemiec, dyrektor banku, i że zapłacił czekiem. – „Masz babo placek – pieniędzy nie zobaczę. Szwab nabrał panią ordynarnie. I rób tu interesy z babami”. Zostawiłam go w sklepie wciąż wymyślającego i wyszłam do banku. Po powrocie wręczyłam mu gruby plik banknotów. Przeliczał je długo i dokładnie. W końcu uspokojony i zrównoważony, nie wiedział, jak ma mnie przeprosić „za grubiański wybuch” – zaprosił mnie na miód, do małej cukierenki obok. Nie był to miód pitny, jedliśmy go łyżeczkami. – „No nie gniewa się pani na mnie, droga pani Marysiu?”

Zachęcony dobrą transakcją i tym, że można łatwo sprzedać obrazy, chociażby malowane na odwrotnej stronie kiczów, profesor postanowił kupować stare bezwartościowe obrazy. Daliśmy ogłoszenie i niedługo trwało, gdy zjawił się jakiś jegomość z kiczem nad kiczami. Po długich targach Profesor ubił cenę i już zamierzał płacić, gdy zauważył, że ów jegomość zaczyna odkręcać kółko od ramki. Spojrzał jak zwykle znad okularów (nosił je do połowy oszklone) na delikwenta, uderzył pięścią w stół i krzyknął: – „Z kółkiem kupilem!” – a jegomość na to: „Ale z pana miły staruszek.” – „Żeby pan

wiedział, że miły, miły jestem!” – przerwał mu Sichuła.

Jak zawsze o godzinie 17 do sklepu przyszedł Profesor. Tym razem prócz zwykłego narzekania na zdrowie skarżył się: – „Pani Marysiu, umieram z głodu, od rana nic w ustach nie miałem. Głodny jestem”. Mając w sklepie pełno wiktuałów, poczęstowałam go czym mogłam. Jadł łapczywie z apetytem, od razu poczuł się lepiej i poweselał. Po paru dniach ktoś z moich znajomych zaśmiewając się doniósł mi, że Sichuła na prawo i lewo rozpowiada po Lwowie jak to dobra ta Marysia od Wygrzywalskiego! – „herbaty mi dała, chleba mi dała i kielbasy mi dała.” Od tego czasu, przez bardzo długi okres, byłam nazywana przez przyjaciół i znajomych nie inaczej, tylko – „Marysia od Wygrzywalskiego.”

Sichuła zapraszał mnie szereg razy do siebie na Zofiówkę, aby pokazać obrazy, malowane jeszcze w tych dobrych i beztrudnych czasach. Wybrałam się więc w towarzystwie aptekarza Kazimierza Wygodowskiego. Profesor przyjął nas bardzo serdecznie. Poprosił, bym usiadła przy nim na kanapce. Kazikowi polecił, by z paki obrazów ustawionych pod ścianą brał każdy po kolei i w odpowiedniej odległości stawiał przed nami. Pierwszy obraz już stał, gdy Sichuła przerwał ten pokaz. – „Ta nie tak, ta nie widzi pan, jak światło pada? Nie tak, troszkę na ukos. Ta znowu źle, ta znowu nie tak. Oj, panie Kaziu, lubię pana bardzo, ale zna się pan na obrazach jak świnia na pieprzu”. Starłam się nie zwracać uwagi na te epitety, gdyż przed oczami przesuwaly się cuda. Wesele huculskie, chłopskie szkapy, jarmarki, fauny, konie wystraszone przez stary wiatrak, kwiaty i znowu jakiś faun grający na flecie. Było tych obrazów dużo, a wszystkie arcydzieła.

Dech zapierało z wrażenia. Nie ochłonęłam jeszcze, gdy Sichuła wręczając mi jakąś książkę prosił, abym w jej spisie pod literą W wyszukała Wygrzywalskiego. Szukałam bez skutku i powiedziałam: – „Nie ma, Pannie Profesorze.” – „I nie będzie!” odpowiedział. A po chwili dodał: – „Co Pani wła-



K. Sichulski, „Obrona Lwowa” (dla „Lwigródu” w Krynicy)

dokończenie na s. 75

Z ks.

Władysławem Derunowem,

rozmawia Sylwia Palka*



Jeszcze niedawno kościoły na Ukrainie, podobnie jak na całym Wschodzie, były pozamykane albo przekształcone w magazyny i celowo niszczone. Teraz – można powiedzieć – Pan Bóg i wiara „wracają” na tę ziemię. Świadczą o tym choćby odradzające się sanktuaria i kultury...

Tak. Wraz z odradzaniem struktur archidiecezji lwowskiej (od 16 stycznia 1991 roku) rozpoczęło się wskrzeszanie parafii, zakonów, miejsc kultu uświęconych wieloletnią tradycją i modlitwą (kult Matki Bożej Rudeckiej, MB Tartakowskiej czy – w innych diecezjach – MB Berdyczowskiej i Łatyczowskiej). Kiedy myślę o tym, nasuwają mi się na myśl słowa modlitwy kard. Stefana Wyszyńskiego. Prymas Tysiąclecia modlił się do Matki Miłosierdzia z Ostrej Bramy. Tobie powierzamy rodaków żyjących za kordonem, braci Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Łotyszów, Estończyków, Rosjan. Wyjdź z muzeów, wróć do sanktuariów. Niech się otworzą bramy Twych sanktuariów. Twoje miejsce nie w muzeach i magazynach dzieł sztuki... Otwórz wszystkie wrota zamkniętych kościołów, opustoszałych świątyń, cer-

kwi, kaplic. Niech wrócą kapłani do świątyń! Tak mniej więcej brzmiała ta wzruszająca modlitwa. Kardynał Wyszyński nie tylko prosił – tak się stało.

Ksiądz posługuje na terenie archidiecezji lwowskiej, zasłużonej dla Kościoła, bogatej w historię i relikwie.

Archidiecezja lwowska posiadała bardzo cenne relikwie i obrazy czczone przez wieki, np. relikwie św. Jana z Dukli były we Lwowie u bernardynów, a bł. Jakuba Strzemię – w katedrze. U lwowskich karmelitów znajdował się słynący cudami obraz Chrystusa dźwigającego krzyż (obecnie jest w Krakowie). W Busku natomiast był obraz Matki Bożej Różańcowej, w Łopatynie – Matki Bożej Łopatyińskiej. W Podkamieniu czczono Matkę Bożą Różańcową (było to jedno z największych sanktuariów). Warto dodać, że w archidiecezji lwowskiej największe sanktuarium maryjne znajdowało się właśnie we wspomnianym Podkamieniu, a pasyjne – w Milatynie. Warto wspomnieć również o cudownym obrazie św. Antoniego u bernardynów we Lwowie. I o obrazie Matki Bożej Sokalskiej z klasztoru bernardynów. Obecnie klasztor ten zamieniono na więzienie, a obraz znajduje się w Polsce.

Wizerunek Pana Jezusa Konającego z Milatyna obecnie odbiera cześć nie w Milatynie, ale w sanktuarium w Kamionce Buskiej. Zdobią go korony poświęcone przez Jana Pawła II...

Tak. Jan Paweł II poświęcił korony w Krośnie podczas kanonizacji bł. Jana z Dukli, a sam obraz podczas swej wizyty we Lwowie. Podczas odradzania kultu wierni czcili obraz, który był noszony podczas pielgrzymek. Podczas pobytu Jana Pawła II we Lwowie (czerwiec 2001 r.) jako dar parafii, dziękczynienie za odnowienie kultu, dzieci niepełnosprawne oddały Ojcu Świętemu w darach ofiarnych właśnie ten wizerunek. Obraz pojawił się w katedrze lwowskiej na czas nawiedzenia jej przez Jana Pawła II, gdy Ojciec Święty przybył, by pokłonić się Matce Bożej Łaskawej i odwiedził poszczególne kaplice katedry. W kaplicy poświęconej Matce Bożej Częstochowskiej, gdzie znajduje się serce abp. Józefa Bilczewskiego, beatyfikowanego nazajutrz, oraz relikwie sługi Bożego ks. Zygmunta Gorazdowskiego, zostały zgromadzone obrazy, które Jan Paweł II pobłogosławił.

Czy może Ksiądz Kustosz opowiedzieć, w jaki sposób odrodził się kult Pana Jezusa Milatyńskiego?

Kult odrodził się spontanicznie. Przetwał w obrazach obecnych w licznych domach, w pamięci wiernych oraz w wezwaniu: „O, mój cudowny Milatyński Boże, niech mnie Twa łaska w potrzebie wspomóż”. Ciekawe, że w 1994 i 1995 roku odpustowi w uroczystość Podwyższenia Krzyża św. przewodniczyli ówczesny metropolita lwowski, czyli o. Rafał Kiernicki, oraz ks. Mieczysław Mokrzycki, obecny koadiutor. Znaki czasu... Pielgrzymka rozpoczęła się na polu w Streptowie. Bardzo angażowała się w to pani Ewa Kubicka, która 11 września tego roku [2008], tuż przed odpustem, odeszła do Pana. I tak w 1996 roku już istniało sanktuarium. Kościół podniesiono do jego rangi, a obraz znalazł się w nim na mocy dekretu. W 1997 roku odbyła się uroczysta koronacja obrazu.

Wizerunek i sanktuarium słyną z cudów. Także w czasie koronacji dano świadectwo. Czy mógłby je Ksiądz Kustosz przytoczyć?

Obłożnie chora dziewczynka, walcząca z nowotworem, w maju odwiedziła sanktuarium. 1 października lekarze stwierdzili, że jest zdrowa (jest potwierdzenie lekarskie). Powiedziałbym, że nie ma tak spektakularnych uzdrowień, jak te, które były w Milatynie Nowym. Są przypadki pojednania z Bogiem na łożu śmierci – jak dobry łotr... Nie ma roku, by nie było choć jednego takiego nawrócenia.

Wspomnę jeszcze o jednym przypadku: bardzo chore dziecko, cierpiące na nowotwór złośliwy. Rodzice, choć niewierzący, poprosili, by zostało ochrzczone w sanktuarium. Sasza Verhovenko otrzymał imiona: Aleksander Benedykt Władysław. Pochodził z rodziny o żydowskich korzeniach, dlatego zasugerowałem, by na drugie imię miał Benedykt: po Edycie Stein, która w Karmelu przyjęła imię Benedykta. Matka po pewnym czasie powiedziała mi: „Pięcioro dzieci z takim samym nowotworem zmarło w szpitalu w Kijowie”... Chłopiec żyje.

Mimo lat ateizacji i walki z Kościołem parafia rzymskokatolicka w Kamionce Buskiej przetrwała. Sanktuarium istnieje i rozwija się dzięki tym, którzy nie bali się o nie walczyć. Można powiedzieć: garstka czcicieli. Czy obecnie wiernych jest więcej?

W pierwszą niedzielę palmową, czyli w 1990 roku, w Eucharystii uczestniczyło 29 osób. W tym roku w niedzielę palmową we mszy św. uczestniczyło znacznie więcej osób, bo aż 136 przystąpiło do Komunii św. Ogólnie można mówić o około 150 parafianach, którzy regularnie uczestniczą w nabożeństwach. W tym roku [2008] u Pierwszej Komunii św. było sześćcioro dzieci. Warto wspomnieć, by mieć jasność sytuacji, że nie wszyscy rodzice tych dzieci sami byli u Pierwszej Komunii św. (dwie pary na pewno nie były).

Proszę krótko opowiedzieć o odzyskaniu, odrodzeniu sanktuarium.

Msza na poświęcenie kościoła została odprawiona 18 listopada 1989 roku. Poświęcenia dokonał wspominany już przeze mnie bp Rafał Kiernicki, franciszkanin, „wieloletni stróż katedry i wiary w najtrudniejszych czasach” – jak powiedział o nim Jan Paweł II. Kolejna ważna dla historii sanktuarium data to 26 grudnia 1989 roku. Wtedy pierwszy raz po otworzeniu spustoszonej świątyni przyjechał abp Marian Jaworski, administrator apostolski, któremu przypadło w udziale zachowanie i przekazanie doświadczonego od czasów II wojny światowej dziedzictwa bł. Jakuba Strzemię i św. arcybiskupa Lwowa – Józefa Bilczewskiego. Pod ojcowskim okiem Kardynała odrodziło się tak życie wspólnot, jak i tego sanktuarium, które często odwiedzał – zarówno oficjalnie, jak i prywatnie, z osobami mu towarzyszącymi. Kardynał Jaworski jest bowiem czcicielem Pana Jezusa Milatyńskiego. Po koronacji obraz odwiedził wszystkie parafie dekanatu żółkiewskiego, na którego terenie znajduje się sanktuarium.

Wspomnę, że w maju [2008], podczas mszy św. beatyfikacyjnej s. Marty Wieckiej, na cudowny wizerunek Pana Jezusa Milatyńskiego zwrócił uwagę kard. Christoph Schoenborn. Poprosił o jego kopię, którą ofiarował mu kard. Marian Jaworski. Obraz zauważył on na rycinie w mszale pontyfikalnym, z którego korzystali biskupi podczas celebry. Warto dodać, że wizerunek ten czczą także zmartwychwstańcy pod Wiedniem.

Życie w parafii kwitnie... Istnieją różne grupy modlitewne, można się włączać w adorację, uczestniczyć we mszach i nabożeństwach. Jeszcze 20 lat temu trudno byłoby to sobie wyobrazić.



W ubiegłym roku [2007] wspólny kalendarz sprawił, że święta się zbiegły i z inicjatywy Kościoła rzymskokatolickiego grekokatolicy brali udział w procesji eucharystycznej. Odpusty w kościele parafialnym w Kamionce Buskiej są 26 lipca (św. Anny), 15 sierpnia (Wniebowzięcie NMP), 14 września (Podwyższenie Krzyża św.). Wierni innych Kościołów i parafii przybywają wtedy, by uczestniczyć w odpuszczeniu i tak spełnia się rola parafii jako sanktuarium. Przeważnie odpusty są *ipse diem*.

Kościół jest bardzo zadbane. Prace i gruntowne remonty trwają niemal nieustannie.

Z powodu braku kapłanów początkowo parafia w Kamionce Buskiej była obsługiwana jako dojazdowa (od 1989 r.). Msze były odprawiane w czwartki, piątki i niedziele. Od 1995 r. na stałe rezyduje w niej kapłan. W pierwsze piątki nawiedzam około 15 osób w Kamionce i okolicy. Dojazdowe parafie, a raczej miejsca sprawowania Eucharystii, to: Streptów, Batiatycze, Tadanie i Ruda Sielecka. W tej ostatniej czczona jest Matka Boża Różańcowa i na 13 maja jest tam pielgrzymka róż różańcowych. W parafii istnieją dwie róże różańcowe, skupiające 40 osób, a także Straż Honorowa (w każdy czwartek jest adoracja Najświętszego Sakramentu i udostępnione dla pielgrzymów dojrzenie do obrazu). Natomiast w każdą pierwszą niedzielę jest błogosławieństwo chorych, dzieci i młodzieży. Droga krzyżowa jest odprawiana w sanktuarium w każdy piątek, a nowenna do Bożego miłosierdzia i Pana Jezusa Konającego z Milatyna, podczas której polecamy wszystkie nasze intencje, w piątki.

Kamionka Buska to małe miasteczko, w którym wierni różnych obrządków w codziennych relacjach uczą się ekumenizmu. Święta, odpusty wymagają zastosowania ekumenizmu w praktyce?

Kamionka Buska ma około 14 000 mieszkańców. Rzymscy katolicy nie stanowią nawet 1%. Grekokatolicy w ciągu dziewięciu lat pobudowali nowy kościół. Nie mogli odzyskać swej świątyni. Podczas kasacji cerkwi unickiej została ona przekazana wiernym Kościoła prawosławnego.

Trzy wielkie przedsięwzięcia, których dokonaliśmy – powiedziałabym – przewyższają możliwości i ludzkie pojęcie. Oczywiście, poza odzyskaniem tego domu Bożego... Dzięki ludziom dobrej woli po pierwsze udało się w 1992 r. wystawić wieżę (spłonęła w 1969 r.) i zrobić dach. Przez ponad 20 lat świątynia podlegała ruinie: co spadło z nieba, to było w świątyni. I po 10 latach udało się otynkować jej wnętrze (w 1996 r.). To drugie wielkie osiągnięcie. A trzecie? Malowanie wnętrza kościoła (w 2006 r.). Ta ostatnia inicjatywa odbyła się w 5. rocznicę pobytu Sługi Bożego Jana Pawła II na Ukrainie i w 80. rocznicę urodzin metropolity lwowskiego kard. Mariana Jaworskiego – jako wotum i dziękczynienie za duchowe i materialne wsparcie, wyraz wdzięczności wiernych. Wspólnota wystąpiła do lokalnych władz z prośbą o upamiętnienie tego wydarzenia przez nadanie na cześć Papieża ulicy, przy której znajduje się sanktuarium w Kamionce Buskiej, imienia Jana Pawła II. Rada Miejska przychylnie ustosunkowała się do tej prośby i, co więcej, naprzeciw świątyni powstał nawet skwer im. Jana Pawła II. Możliwe, że w przyszłości stanie na nim pomnik – widoczny znak przypominający o odrodzeniu parafii, świątyni, które dokonało się właśnie w czasie pontyfikatu Jana Pawła II.

Wierni odzyskali kościół, ale bez plebanii. Problem również stanowią garaże użytkowane

przez Telekomunikację, które znajdują się na placu kościelnym. Tymczasem kiedyś przy kościele był cmentarz...

Podczas prac przy porządkowaniu placu przykościelnego na miejscu garaży Telekomunikacji, pobudowanych w czasie ateizmu wojującego (pozostałość po gospodarce systemu totalitarnego), który wymaga jeszcze wiele wysiłku i starań dla zniesienia tych „krzykliwych” budowli, natrafiono miejsce masowego pochówku. Archeologiczna Służba ze Lwowa 11 września 2007 r. stwierdziła obecność dawnego cmentarza, datowanego na XVII – początek XX wieku. Spodziewam się, że na miejscu dawnego cmentarza powstanie droga krzyżowa oraz miejsce pobytu pielgrzymów korzystających z przybycia do sanktuarium. Dzięki opiece Bożej, ludziom dobrej woli i wsparciu pielgrzymów, czcicieli i krzewicieli kultu Pana Jezusa Miłatyńskiego.

Przy sanktuarium są też tzw. domki, czyli dom parafialny, który może kiedyś będzie domem pielgrzymów...

Nauka religii odbywa się przy parafii w tymczasowych budynkach zaadaptowanych najpierw na mieszkanie i pobyt sióstr zakonnych ze Zgromadzenia Sióstr Serafitek, pracujących przy parafii (obecnie są to trzy siostry), a teraz jako sala katechetyczna i miejsce spotkań. Pełni funkcje miejsca spotkań, agap, przyjęć po uroczystościach liturgicznych i spełnia zadania domu pielgrzymy, gdyż dom parafialny i wikarówka, jak wiadomo, nie zostały zwrócone parafii, ale sprzedano je w czasie, gdy już odradzała się parafia, pomimo nalegań i podejmowanych starań o zwrot mienia kościelnego na podstawie rozporządzeń wyższych władz państwowych „o przywrócenie mienia kościelnego prawowitym właścicielom i ich następcom”.

Może akurat tak zostanie upamiętniony jubileusz 20-lecia istnienia, który sanktuarium będzie przeżywało w przyszłym roku?

W przyszłym roku [2009], w 25. rocznicę konsekracji biskupa metropolity, parafia będzie obchodziła 20-lecie ponownego oddania kościoła i jego odbudowy oraz jubileusz 100-lecia istnienia świątyni, zbudowanej według projektu Teodora Talowskiego na wzór kościoła św. Elżbiety we Lwowie.

W związku z tym zapraszamy do sanktuarium wszystkich. W szczególny sposób prosimy o kontakt wszystkich wywodzących się z ziemi kamioneckiej oraz mogących złożyć świadectwo kultu Pana Jezusa Miłatyńskiego we wspomnieniach swych rodziców i potomnych z czasów odbierania czci przez cudowny wizerunek Chrystusa Konającego.

Dziękuję za rozmowę i życzę, by udało się zrealizować kolejne plany, by sanktuarium rozwijało się i umacniało duchowo przybywających pielgrzymów.

* Rozmowa została przeprowadzona w roku 2008.

Ks. WŁADYSŁAW DERUNOW, ur. 1961 we Lwowie. Wyższe Seminarium Duchowne ukończył w Rydze, święcenia 1989. 1989–92 wikariusz w parafii katedralnej we Lwowie. Od 1992 proboszcz i kustosz Sanktuarium Pana Jezusa Miłatyńskiego w Kamionce Strumiłowej (Buskiej). 1996–97 pierwszy rektor Wyż. Seminarium Duchownego Archidiec. Lwowskiej, od 1994 kanonik honorowy Kapituły Metropolitalnej we Lwowie. Jeden z jego braci, ks. Celestyn, pracuje jako misjonarz w Karelii (Rosja).

Wedle ostatnich wiadomości, ks. W. Derunow po wielu latach owocnej pracy w Kamionce Strumiłowej zostaje przeniesiony do Mościsk.

Apel

JESZCZE NA TEMAT JANA ZAHRADNIKA

W poprzednim numerze zamieściliśmy artykuł o Poecie i kilka jego wierszy. Autor tych publikacji Wacław Gaberle informuje, że Jan Ernst (o nim też było sporo w poprzednim numerze CL) pisze w swoich pamiętnikach, iż na grobowcu, w którym został pochowany Zahradnik na Cmentarzu

Łyczakowskim (pole 14), na krzyżu umocowany był wiersz Poety, zatytułowany *Wiersz na grobie*. Dziś nie istnieje.

Jeśli ktoś kiedyś widział ten napis bądź o nim słyszał, proszony jest o wiadomość do redakcji naszego kwartalnika – dla p. Wacława Gaberlego – bezpośrednio, listownie lub e-mailem. Wszystkie adresy można znaleźć na końcu każdego numeru CL.

Zofia Dudrówna

Wspominam Krystynę

Właściwie... to chce mi się płakać, ale to nic nie pomoże... Więc nastawiam płytę z koncertem B-dur Brahmsa, który Krzysia tak lubiła, i zagłębiam się we wspomnieniach naszej 60 lat trwającej przyjaźni. Dokładnie pamiętam, jak zobaczyłam ją pierwszy raz na korytarzu Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, która mieściła się wówczas przy ulicy Warszawskiej w gmachu obecnej Politechniki.

Był rok 1949 i Krystyna witała się z kolegami po rocznej przerwie, spowodowanej jej małżeństwem i przeniesieniem się z mężem Tadeuszem Nazarem do Brwinowa (?) pod Warszawą. Jednak pomimo wspaniałych warunków jak na owe czasy i mieszkania w pałacu z pięknym parkiem po byłych właścicielach ziemskich – duszy artystycznej nie odpowiadała rola pani domu. Jak mi później opowiadała, nawet dźwięk skrzypiec ćwiczącego za ścianą dziecka pobudzał ją do płaczu i żalu za muzyką, z którą musiała się rozstać. W końcu wraz z mężem wróciła do Krakowa na przerwane studia, rozpoczęte tuż po ekspatriacji ze Lwowa w 1945 roku w tworzącej się właśnie PWSM.

Ja natomiast po pokonaniu niebotycznych przeciwności zjawiłam się na egzaminie wstępny i zostałam przyjęta na studia w r. 1947, kiedy Krzysia już nie było. Dlatego zobaczyłam ją dopiero po jej powrocie w 1949 roku.

Był to okres najwyższego rozkwitu tej uczelni, ponieważ do Krakowa zjechali po wojnie najwięksi artyści-profesorowie zarówno ze zburzonej Warszawy, jak i utraconego Lwowa i Wilna. A więc plejada sławnych pianistów: Zbigniew Drzewiecki, który został rektorem, profesorowie Henryk Sztompka, Jan Hoffman, Karol Klein, sławni organiści, skrzypkowie, wiolonczeliści i inni instrumentalni, światowej sławy dyrygenci, kompozytorzy i teoretycy, których z nazwisk trudno teraz wymienić. W każdym razie Krzysia wróciła do klasy prof. Kleina. Nie wiem, jak to nazwać, ale od pierwszego spotka-

nia z nią poczułam jakąś bliskość. Potem wszystko się wyjaśniło. Przecież ona była ze Lwowa. Zaczęłyśmy się coraz częściej spotykać. W tych najczarniejszych stalinowskich czasach, w których szczerze można było rozmawiać tylko z kimś najbardziej zaufanym, wspominałyśmy bez obawy nasze przeżycia z czasów potwornej okupacji sowieckiej. Opowiadała mi, jaką tragedię przechodziła jej rodzina po aresztowaniu dwóch młodszych braci jej matki i jak stale były przygotowane w domu worki z najpotrzebniejszymi rzeczami w razie wywozu na Sybir. W końcu, jak po wkroczeniu Niemców do Lwowa w 1941 roku i otwarciu więzień dziadek jej odnalazł swojego 17-letniego syna wśród stosu trupów bestialsko przez



Krystyna Moszumańska-Nazarowa jako rektor
krakowskiej Akademii Muzycznej

sowieców wymordowanych ludzi, jak się zafamał i wkrótce umarł.

Miałyśmy taką umowę, że to, o czym rozmawiamy, zostaje między nami, „jak w studni”. Dotyczyło to również naszych spraw czysto osobistych i przeżyć. Żadna nie mogła się dowiedzieć. Mogłyśmy więc śmiało wymieniać swoje uwagi i opinie na temat naszych profesorów i kolegów.

Krysia chodziła na wykłady harmonii i kontrapunktu do prof. Wiechowicza, sławnego kompozytora. Na zakończenie tego 3-letniego kursu obowiązywało napisanie „wariacji” na jakiś temat. Wtedy to profesor odkrył jej talent kompozytorski i pokierował jej dalszymi studiami na wydziale kompozycji, równoległe z fortepianem. – Ja natomiast uczyłam się na ten sam przedmiot do prof. Stefana Kisielewskiego, słynnego

„Kisiela”. Niestety na początku trzeciego roku naszego kursu został z hukiem wyrzucony z uczelni przez ówczesnego ministra kultury i sztuki Sokorskiego za publiczną krytykę „sorealizmu” w sztuce na Zjeździe Młodzieży Artystycznej w roku 1949 w Poznaniu. Takie to były czasy. Niedługo potem prof. Klein, którego studentką była Krystyna, miał opuścić Polskę na zawsze. Pamiętam, jak radziła się mnie, do jakiego profesora powinna starać się przejść. Zachwalałam jej szczerze i serdecznie prof. Hoffmana, którego metodami pedagogicznymi byłam zachwycona, i zdecydowała się zostać jego uczennicą. W związku z tym całe następne lata spotykałyśmy się dwa razy w tygodniu na jego niezapomnianych lekcjach-wykładach.

Na „wkuwanie” historii muzyki i innych przedmiotów teoretycznych umawiałyśmy się przeważnie w jej domu, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam jej wspaniałą matkę, którą z powodu bardzo młodego wyglądu wzięłam za jej siostrę i której kapitalne lwowskie powiedzonka pamiętam do dzisiaj.

Tak biegły nasze lata studiów aż do dyplomu w 1954 roku. Prof. Hoffman zalecił nam „ogrywanie” się przed publicznością i w tym celu organizowane były recitale dyplomantów w pałacu Potockich w Krzeszowicach, gdzie była odpowiednia sala i estrada z fortepianem. Jednej majowej niedzieli był recital Krysi. Wystąpiła w pięknej długiej sukni, w której wyglądała jak prawdziwa artystka. Ja wtedy tak bardzo emocjonalnie przeżywałam jej granie, że aż zmiotłabym, co natychmiast zauważyła z przerażeniem jej mama po naszym powrocie do Krakowa. – Następnej niedzieli był mój recital, na którym „kibicowała” mi Krystyna i też mocno to przeżywała. – Potem zaczęły się już prawdziwe recitale i koncerty z orkiestrą w Krakowie.

Podczas naszej pracy zawodowej kontaktowałyśmy się stale, chociaż pracowałyśmy w różnych szkołach. Chodziłyśmy razem na koncerty, towarzyszyłam jej również w Warszawie na festiwalu „Warszawska Jesień”, gdy były wykonywane jej utwory. Aż znowu spotkałyśmy się w latach 60. w Akademii Muzycznej: Krystyna na wydziale kompozycji, ja na fortepianie.

O jej osiągnięciach kompozytorskich i rektorskich nie będę pisać, bo zrobili to już inni bardzo dokładnie i profesjonalnie. Ja mogę tylko dodać, że zawsze podziwiałam jej żywą inteligencję, nieprawdopodobną pracowitość, konsekwentne dążenie do celu, zdolności nie tylko muzyczne, ale w każdej dziedzinie, w której przyszło jej działać. Jej ogromne poczucie estetyki i świetny gust przejawiał się zarówno w jej elegancji osobistej, jak i w całym jej otoczeniu. Potrafiła wszystko sama zrobić i na wszystko miała czas. Była czynna do samego końca i naprawdę jeszcze ciągle nie mogę w to uwierzyć, że jej już nie ma.

Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa, przytul ją tam, gdzie ona teraz jest, i pocieszaj nas, którzy jeszcze tu jesteśmy.



Prof. K. Moszumańska-Nazar ze współpracownikami i studentami we Lwowie

Prośba

Do naszej redakcji zwrócił się Czytelnik, p. Jan Kanas, zamieszkały dziś w Tarnowie, lecz rodem z wojew. tarnopolskiego. Pan Jan poszukuje rodziny i innych mieszkańców wsi Żelechów Mały i Żelechów Wielki, pow. Kamionka Strumiłowa, którzy zostali ekspatriowani wiosną lub latem 1944 r., a później osiedleni na Ziemiach Zachodnich w różnych miejscowościach. Starsi już zapewne pomarli, ale żyje ich potomstwo, które mogłoby coś opowiedzieć na temat losów

ludzi stamtąd – temat, który stale dręczy pana Jana. Jego rodzice z dziećmi opuścili Żelechów Mały – przysiółek „Chatki”, gdy banda ukraińska zamordowała jego dziadków i wujka, a ich ciała spaliła w ich domu.

Pan Jan nie ma kontaktu ze swą bliższą i dalszą rodziną ani innymi ekspatriantami ze swoich stron, a bardzo chciałby ich odnaleźć. Ewentualne wiadomości proszę kierować na adres:

Jan Kanas, 33-100 Tarnów, ul. Zamenhoffa 43.

Zbigniew Schneigert

ZWYKŁA KAMIENICA

Poniższe wspomnienie inż. Z. Schneigerta (1908–1998), zapewne część szerszego pamiętnika, zachowało się w zbiorach dr. Tadeusza Krzyżewskiego. Inż. Schneigert spędził lata po II wojnie światowej w Zakopanem. Projektował tam koleje linowe dla całego kraju.

... Wkrótce przeprowadziliśmy się na ulicę Kadecką, co miało, jak się potem okazało, historyczne znaczenie. Przejdę na razie do nudnego tematu, chcę napisać o... kamienicy, zwykłej czynszowej kamienicy. Kusi mnie jako z zawodu inżyniera, by pokazać ze złośliwości mieszkańcom betonowych pudeł, jak to się ongiś mieszkalo. Jak rozumieć postęp techniczny.

Kamienica była murowana i miała pięć poziomów użytkowych, ale były tylko trzy piętra. Wówczas inaczej się je liczyło: niski parter, wysoki parter, mezanin, piętra i poddasze. Ściany zewnętrzne były wyłożone sztucznym, białym piaskowcem, co eliminowało tyńkowanie. Pokoje były wysokie, a pod sufitem były umieszczone na hakach mosiężne pręty do zawieszania obrazów. Ogrzewanie było centralne, ale były też piece, co okazało się zbawienne w czasie oblężenia miasta. Łazienka z piecem węglowym. Wentylacja grawitacyjna i... centralny odkurzacz. W piwnicy był ekshaustor z rurami prowadzonymi do mieszkań, a w przedpokoju było ujęcie, do którego mocowało się wąż odkurzacza. Na poddaszu była duża pralnia. Światło elektryczne, kuchnia węglowa i gazowa. W kilku mieszkaniach telefony. Dwie klatki schodowe, jedna główna z witrażami w oknach, druga kuchenna. Schody główne wysłane dywanem, przytrzymywanym prętami mosiężnymi. Wszystko wykładane marmurem. Cała aparatura i kłamki mosiężne. Nad wszystkim miał opiekę stróż, tak się wtedy nazywał. Nasz stróż był szlachcicem i na Nowy Rok składał życzenia zostawiając wizytówkę z herbem Łódź i nazwiskiem Cyryl Buma (?). W wolnych chwilach trudnił

się szewstwem. To jeszcze jeden przykład degradacji szlachty w epoce powojennej. Właścicielem był zbankrutowany właściciel ziemski, na którego wizytówce widniało Ritter von Szczepański, stare polskie nazwisko.

Mieszkańcy też stanowili interesujący zestaw różnych zawodów. Na niskim parterze mieszkała wdowa po profesorze Sorbony, której córka zarabiała lekcjami francuskiego. W przeciwległym mieszkaniu żyła w nędzy porzucona żona hrabiego Grocholskiego z trzema synami. Na mezaninie, poza nami, mieszkał dyrektor kilku cegielni i wykładowca na Politechnice inż. Matzke. W drugim mieszkaniu para aktorów Teatru Wielkiego – Rybałtowsky. On amant, ona zachorowała na tarczycę, miała wybaluszone oczy z niezamykającymi się powiekami. On trwał w swojej profesji i kamienica była świadkiem smutnych awantur. Powyżej mieszkał radca magistratu, do którego dziwnie często donoszono jakieś torty, pasztety, dziczyznę. W drugim mieszkaniu mieszkał inny radca, ale z województwa, niemający widocznie skłonności do przyjmowania podarków. Powyżej mieszkał właściciel oraz pułkownik najpierw wojska austriackiego, teraz polskiego, von Kurzbauer. Na poddaszu mieszkała konduktorka tramwajowa, nieaprobowana przez resztę lokatorów. Mieszkanie miało jak marzenie z tarasem na dachu i widokiem na całe miasto. W takim to standardzie żyła przeciętna inteligencja w tamtych czasach i to w czasie toczącej się wojny.

Na początku ulicy Kadeckiej, z prawej strony, była remiza tramwajowa, skąd wyjeżdżały tramwaje ulicą Kopernika, by włączyć się do sieci miejskiej. Odcinek od ul. Leona Sapiehy zabrano Kopernikowi i dano panu Tomickiemu, dyrektorowi tramwajów. Tamten raz tylko ruszył ziemię, ten codziennie rusza tramwajami. Z drugiej strony były koszary żandarmerii. Pamiętam sprzed wojny – w długich zielonych płaszczach, w czarnych kapeluszach z piórkiem, z blachą na piersiach, szablą przy boku i karabinem, jak stali na straży monarchii. Wojna zabrała ich gdzieś na fronty. Poszli, przypinając sobie do kapelusza liść dębowy, podobnie jak wszyscy żołnierze austriaccy. Do koszar weszli jeńcy włoscy. Ludzie byli im przyjaźni, zbierali się przy siatce ogrodzenia dając chleb, a raczej wymieniając się na mister-

nie robione z włosa końskiego pierścienie, bransolety lub też na biżuterię zwyczajną z pocisków artyleryjskich. Kilka lat później koszary zburzono i wybudowano tu gmach Dyrekcji Miejskich Zakładów Elektrycznych, a prof. Bogucki opowiadał na wykładach, jakie tam były trudności z fundamentami. Ongiś był tu staw, zwany Panieńskim. Potem zasypano go śmieciami. Zwyczajne fundamenty zapadłyby się, pale nie mogły być bite, gdyż twardy grunt był za głęboko. Profesor zaprojektował wielką łódź żelbetową, którą osadził w wykopie na piasku. Na niej wybudował budynek. Wszystko pięknie się udało i w 1941 r. gestapo miało gmach dla siebie i mogło mnie prowadzić tutaj z więzienia na Łąckiego na przesłuchania. Tradycja utrwaliła się i dziś tam urzęduje WKBG.

Ulica Kadecka, zwyczajna lwowska ulica, a jakie historie mieściły się w jej murach. Pod numerem czwartym w mieszkaniu artysty-introligatora Semkowicza, późniejszego senatora, mieścił się w jego sypialni szpitalik odcinka obrony Lwowa tej ulicy. W su terenach mieszkali dwaj bracia Owenowie, późniejsi wykonawcy polskich szybowców latających na pierwsze polskie szybowisko w Bezmiechowej. Kamienica nr 6 należała do Hipolita Śliwińskiego, posła do wiedeńskiego parlamentu i posła na Sejm, socjalisty, z zawodu murarza. Był on wybitnym działaczem niepodległościowym i przyjacielem Józefa Piłsudskiego, który stale korzystał z jego gościny. Na domu umieszczono tablicę pamiątkową, jeszcze dziś jest ślad po niej. W czasie obrony Lwowa mieściła się tu komenda odcinka. Pod numerem dziesiątym mieszkała pani Schpechtowa, której dwaj synowie zginęli pod Zadwórzem. W tej kamienicy nieznany wówczas aktor Adam Hanuszkiewicz znalazł sobie pierwszą żonę, Skowrońską. Jej brat zginął jako lotnik w bitwie o Anglię. Za tą kamienicą willę zbudował sobie poseł inż. Kanarowski, który w czasie wojny podpisał volkslistę. Pod numerem czternastym mieszkała pani Zarugiewiczowa, honorowa matka Nieznanego Żołnierza, której syn Kostek zginął pod Zadwórzem. Jej córka Zofia była zdobywczynią kilku rekordów w lekkoatletyce. Pod numerem szesnastym mieszkał słynny matematyk Hugo Steinhaus ze swoją piękną żoną i córką. Mieszkał tam także inż. Zbigniew Krzywobłocki, późniejszy konstruk-



Kamienica przy ul. Kadeckiej 8. Po prawej Kadecka 6 -
- kamienica H. Śliwińskiego, gdzie mieszkał J. Piłsudski

tor samolotów w Stanach Zjednoczonych, właściciel smukłego harta i równie smukłej żony. Biegaliśmy razem na nartach.

Przy bocznej ulicy [Herburtów] mieszkał premier prof. Bartel i stąd został zabrany na stracenie. W sąsiedniej willi, należącej do prof. Kuryłły, w czasie wojny mieszkał... Chruszczow. W ogóle ta uliczka miała dziwne losy, wpięrow mieszkali dygnitarze z NKWD, potem gestapo i z powrotem NKWD. Przy drugiej bocznej ulicy, Kosynierskiej, stała willa prof. Łomnickiego i na tę ulicę przywiozło go gestapo, by dalej popędzić na miejsce egzekucji na Wulce.

Pod numerem 23 mieszkały siostry Wróblewskie, jedne z pierwszych polskich pilotek, nie wiadomo dlaczego zwane antylopiami. Na rogu Kadeckiej i Kosynierskiej w latach 1912–1914 kwaterowały Oddziały Strzeleckie. Właściciel tej kamienicy Tadeusz Bończa-Tomaszewski, z którym chodziłem po Tatrach, był oficerem w armii angielskiej na Bliskim Wschodzie. Ulica Kadecka kończyła się budynkiem Zakładu Sierot, zbudowanym jeszcze sumptem cesarza Franciszka Józefa. Mieścił się tam sztab podziemnej organizacji harcerskiej pod komendą mego kolegi szkolnego i z pierwszej lwowskiej drużyny harcerskiej – Józia Grunberga. Pojmany przez bolszewików, skazany na śmierć, potem uwolniony z Łubianki, był w armii Andersa oficerem oświatowym. Jest on autorem, pod nazwiskiem Zielicki, trzech rozdziałów w książce Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi*. Do tego Zakładu przylegał budynek Zakładu Abrahamowiczów dla niedorozwiniętych dzieci. Tu gestapo zgromadziło profesorów lwowskich przed ich egzekucją na Wzgórzach Wuleckich.

Opodał wznosi się gmach II Domu Techników, zbudowany od fundamentów rękoma polskich studentów.

Na rogu Kadeckiej i Stryjskiej stoi gmach Szkoły Kadeckiej im. Józefa Piłsudskiego, który co prawda zbudowała jeszcze Austria.

Anna M. Komornicka

WSPOMNIENIA Z CZASU WOJNY

Lwów, zima 1939/40

Gdy bolszewicy przekroczyli granicę polską na Zbruczu i ich wojska zatrzymały się w Grzymałowie, aresztowano mojego ojca Władysława Wolańskiego, a nas wyrzucono z domu. Moją matką, nas czworo i małżeństwo, uciekinierzy z Warszawy, którzy zatrzymali się u nas, przeprowadziliśmy się do Ochronki, do ss. Służebniczek (zaproszonych przez moją matkę, jeszcze siedemnastoletnią pannę, dla opiekania się dziećmi folwarcznymi), by być w pobliżu powiatowego miasteczka Skalał, gdzie przez pierwsze tygodnie więziono mego ojca. Po sześciu tygodniach, gdy władze *rewkomu* z ukraińskim komunistą Słobodianem na czele zaczęły nas systematycznie szykanować, a ludziom ze wsi groziły kary za pomaganie nam, uciekliśmy dwiema furami do Tarnopola, dokąd NKWD przetransportowało więźniów ze Skalała. Stamtąd pociągiem do Lwowa, gdzie czekała na nas nasza babka w swoim domu przy ulicy Technicznej 4. Najmłodsze dzieci udało się mamie zapisać do koedukacyjnej (!) szkoły *Sacre-Coeur* przy placu św. Jura, trochę starszy Staś pracował w ogrodach miejskich, a ja – najstarsza – przez znajomości babuni dostałam pracę w szpitalu położniczo-ginekologicznym profesora Bocheńskiego. Dziwnym zbiegiem okoliczności tenże profesor był przy moim urodzeniu przed dziewiętnastu laty... Konieczna była dla nas bezcenna „bumażka” świadectwa pracy, na mocy której dostawaliśmy kartki na chleb, mleko, margarynę – w minimalnych ilościach.

Nie miałam zielonego pojęcia o pielęgnowaniu chorych; powiem więcej: gdzie tylko dotąd zetknęłam się z jakimś wypadkiem drogowym, z kimś rannym itp., wiedząc, że nic nie zdziałam, czmychałam gdzie pieprz rośnie, bo na widok krwi robiło mi się słabo albo zbierało na nudności. I nagle miałam zostać pielęgniarką! Miałam się przekonać na własnym przykładzie, na czym polega to, czego nauczyłyśmy się w Jazłowcu, a mianowicie „łaska stanu” czy „łaska uczynkowa”. Kiedy Opatrzność postawiła mnie oko

w oko z tym nowym, niespodziewanym obowiązkiem – zniknęły bezpowrotnie wszelkie lęki, niechęć czy nawet wstręt wobec wykonywanych przed mnie koniecznych czynności. Przez wszystkie miesiące mej pracy w szpitalu ani razu nie odczułam żadnych omdleń czy mdłości. Zaczęłam od podawania basenów, mierzenia pulsu, temperatury itp. łatwych czynności, ale wnet nauczono mnie robić zastrzyki, a po miesiącu byłam instrumentariuszką przy wielogodzinnych trudnych operacjach. Praca zaczynała się punkt o szóstej rano, a kończyła... gdy wszystko było gotowe do nocnego dyżuru, tj. około szóstej–siódmej wieczorem. Zima była strasznie mroźna, wstawałam po ciemku i wracałam do domu w nocy, jadąc tramwajem obwieszonym „winogronami” przez pół miasta. Zwłaszcza rano trzeba było staczać walkę, by złapać się poręczy, wcisnąć stopę choćby na stopień wagonu.

Pacjentkami tego oddziału szpitalnego były w owym czasie kobiety wszelkiego autorkamentu: miejscowe lwowianki, uciekinierki, które wylądowały w mieście z obawy przed wywózką lub aresztowaniem, Polki, Ukrainki, Żydówki i dość liczne Rosjanki z różnych republik sowieckich, bądź to tzw. żołnierki, bądź żony żołdatów ze Wschodu czy innych władców i urzędników administracji komunistycznej. Jedno piętro – wraz z salą porodową – zajmowały kobiety w ciąży, w połogu, i noworodki, na drugim piętrze – wraz z salą operacyjną – leżały chore z wszelkimi anomaliami i schorzeniami ginekologicznymi, głównie z guzami i nowotworami. Tam pracowałam.

Dwa zdarzenia utkwiły mi w pamięci. Moim obowiązkiem było wpisywanie chorej do karty chorobowej, z dość szczegółową ankietą. Prócz danych personalnych, dat, miejsca urodzenia i pracy, była rubryka *wyznanie* – na to pytanie kobiety ze Wschodu odpowiadały identycznie: *Boga niet. Tolko priroda*. Ja wpisywałam *niewierząca*. Drugim zaskakującym momentem był okres ich wybudzania się po uśpieniu przedoperacyjnym.

Moim zadaniem było czuć nad nimi, aby odzyskiwały przytomność normalnie, bez komplikacji. Otóż zdarzyło się, że jeszcze w stanie półsnu, półwracania do świadomości wypowiadały z modlitewnym zaśpiewem zawsze jedno słowo: *Stalin, Stalin*. Myślałam z przerażeniem, jak głęboko musiała wdrzeć się do samych trzewi ich istoty złowroga propaganda boskiego niemal kultu oddawanego zbrodniarzowi ludzkości.

Z arcyciekawych przeżyć i doświadczeń nowego zawodu opowiem tu jedno. Pewnego razu przyjęto do szpitala młodą Gruzinę niezwyklej urody: szczupła, wysoka, o fiołkowych oczach w ciemnej oprawie brwi i rzęs, z długim czarnym warkoczem, o ślicznych, rasowych rękach. Jej mąż, gruba ryba w kolejniectwie sowieckim, otrzymał dla niej protekcyjną separatkę (jedyną na naszym piętrze). Spisując jej historię choroby dowiedziałam się, że ta dwudziestosiedmioletnia kobieta jest oficerem NKWD na duży dystrykt Lwowa. Od pierwszej chwili darzyła mnie sympatią – dużo przebywałyśmy razem, bo robiono jej szereg badań w czasie miesięcznego pobytu na obserwacji. Pokazało się zresztą, że była zdrowa jak koń. Nudziła się, pierwszy raz w życiu znalazłszy się w lecznicy, bez znajomych, w obcym kraju. Ciągłe więc dzwoniła na mnie pod byle pretekstem. Jak tylko miałam trochę czasu, to przynaję, że nie unikałam jej, mając cichą nadzieję, że jak ją lepiej poznam, to może jej interwencja pomoże uwolnić mego ojca, którego losem zadręczaliśmy się wszyscy. Bóg strzegł, że nie uległam mej żywiołowej impulsywności i będąc w gorącej wodzie kąpana, nie przystąpiłam zaraz do wyłożenia mojej sprawy. Ona lubiła opowiadać o sobie, toteż kiedyś na moje zapytanie, czy ma rodzinę, powiedziała po chwili milczenia: *Tak, mam – a raczej miałam – starszego brata – mówiąc to chmura przemknęła po jej twarzy, przymknęła oczy z wyrazem zaciętej nienawiści, a może nieświadomego bólu – ale ojciec i ja straciliśmy go. Nawet dziś nie wiem, gdzie jest i czy żyje. Zdrajca! – parsknęła. – Zasłużył sobie na najgorsze. Na szczęście przejrzałam go, a on, głupi, myślał, że mała siostra go nie wyda! Ale nie mówmy o nim!* Słuchałam z kamienną twarzą, by nie dać poznać, co czuję.

Innym razem udałam się z moją podopieczną na rentgen do sąsiedniego budyn-

ku w kompleksie szpitalnym. Przysiadłyśmy w kącie poczekalni. Tatiana czuła się nieswojo w każdym obcym miejscu, rzucała ukradkowe spojrzenia po ludziach siedzących na ławkach pod ścianami. Nerwowo splatała i rozplatała koniec długiego warkocza do chwili, aż ostatni pacjent opuścił poczekalnię. Żeby ją uspokoić, powiedziałam: *Masz bardzo ładne ręce*. Tatiana przepadała za komplementami, leżąc w łóżku wciąż przeglądała się w małym lusterku, wkładała koraliki na szyję, przymierzała pierścionki. Więc i teraz uśmiechnęła się jak dziecko, puściła warkocz i wyciągnęła do mnie śliczne dłonie, obracając nimi w obie strony. *Tak myślicie, siostrzo Elżbieto*, a czy wiecie, że tymi oto rękami zadusiłam dwóch Japończyków?* Nie wierzyłam własnym uszom. *Ależ tak, to prawda. Mój ojciec, oficer wywiadu, był dwa lata w Japonii i ja byłam tam z nim. Wszystkiego nauczyłam się od niego. Jemu zawdzięczam, czym jestem teraz!* – dodała z wyraźną dumą.

Dla pełnego obrazu Tatiany – jeszcze dwa drobne incydenty. Gdy ją wypisywałam ze szpitala, jej mąż pakował jej manatki i spytał mnie, czy może wziąć gumowy termofor, *bo żonie może się przydać, a w tych waszych sklepach nic kupić nie można!* – pobiegłam po moją szefową, s. Annę Galińską, by mu autorytatywnie wyjaśniła, że to niemożliwe, bo to własność szpitala, niezbędna dla chorych. Wielki dyrektor wrzucił ramionami i odłożył grzałkę na krzesło. Gdy później robiłam porządek w separacie – termoforu już nie znalazłam... Widać *śliczne ręce* Tatiany zadbały o to.

Wreszcie scena pożegnania. Tatiana objęła mnie ramieniem i z uśmiechem (chyba tym razem szczerym) powiedziała: *Bardzo was polubiłam, siostrzo Jelizawieto, nie wiem, czy się kiedyś spotkamy, ale życzę wam, że-*



Dzielnica powstania na Krakowiakach – placu Krakowskim

byście dostali za męża prawdziwego bolszewika – i ucałowała mnie w oba policzki.

Jeszcze jedna migawka z zimy wojennej 1939/40 we Lwowie. Wygnani z domu, tak jak staliśmy, moja matka i nas czworo, byliśmy zupełnie bez pieniędzy. Moja babka, u której zamieszkaliśmy we Lwowie, raz po raz coś sprzedawała z domowych drobiazgów – bibelotów, by kupić lub zamienić na jedzenie, ale na placach – bazarach lwowskich było mnóstwo sprzedających, a mało kupujących, zaś sklepy – praktycznie puste. Racje chleba, mleka, margaryny czy cukru były mikroskopijne, tylko na kartki pracownicze; trzeba było stać w kilometrowych kolejkach. Ja cały dzień pracowałam w szpitalu, ale noce i niedziele miałam wolne (nastolatki mają niespożyte siły!). A więc razem z moją przyjaciółką od serca, Nela Gniewosz, której liczna rodzina znajdowała się w podobnej do nas sytuacji, wpadłyśmy na genialny pomysł. Na przeciwległym końcu naszej ulicy Technicznej była mała piekarnia, gdzie sprzedawano chleb (po bochenku na łebka) co dzień od siódmej rano. Zapas pieczywa był niewielki, więc ogonek zmarniętych i skulonych ludzi ustawiał się już o jedenastej wieczór poprzedniego dnia. Mróz tego roku był siarczysty, Lwów tonął w zaspach śniegu. Postanowiłam, że będziemy sprzedawać herbatę czekającym w kolejce! Był to sławny „herbatol”, koloru pomarańczowego, zalatujący niby rumem, który liści herbacianych nigdy nie widział. Kupiłam kilka buteleczek koncentratu esencji w kantynie szpitalnej, od babuni wybrałam jej ogromny samowar oraz pudło kostek cukru (jedyne zapas uczyniony przez nią z początkiem wojny – 10 kg!). Kłopot był z imbrykiem. Jedyne dostępne pochodził ze srebrnego serwisu rodzinnego, z wygrawerowanym herbem i koroną (ewidentny znak „wroga ludu”). Moja matka uszyła więc czapraczek, którym opatulila naczynko. Całe to ruchome urządzenie było jednak ciężkie i nieporęczne, więc pożyczłyśmy od zaprzyjaźnionej dozorczyńni saneczki jej wnuka, przywiązałyśmy do nich sznurkami samowar i kawalkada była gotowa do drogi. Poza złotym interesem, który miał nam przynieść wielkie dochody, była to niesamowita przygoda, zwłaszcza że – aby było jeszcze śmieszniej – zdecydowałyśmy, że sanki będzie ciągnąć olbrzymi pies Neli, Gryf,

dobroduszny, flegmatyczny bernardyn, biały w brązowe taty. Był to może szalony zryw fantazji, ale potrzebowałyśmy jej, by nie myśleć o mrozie, senności i zmęczeniu.

Pierwsza noc powiodła się znakomicie. Ludzie wyciągali ręce po kubki (miałyśmy ich dziesięć). Dumna jak paw przyniosłam woreczek bilonu do domu. Niestety już nazajutrz zdarzył się nieprzewidziany wypadek. Około pierwszej w nocy, gdyśmy się uwijały nalewając, słodząc, odbierając pieniądze – nagle apatyczny i zaspany Gryf dojrzał chyłkiem sunącego pod murem piekarni kota. Zanim zorientowałyśmy się, samowar wielkim łukiem przekoziółkował przez ulicę, imbryczek utonął w zaspie śniegu, cukier rozsypał się w puszystej bieli bezpowrotnie. Pies galopując z sankami za sobą ścigał kota. Ludzie z kolejki – lwowiaci mają sławne poczucie humoru nawet w ciężkich chwilach – zanosili się od śmiechu, kobiety cienko piszczały, a mężczyźni bili się po udach z uciechy. Nam nie było do śmiechu. Taki był finał naszego biznesu i nadziei na utrzymanie budżetu domowego. Babunia, która od początku pesymistycznie zapatrywała się na naszą inicjatywę, nie gniewała się, choć piękny samowar był całkowicie rozklekotany – coś się w nim poluzowało – no a cały cukier przepadł...

* Tak mnie wszyscy w szpitalu nazywali, dla odróżnienia od siostry oddziałowej Anny Galińskiej.

O autorce – patrz CL 3/05, Z *Grzymałowa*...

TA SAMA?

Na Cmentarzu Łyczakowskim odkryto 200-letni nagrobek młodej dziewczyny o imieniu Franciszka (bez nazwiska). Może to słynna z piosenki, *śliczna jak anioł Panna Franciszka*? Kimkolwiek była – wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie...



Anna Waligórska-Wnukowa

MATURA ROK 1939

Ostatnia przedwojenna matura – 70 lat temu – w roku 1939, a równocześnie pierwsza po wprowadzeniu reformy szkół średnich w roku 1933/34. Przed reformą chodziło się 4 lata do szkoły powszechnej i po egzaminie wstępnym – 8 lat do gimnazjum, kończąc naukę maturą. Po reformie szkolnictwa nauka w szkole powszechnej trwała 6 lat, i po zdaniu egzaminu wstępnego – przez 4 lata w gimnazjum – kończąc tam naukę małą maturą, która nie upoważniała jeszcze do wstępu na wyższą uczelnię. Po małej maturze można było zdawać i uczęszczać przez 2 lata do liceum o programie profilowanym. Właśnie w 1939 zdawałam maturę wg nowego programu nauczania.

Matura była zawsze w maju, gdy zakwitną kasztany. Nasze kasztany kwitły we Lwowie przy ulicy Potockiego, gdzie mieściło się nasze kochane Gimnazjum i Liceum im. Królowej Jadwigi. Budynek szkolny naszego gimnazjum był nowy – oddany do użytku w roku 1933. Mieścił on nie tylko klasy, sale przedmiotowe z przyrody, fizyki, chemii, geografii, języków obcych, robót ręcznych, rysunków, ale i bardzo dużą salę gimnastyczną, wysoką na dwa piętra i wspornie wyposażoną, a nad nią aulę również na dwa piętra, mieszczącą przy uroczystościach ponad 1000 uczennic. Właśnie w tej auli zdawałyśmy egzaminy maturalne pisemne. Zdawało nas 120 uczennic.

W naszym liceum utworzono jedną klasę o profilu humanistycznym i 2 klasy o profilu przyrodniczym – z językiem niemieckim jedną, a drugą z językiem francuskim.

Tak więc z początkiem maja 1939 rozpoczęła się matura od egzaminów pisemnych w naszej dużej auli. Przewodniczącą Komisji Egzaminacyjnej była Pani Przełożona Ludmiła Madlerowa, która czuwała nad przebiegiem matur. Każda ze zdających uczennic siedziała przy osobnym stoliku – na frontowej ścianie auli wisiał bardzo duży obraz naszej Patronki, Królowej Jadwigi – poniżej stoliki Komisji Egzaminacyjnej. My, ubrane w granatowe spódniczki, białe bluzki z czerwoną tarczą – przyszytą, a nie na szpilce. Niczego nie można było mieć przy

sobie poza wiecznym piórem, ewentualnie okularami i chusteczką do nosa.

Papiery formatu A4 dostawałyśmy po wejściu na salę – trzeba je było od razu podpisać. Dostawałyśmy

jeden podwójny arkusz A4 do pisania na brudno konceptu opracowania, ewentualne luźnych myśli, oraz drugi arkusz podwójny do napisania już ostatecznego opracowania. Po sprawdzeniu obecności i wszystkich wstępnych czynnościach otworzono kopertę z tematami zadań z języka polskiego.

Tematów było trzy. Wybrałam *Ruchy wolnościowe w literaturze polskiej XIX wieku*. Temat bardzo mi leżał i napisałam dobrze. W następnym dniu uczennice klasy humanistycznej pisały opracowania z języka obcego: niemieckiego lub francuskiego. W dalszym dniu klasy przyrodnicze pisały opracowania z fizyki – zadania obliczeniowe i tematyczne.

10 maja ogłoszono nam wyniki egzaminów pisemnych. Uczennice, które otrzymały złe oceny z opracowań pisemnych, odpadały z dalszych egzaminów.

Napisanie opracowania z języka polskiego na *dostatecznie* powodowało w klasach przyrodniczych konieczność zdawania egzaminu ustnego z języka polskiego.

Równocześnie z wywieszeniem ocen pisemnych wywieszono grafik wszystkich egzaminów ustnych klasami. W klasach humanistycznych egzamin ustny zdawało się z języka polskiego, historii i języka obcego, w klasach przyrodniczych z przyrody, fizyki i chemii. Egzamin ustny rozpoczynała klasa o profilu humanistycznym, potem klasa o profilu przyrodniczym z językiem niemieckim, a na ostatku nasza klasa przyrodnicza z językiem francuskim. Ja zdawałam w tej ostatniej klasie i w dodatku na literę *W* – a więc ostatnia, w dniu 2 czerwca.

Gdy zdawały dwie poprzednie klasy, to nie bardzo interesowałyśmy się wynikami egzaminów – powtarzałyśmy jakieś słabiej przyswojone partie materiału – ale gdy zaczęła zdawać nasza klasa, to przychodziłyśmy do szkoły codziennie, a właściwie dwa razy dziennie – w czasie gdy ogłaszano wyniki egzaminów – rano i po południu.

Przychodziły nie tylko te, które oczekiwały na egzamin własny, ale i te, które już zdały. Byłyśmy klasą bardzo zżytą, chodziłyśmy razem do gimnazjum 8 lat i teraz przeżywałyśmy wszelkie porażki koleżanek.

Na egzaminy ustne zostało wydzielone całe skrzydło na parterze budynku. Były to klasy w których uczyłyśmy się w ostatnim roku szkolnym. W ostatniej – końcowej klasie odbywały się egzaminy ustne, na korytarzu musiała być całkowita cisza, ale w dwóch sąsiadujących klasach wymieniałyśmy między sobą uwagi na temat egzaminów. W jednej z tych klas nasze kochane mamy przygotowywały dla zdających kanapki z „obkładem” oraz mleko, kakao lub herbatę. [...]

Obok pani Madlerowej, która była Przewodniczącą Komisji Egzaminacyjnej, panie profesorki, które uczyły nas w szkole i były w Komisji – miały na egzaminie miny obojętne, marmurowe – jedynie nasza kochana Pani Wychowawczyni dr Helena Grzymirska miała odsunięte krzesło trochę do tyłu – uśmiechała się do nas, ruchem głowy potwierdzała, że odpowiadamy dobrze – to było pokrzepiające. Po zakończeniu egzaminowania partii uczennic rano czy po południu Komisja Egzaminacyjna po naradzie podawała od razu wynik końcowy egzaminów.

2 czerwca – ten dzień mojej matury zapamiętałam podwójnie – rano maturę zdawały ostatnie cztery uczennice. Gdy weszłam na salę, wzięłam kartkę z pytaniami z fizyki – nietrudne, jedno pytanie z optyki, którą bardzo lubiłam. Potem zdawałam chemię – szło mi dobrze, ale pani prof. Dobijanka, gdy mówiłam o chemii i produkcji mydeł, zapytała jeszcze o bardzo ważne zastosowanie mydeł,

którego nie wymieniłam – zastanawiałam się, a ona z tryumfalną miną powiedziała, że w czasie wojny mydło szare jest używane do dezynfekcji i odkażania. To była jej jedyna uwaga, ale patrząc po Gronie Egzaminacyjnym uważała, że istotna. Przy egzaminie z przyrody, poza 3 pytaniami, każda miała się wykazać znajomością bardziej dogłębną jakiegoś zagadnienia z przyrody, na podstawie przeczytanych w tym celu w ciągu roku szkolnego lektur. Wybrałam ochronę przyrody i parki narodowe. Poszło mi dobrze. Maturę zdałam. Gdy wróciłam do domu, mój stryj Kazimierz pogratulował mi, dostałam od niego tomik wierszy Kazimierza Wierzyńskiego oraz 2 bilety na koncert galowy Chóru Echo-Macierz w sali koncertowej Filharmonii przy ul. Chorążczyzny, właśnie na dzień 2 czerwca na godzinę 20. Jako „osoba dorosła” mogłam o tej porze pójść na koncert, i to ze znajomym. Zdążyłam jeszcze przed koncertem zrobić sobie trwałą ondulację – co nam uczennicom było zabronione. Koncert był wspaniały, mój stryj w niektórych utworach śpiewał partie solowe pięknym tenorem na tle murmurando całego chóru.

Wracając do ostatniej matury – odpadło 10 koleżanek. Za kilka miesięcy, 1 września rozpoczęła się wojna światowa – po wkroczeniu do Lwowa wojsk sowieckich 22 września rozpoczęła się pierwsza okupacja sowiecka. Już z początkiem października Pani Przełożona zorganizowała powtórne zda-

Tableau abiturientek klasy II Gamma Liceum im. Królowej Jadwigi we Lwowie, rok szk. 1939. Objasnienie nazwisk na III s. okładki



wanie egzaminu maturalnego wszystkim 10 uczennicom, które odpadły przy egzaminach wiosennych. Koleżanki zdawały tak z miejsca – bez przygotowania. Zdawały jako uczennice Liceum im. Królowej Jadwigi.

Wszystkie zdały. W kilka dni potem odwołano Panią Przełożoną z jej stanowiska – nasze Gimnazjum przestało istnieć – a w to miejsce powstała 10-latka rosyjska.

Gimnazjum i Liceum im. Królowej Jadwigi mieściło się po rozpoczęciu okupacji sowieckiej w budynku XI Gimnazjum męskiego. Nasz budynek szkolny przy ul. Potockiego z początkiem września '39 roku zajęło wojsko – na dachu ustawiono stanowiska obrony przeciwlotniczej. W naszej przepięknej sali gimnastycznej po zerwaniu parkietu stały konie, a cały budynek zamieniony na koszary nie usłyszał więcej gwaru młodzieży szkolnej. W czasie okupacji niemieckiej mieścił się w nim Instytut Weigla – wytwarzający szczepionki przeciwtyfusowe – potrzebne wszystkim stronom zaangażowanym w wojnę.

Wspominam tę naszą maturę z rozrzewaniem. Nie ma już wśród nas prawie nikogo z Grona Nauczycielskiego – poza lubianą przez wszystkie koleżanki panią profesor Kazimierą Bilińską-Plamitzerową* – której życzymy wielu pogodnych lat. Odeszła również większość koleżanek. Gdy po wojnie w latach siedemdziesiątych powstała możliwość nawiązania ze sobą kontaktu, zaczęłyśmy się spotykać w Gliwicach, Wiśniczu, Gliwicach, Zwardoniu i wiele razy w Krakowie. Początkowo spotykałyśmy się co 5 lat, ale życie nabierało przyśpieszenia, więc zaczęłyśmy się spotykać co 2 lata, a ostatnio co rok. Teraz od 4 lat mamy już tylko kontakt telefoniczny – ale stały – tak by na bieżąco wszystkie o sobie wiedziały wszystko .

Żyje nas „Francuzek” 10 – 4 koleżanki z klasy humanistycznej, 4 z klasy przyrodniczej oraz 2, które przeszły po gimnazjum do innego typu liceum. Z tych 10 koleżanek dwie mieszkają w Londynie, ale przyjeżdżają na nasze spotkania i zawsze pamiętamy o sobie.

Łza się w oku kręci, gdy wspominam nasze kochane Gimnazjum im. Świętej Jadwigi Królowej w naszym przepięknym, ukochanym Lwowie.

* Tekst pisany przed kilku laty

Janusz Wasylkowski

Patrząc z wysokiego zamku

Miasto odeszło od nas,
Myśmy odeszli od Miasta;
Jak się odnaleźć na bezdrożach,
Gdy prawda kłamstwem zarasta?

Miasto odeszło od nas,
Myśmy odeszli od Miasta...

Lwów 9 czerwca 1971

Kłopotliwy bagaż

Jestem uciekinierem
z płonącego domu

uratowałem z niego
swoje sumienie

kto mnie przyjmie
z tym bagażem

Wrocław 1956

Wiara

Już nie chcę żyć
a jeszcze
nie pragnę umierać

ten stan osiągają ludzie
którzy
tracą wszystko
lecz wierzą
że
wszystkiego stracić nie można
i
z tego co pozostało
usiłują ułożyć kolorową mozaikę
jakiej nigdy nigdzie
nie było

Wiersze z tomu „Drzewostan”, Warszawa 2008

Alina Wołosiecka Al-Koni

Brzeżany

Brzeżany, Brzeżany –
Nad brzegami jezior,
Nad brzegami ludzkich sumień,
Nad brzegami klęsk ze łzami
I z modlitwą na kamieniu.
Nad brzegami duch rycerzy
I walczących tam żołnierzy,
Krwią zalane doły, góry,
Przodków naszych stoją mury...
A świątynie ich w milczeniu
Mówią nam o zaginieniu
I miłości, i wrogości...
Tajemniczo lśni rzeka wieczności
Wiatr po nocy goni, świszczy!
A na wiosnę, jak przymierze,
Kwiat na trawie cieniem leży.
Może to nie kwiat, a smutek,
Może czyichś dusz zaulek...
Czy obrodzi nowy las?
Czy wykrzesze z nienawiści
Kwiat miłości?
Wiatr znowu świszcze
Nad brzegami, nad mogiłą,
Nad ruiną zamku z siłą!
I z wieczności ziemia mdleje.
Ach, Brzeżany, ach, nadzieje.
Wolność, wola, ludzka dola!
Piję wodę ze strumyka –
On jedyny, on prawdziwy,
Łączy z wieczną Niebą siłą,
Co przejrzysta i prawdziwa,
Nie maleje i nie znika,
A w strapienie serc przenika...

ALINA WOŁOSIECKA, ur. we Lwowie. Dzieciństwo w malowniczej okolicy Zamarstynowa. Studia literackie ukończyła w Moskwie, poetka i tłumacz. Wydała tomiki poezji: *Z modlitwą* (2001), *Dolina marzeń* (2002), *Pod wspólnym niebem* (2004). Laureatka wielu konkursów poetyckich. Pracowała w polskiej redakcji Radia Lwów. Jej drugim zawodem jest pielęgniarstwo, praca w Centrum Diagnostyki we Lwowie.

Lew Kaltenbergh

KREWNY ŚWIĘTEJ RODZINY

To nie jest takie łatwe – próbować zrozumieć teraz, po latach, czemu wtedy uważaliśmy się za tak bardzo dorosłych. To, że patrzyliśmy na wszelkie rodzicielstwo z nauczycielstwem bardzo z góry, jest zrozumiałe: dorastający bykołak, jako świadek narodzin współczesności, po trosze uważał wszystkich „starych” za śmiesznych wicehrabiów-pienczenków. Czy takie coś podejrzewało, że Lindbergh może przelecieć ocean, czy doceniało znaczenie wszelkich Challenge’ów, pucharów Davisa, Bennetta (tego od balonów, pełne brzmienie: Gordon-Bennett), albo – czy się bodaj wyznawało w tabeli ligi piłkarskiej? Mamlą to-to coś na temat rowów strzeleckich tej ich, właściwie jeszcze z początku kolorowej wojny (na kolorowanej fotografii woźny naszego gimnazjum miał czerwone portki, czerwoną furażerkę i ultramarynowo-niebieski kabat), owszem, ojciec jednego z kolegów był nawet wojskowym lotnikiem; cóż, kiedy i jego zdjęcie (z „tamtych czasów”, rozumie się) było kompromitujące: siedział w tak straszliwie staroświeckiej landarze, że przypominała bardziej przestarzały motocykl z przyczepą, a nie to, co się nazywało dumnie „Caproni Biplan 07” i pono zrzucało najprawdziwsze bomby.

Tak, prawdę powiedziawszy, nie bardzo nadążyliśmy się nawet poznać bliżej z tymi wszystkimi cudownościami, kiedy zostały i one z kolei zdane do rupieciarni, tak jak to czyniono w wojsku ze starymi, już do niczego niezdatnymi onucami. To, że opatulały przez czas dłuższy stopy, którym w udziale przypadły niekrótkie i żmudne marsze, nie miało znaczenia. Śmieszny byłby liryzm z racji strzępu, zdartej do imentu szmaty. A nowe, dorosłe chłopaki, tym razem już pospołu z dziewczętami, rzucały nam

PROZA

pełne politowania spojrzenia. A czasem i nie same spojrzenia.

Nie należy w konstatacji takich zjawisk doszukiwać się jakowejś goryczy. Wszystko, czegokolwiek kosztujemy w toku mijania lat, ma „swoją czas”, no i – oczywiście – własny posmak. „Czymże byłaby zacna słodycz wina Urmes bez odrobiny cierpkiej goryczy” – śpiewa się w jednej węgierskiej piosence. Ale to już wyraźna *licentia poetica*, bowiem Urmes to zmadziaryzowana nazwa wermutu; to wino, jak wiadomo, rzadko bywa dosłownie „słodkie”.

Tak właśnie i z tym „swoim czasem”.

Na kiedy przypada, kiedy jest najprawdziwiej „własny”? Myślę, że chyba nie wtedy, kiedy podobne pytania nasuwają się na myśl. A wcześniej jest z tym o tyle kłopot, że na żadne pytania nie staje czasu: bo to i nacierająca w wielorakich (zawsze „wspaniałych”) postaciach „nowoczesność” (już jutro będzie przemianowana na „staroświeczność”), a i oszłamniające rekordy (Nurmi Nurmim, a Konopacka, to co?!), fascynacja tryumfalnie wkraczającą muzyką nowych rytmów, filmem, wreszcie sprawy, które wbrew dotychczasowemu nawykowi zaczynają być ważne: wiadomo, miłość, złamane serce, tudzież doskwierliwy brak czterech złotych – tyle by kosztowały dwa bilety na „przywołanie” miejsca do kina. Bo nie zaprasza się kobiety na miejsce poniżej „rezerwowych”. Zawsze jest jakiś taki, który ma, i zamiast ciebie przesiedzi z nią pełny seans łącznie z reklamówkami, kroniką i dodatkiem humorystycznym na Errolu Flynnie w *Kapitanie Blood*.

Więc może to jest ten „czas”? Wydaje mi się, że też nie. Zaczyna się najprawdopodobniej wtedy, kiedy „miażdżąca” (jakby inaczej?) krytyka własnego spojrzenia zamiast głupawej przekory przekształca się w demaskatorską opozycję. Przeciw wszystkiemu. Zmieści się w tym i bezsens krępującego konwenansu, i obłuda wielu form bytowania i sądów. Nie ujdą gniewnemu spojrzeniu dysproporcje i kontrasty. Wtedy obficie będzie się sączyć do niezestawionego jeszcze wina rozmaita gatunkowo, ale zawsze ta sama w smaku „goryczka”. Cierpka, jak się o tym śpiewa we wspomnianej piosence. Nie uchroni się przed tym prawie niczego.

Wśród równolatków z Drugiego Lwowskiego Gimnazjum, szkoły nie tylko o sławnych tradycjach, ale posiadającej tymi czasy wyjątkowe grono nauczycielskie, zaczęło się to opozycyjne nastawienie stosunkowo wcześniej – jakoś tak na dwa lata przed klasą maturalną.

Zrozumiałe, że objawiało się najrozmaiciej i bardzo też różnie było kwitowane przez naszych pedagogów. Ładnie umieli rozładowywać te sprawy nasi filologowie, Rapaport i Auerbach; ironicznie dobrotliwa aluzyjność Romana Ingardena obok głębokiego i mądrego poczucia humoru, które cechowało Stanisława Maykowskiego, powodowały, że wspomniane „bunty” nie przechodziły w fazę rozpaczliwego trykania łbem w symboliczny murek. [...]

W naszej szkole zdecydowaną przewagę liczbową mieli wychowankowie ormiańskiej bursy imienia Torosiewicza. Że pokuckie i jakie tam jeszcze rody ormiańskie chętnie korzystały z własnej fundacji, było zrozumiałe. Dla czego rody te ukochały właśnie nasze gimnazjum, nie wiedziałem dość długo. Oświecił mnie dopiero koleżka Mojzesowicz, tłumacząc to dobitnie i klarownie:

– Ty mi powiedz – wywodził – która szkoła we Lwowie jest najstarsza. Nie wiesz? Nasza. A czy ty, nieoświecony człeczce, przy najmniej wiesz, jaka nacja w tym mieście jest najstarsza? Nie wiesz, bo ty myślisz, że żydowska. A to akurat nieprawda. Bo jak żydowskie państwa w Palestynie dopiero się decydowały, czy mieć sędziów, czy królów, to wtedy w Armenii od dawna siedzieli królowie. Rozumiesz? I z tego to idzie: najstarsza tutejsza nacja – do najstarszego tutejszego gimnazjum.

Wywód Kajcia Mojzesowicza wiele wyjaśniał, nie przypuszczałem jednak, że jest ledwie wstępem do wielkiej teologiczno-historycznej burzy, jaka miała się – za sprawą przedstawiciela bursactwa – rozpętać na powierzchni uregulowanego mnogimi przepisami, „solidnego” życia szkolnego.

W bursie imienia Torosiewicza przemieszkiwało w tym czasie dwóch nosicieli tego samego nazwiska. Nie byli braćmi, ale, jak niemal wszyscy Ormianie pokuccy, liczyli się jako ze sobą jakoś tam spokrewnieni. Bogdan Agopsowicz, znany i uznany międzyszkolny geniusz matematyczny, z po-

wodów do dziś dla mnie niewyjaśnionych i ciemnych wybierający się na studia teologiczne, i Agopsowicz drugi, Kajetan. Bodzio był uczniem klasy bodaj przedostatniej; jako przyszły teolog cieszył się szczególnym zainteresowaniem niektórych członków ormiańskiej kapituły, co zresztą było uzasadnione i ze względów nie mających nic wspólnego z jego przyszłą karierą: pogodna, otwarta, „serce na dłoni” – natura tego chłopca z miejsca usposabiała najżyczliwiej wszystkich, którzy go znali.

O Kajetanie, Kajciu Agopsowiczu, nie dałoby się tego powiedzieć. Osobowość wyraźnie „dośrodkowa”, a jednocześnie chropawa, z lekka nawet nastroszona. Zdawało się, że czeka na zaczepkę, żeby z miejsca stanąć okoniem. Oponent z zasady tonął w szpargałach: szukał w nich uzasadnień dla zajmowanych przez siebie pozycji. A zajmował je z góry, zanim jakiegokolwiek umotywowanie mogło mu przyjść na myśl. W dyskusji niepokonany, ustępujący jedynie i – nie bez godności – składający broń przed oczywistością precyzyjnych sformułowań Ingardena lub wobec lekko sarkastycznych stwierdzeń łacinnika, Rapaporta.

Kajcio uczył się świetnie, chłonność okazywał niebywałą, a pojemność jego pamięci przyprawiała o zachwyt większość naszych nauczycieli. Dodać by trzeba, że nie kuł nigdy, praca przychodziła mu łatwo. Niemniej kilku z naszych nauczycieli nie darzyło tego ucznia sympatią, a katecheta, mimo silenia się na obiektywne traktowanie, po prostu unikał kontaktu z Kajciem. Wyczuwał w nim sceptyka nawet wtedy, kiedy tamten w ważnym milczeniu przysłuchiwał się wywodom księdza. Wiadomo, etyka i dogmatyka są przedmiotami śliskimi, niejedyn potykał się boleśnie na tej nie tyle gładkiej, co starannie wygładzonej powierzchni.

Zdarzało się, że ksiądz katecheta przezywał wykład i pytał z irytacją:

– Cóż ty, Agopsowicz, tak mi się przypatrujesz? Co sobie wyobrażasz?

Agopsowicz skwapliwie zrywał się z ławki (formy starał się zachowywać nienagannie) i spokojnie, z akcentowanym poszanowaniem, odpowiadał zawsze tak samo:

– Słucham i staram się spamiętać, proszę księdza.

Ale nawet to poszanowanie i odpowiedź drażniły katechetę.

– Słuchasz... – przeciągając to słowo ksiądz starał się uspokoić. – Ale co ty sobie na temat tego, co słuchasz, myślisz, to też pytanie.

Agopsowicz gotów był na nie odpowiedzieć. Zgłaszał to z pokorą:

– Czy mam powiedzieć, co właśnie myślę, proszę księdza?

Nie, katecheta tego sobie nie życzył. Niezadowolony z siebie samego, machał ręką i mruzczał:

– Siadaj, siadaj, niepotrzebnie przerywamy lekcję.

– Tak jest, proszę księdza – siadając, z jeszcze większym szacunkiem stwierdzał Kajcio.

I to stwierdzenie – właśnie ono – znowu wyprowadzało katechetę z równowagi. Podnosił głos i we wzburzeniu, którego nie usiłował hamować, wołał o zarozumiałstwie, o pyszałkowatości „różnych smarkaczy”, wreszcie, wyczerpany własnym zdenierwowaniem, uskarżał się na konieczność „męczennictwa szkolnego”.

Jeden z nas mimo woli podслуchał nawet, jak nieszczęsny kapłan użalał się wobec historyka, Nawrockiego. Mówił, że „zwyczajnie go dręczy” układający się w taki sposób stosunek między nim a uczniem. Kompleks Agopsowicza!

Sprawa jednak nabrała specyficznego (może nawet, w skali szkolnej, skandalicznego) posmaczku od momentu, gdy Agopsowicz zachwiał podstawy obowiązujących poglądów już nie na historię Kościoła, ale i na najsędziwsze tradycje chrześcijaństwa.

Nie wiem, czy uroczyste obchodzone w Kościele prawosławnym wrześnie święto narodzin Marii Panny jest także kanoniczną uroczystością Kościoła ormiańskokatolickiego. Wiem natomiast, że Kajcio Agopsowicz dzień ten „uświęcił” nieobecnością w szkole. I stało się: kiedy, po dniu czy dwóch, katecheta zapytał go o powody opuszczenia szkolnego dnia, zapytany oświadczył, że obchodził ważną „uroczystość rodzinną”.

– Imieniny? Wesele? – dopytywał się ksiądz katecheta.

– Nie, proszę księdza – odpowiedział Kajcio. – Rocznicę.

– Proszę, proszę, rocznica. To musiała być chyba ważna rocznica, skoro już na

początku roku szkolnego skłoniła cię do opuszczenia całego dnia. A może powiesz nam, co to była za rocznica?

Kajcio skłonił się; był pełen skruchy, bardzo pokorny. Mówił też tonem, w którym brzmiało najgłębsze ubolewanie.

– To była kolejna rocznica narodzin Marii Panny – wymówił z nabożeństwem.

– To ty obchodzisz święta wedle juliańskiego kalendarza? – zaniepokoił się kapłan.

– Nie. W naszej rodzinie obchodzimy to nie jako święto kościelne. Traktujemy je jako uroczystość rodzinną.

– Jak się domyślam – ciągnął śledztwo ksiądz – na jakąś pamiątkę?

Agopsowicz potrząsnął głową z ponownym ubolewaniem.

– Nie, proszę księdza – odrzekł tym samym tonem – jesteśmy w prostej linii potomkami bliskich krewnych Marii Panny.

Powiedziane to było skromnie, spokojnie, proste stwierdzenie bezspornego faktu.

Jedno jest pewne: gdyby ksiądz katecheta nie miał tak zadawnionych i w tym stopniu drażniących uprzedzeń do Kajcia, sprawa skończyłaby się inaczej, niż miało to miejsce w naszym wypadku. Nietrudno było rozładować oświadczenie Agopsowicza przez powołanie się na apokryfy, na cykle starodawnych legend ludowych; wiele środków miał do dyspozycji ksiądz katecheta w celu rozbrojenia i może nawet komicznego unieszkodliwienia bomby ciśniętej w środek lekcyjnej godziny. Było go na to stać. Ale nie w odniesieniu do tego właśnie ucznia, którego na licho wie jakiej podstawie posądzał o najgorsze „knowania”, a kto wie, czy nie o skłonność do bluźnierstwa. Zamiast tedy jakiegokolwiek działania pedagogicznej natury wykładowca dał się ponieść wzburzeniu, nie wytrzymał nerwowo: słowo „bluźnierstwo” padło z ust rozsierdzonego kapłana.

Są słowa, które nabierają wagi tylko dlatego, że zostały wypowiedziane w określonych warunkach. Bluźnierstwo w murach szkoły to już były nie przelewki. Z tego robiła się s p r a w a.

Najgorsze było, że obie strony okazały się całkowicie głuche na wszelkie perswazje. Ksiądz obstawał twardo przy twierdzeniu, że zuchwałę i świętokradcze słowa Agopsowicza są „skutkiem perfidnego i cynicznego

bezbożnictwa”, że – wzięwszy pod uwagę „ogólny, raczej wysoki poziom inteligencji tego ucznia” – można mówić nawet o antyreligijnej prowokacji.

Agopsowicz natomiast upierał się – i tak że nie na żarty – przy tym, że jest głęboko wierzący i że tradycja jego pokrewieństwa ze świętą rodziną da się stwierdzić historycznie. Huczek się robił niezgorszy, dyrektor Jasiewicz rwał resztę włosów ze skołatanej głowy, obawiając się zwiększenia skali skandalu. Podniecenie ogarnęło bursę, nasi nauczyciele wypowiedali się na drażliwy temat oględnie i ostrożnie, nawet historyk, Marian Nawrocki, na którego ksiądz katecheta bardzo liczył, nie zajmował wyraźnego stanowiska. Bo co można wiedzieć o związkach rodzinnych przedstawicieli nacji, która siedziała u stóp Araratu, jeszcze zanim na jego szczycie osiadła biblijna Arka?

Ale podniecenie, jako się rzekło, zataczało coraz szersze, koncentryczne kręgi. Ogarniając bursę, nie mogło ominąć jej opiekuństwa, a więc i ormiańskiej kapituły. Nie pamiętam, czy sprawa dotarła do eresepochana, metropolity ormiańskiego, arcybiskupa Teodorowicza. Wiem natomiast, że uczeni ormiańscy kanonicy, dostojni starcy, Kajetanowicz i Isakowicz, uznali za konieczną obronę kompatrioty i wyjaśnienie rzeczywistego, wspartego o wielowiekową (może nawet ponadtysiącletnią) tradycję uroszczenia rodowego Kajcia Agopsowicza. Zjawił się też w mieście jego dziadek, człek wielce dostojny i malowniczy, znany na swoim terenie adwokat. Był zresztą też przed kilkudziesięcioma laty uczniem naszej szkoły.

Wiem, że wspólne posiedzenie zainteresowanych – tylko jedno, ale wielogodzinne – miało przebieg początkowo burzliwy. Odbyło się w „sali prefektów” burzy imienia Torosiewicza i dlatego mieliśmy dokładne zeń sprawozdanie, z pierwszej ręki: drugi Agopsowicz, Bodzio, zaszył się w ściennej szafie lokalu sesyjnego i sumiennie wysłuchał wszystkich argumentów oraz kontrargumentów. Stękał potem nieco przez parę dni, siedzenie w szafie bowiem, nawet najprzestrzenniejszej, zawsze pozostaje czymś dalekim od wygody; za to jednak informacje miał wiarygodne i świeże jak ciepłe bułki.

Wspomniana burzliwość wstępnej dyskusji wypłynęła z ustaleń ormiańskich kano-

ników, dotyczących motywów postępowania Kajetana Agopsowicza. Dowiedziono głęboko urażonemu katechecie, iż wszelka premedytacja oraz bezbożność nie wchodzi tu w ogóle w rachubę; od tego momentu obrady potoczyły się już bardziej gładko.

Nie będę przytaczał zawikłanego wywodu, dotyczącego wciąż żywej tradycji, tradycji bardzo starożytnej, ale kontynuowanej w przekazie domowym rodzin ormiańskich. Wątpię, czy sam, co nieco obkuty w tych sprawach, Bodzio Agopsowicz zapamiętał dokładnie wszystkie subtelności tego wywodu. Cóż dopiero ja: zapomniałem z kretesem. Znacznie później i przy innej zupełnej okazji przypominałem sobie cytowanych pono wtedy prastarych historyków Armenii – Mesropa Masztoca, z piątego i Mowsesa Chorenociego, z siódmego wieku naszej ery. To ich teksty dostarczyły „rzeczowych” argumentów obrońcom upartego Kajcia. Wynik wzmiankowanego posiedzenia wykazywał w pełni takt i mądrość reprezentantów ormiańskiego kleru. Blasku wykonypowanej formule przydał najprawdopodobniej dziadek-Agopsowicz, mecenas.

Otóż formuła głosiła, że Kajetan Agopsowicz, potomek jednej z najstarszych, znamienitych rodzin ormiańskich, mógł (i może) domniemywać w oparciu o zachowane tradycje, że przodkowie jego mogli pozostać w pokrewieństwie z Marią, Matką Jezusa; oczywiście, jest to mniemanie apokryficzne, ale obwiniony o bezbożność głosił je z dobrą wiarą, pozostając w zgodzie z tradycyjnym przekazem rodzinnym. W niczym to nie umniejsza jego pobożności.

Ten majstersztyk dyplomatyczny zakończył sprawę między naszym katechetą a jednym z uczniów. Nie zakończył sprawy samego Kajcia, który odtąd zwany był powszechnie „krewnym świętej rodziny”. I to takim, którego prawo (co

prawda niekanoniczne) do tego tytułu zostało oficjalnie potwierdzone. Najbardziej z takiego obrotu sprawy był zadowolony poczcuiwy dyrektor Jasiewicz. Przypuszczam, że jego następcą, Buzath, pod auspicjami którego zdawaliśmy maturę – i ja, i Kajcio – martwiłby się tym wszystkim znacznie mniej, natomiast zabawy miałby na pewno o wiele więcej.

Oczywiście opowiedziałem to głównie dlatego, żeby się pochwalić: to jednak nie byle co kolegować z oficjalnie (niechby nawet i niekanonicznie!) uznanym krewniakiem Świętej Rodziny.

Ale wspominając rzeczy dawne, minione i wtopione bez reszty w pył dróg, które już też nie istnieją, wspominam wciąż jeden ze szczególnie dobrze zapamiętanych fragmentów sprawozdania Bodzia Agopsowicza z debat na temat mniemanego bluźniercy. Oto kiedy nasz ksiądz katecheta nieco przekąśliwie uczynił uwagę, że dwaj duchowni obrońcy Kajcia miłują bardziej ormiańskie tradycje niż nakazane formy katolickiej pobożności („przy tym poziomie inteligencji, jakie ujawnia ich, wprawdzie młody, ale bystry i bynajmniej nie naiwny klient”), sędziwy kanonik Kajetanowicz odpowiedzieć miał z uśmiechem:

– A jakże nie szanować ludzkich tradycji? I wiara, i niewiara, i pobożność – to wszystko staje się przez ludzi. Nie wszystkoż nam jedno, po jakiemu umiłujemy i uszanujemy człowieka – po ormiańsku czy z ormiańska po katolicku?

Księdzu katechecie było, jak się zdaje, nie wszystko jedno.

Może jednak jest raczej tak, jak mówił ormiański kanonik. Nawet jeśli jest to „mniemanie niekanoniczne”, jestem gotów uznać je za słuszne.

Tekst jest skróconą wersją opowiadania o tym samym tytule z książki L. Kaltenbergha „Studnia miłości” (Warszawa 1972).

LEW KALTENBERGH (1910 Szumsk na Wołyniu – 1989 Warszawa). Pisarz, poeta i tłumacz z jęz. rosyjskiego i węgierskiego, dziennikarz radiowy. Ukończył wydział humanistyczny na UJK we Lwowie, tamże asystent do 1939. W czasie wojny na Węgrzech i w Jugosławii. Po wojnie w Warszawie, pisał powieści historyczne, zbiory opowiadań i poezji, wspomnienia.



Karpackie Towarzystwo Narciarzy we Lwowie – zarys dziejów

Ukoronowaniem działań prowadzonych na obszarze całej Galicji związanych z rozwojem turystyki narciarskiej było powstanie Karpackiego Towarzystwa Narciarzy. „Wokoło – wszędzie, jak okiem sięgnąć – góry i góry. Nigdzie śladu osiedla ludzkiego. Byliśmy w amfiteatrze stworzonym przez naturę i nie popsutym przez człowieka. ... Do dziś dnia pamiętam ten wspaniale groźny widok i tę chwilę uroczystą, wzruszającą piękną, gdyśmy ściskali sobie dłonie na szczycie Doboszanki... Świat pozostał o dwa dni za nami i nic nam dać nie mógł” – tak wspominał wyprawę w Gorgany Roman Kordys.

Odbyła się ona w 1906 roku, z udziałem także Maksymiliana Dudryka, Zygmunta Klemensiewicza i Jerzego Maślanki¹. Zjednoczeni wspólną pasją wędrowania turyści utworzyli we Lwowie 29 stycznia 1907 roku Karpackie Towarzystwo Narciarzy – pierwsze stowarzyszenie na ziemiach polskich zajmujące się narciarstwem². Członków założycieli było 22, a wśród nich: Kazimierz Panek, Maksymilian Dudryk, Zygmunt Klemensiewicz, Roman Kordys, Mieczysław Lerski, Jerzy Maślanka, bracia Tadeusz i Marian Smoluchowscy.

Pierwszym prezesem Towarzystwa został Kazimierz Panek (był nim w okresie 1907/8 i 1908/9) będąc także prezesem Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. W latach 1909/10, 1910/11 i 1911/12 funkcję tę pełnił Tadeusz Smoluchowski, później Roman Kordys. Od zakończenia I wojny światowej aż do 1939 prezesem był Zygmunt Klemensiewicz.

Celem Karpackiego Towarzystwa Narciarzy było *rozwiniecie narciarstwa i turystyki zimowej w naszym kraju, ułatwienie ich uprawiania przez otwarcie i udostępnienie gór naszym i stosowne urządzenia*. Towarzystwo, prowadząc intensywną działalność popularyzatorską i szkoleniową (kursy, w tym z udziałem instruktorów z Austrii i Skandynawii), drukując podręczniki jazdy i skakania na nartach, prowadziło jednocześnie działalność wycieczkową w różnorodnej formie górskiej.

1 lutego 1907 r. na cześć powstania KTN odbyła się zorganizowana wyprawa klubowa na Połoninę Gropa. 16 lutego 1907 roku rozpoczęto wyprawę w Bieszczady, której efektem było pierwsze zimowe wejście na Trościan i odkrycie walorów turystycznych Sławska³. 9 marca 1907 roku wyprawę w Bieszczady odbyli Zygmunt Klemensiewicz i Roman Kordys, rozpoczęto eksploatację Gorganów i Czarnohory⁴. Wyprawy te budzą podziw ze względu na pionierski charakter i wręcz skrajne warunki prowadzenia. Kopalnią wiedzy na ten temat są zachowane przez rodzinę Maksymiliana Dudryka *Sprawozdania KTN* z wypraw za lata 1907–1911.



W styczniu 1908 roku wydano instrukcją broszurę pt. *Narty i ich użycie* autorstwa Romana Kordysa⁵. 18 lutego 1908 roku „Słowo Polskie” doniosło o powstaniu Koła KTN w Przemyślu (ze Zbigniewem Ritterschildem na czele)⁶, a 4 grudnia 1908 roku powstało Koło w Krakowie (z Janem Fischerelem jako prezesem oraz Walerym Goetlem i Karolem Bobrzyńskim w zarządzie)⁷.

Sportowe aspiracje KTN wykazywało już od początku istnienia. Dało temu dowody nie tylko organizując zawody narciarskie (pierwsze zjazdy o charakterze wyczynowym w Sławsku 14 marca 1909 roku), ale stając się wraz z Akademickim Klubem Turystycznym, Wisłą Kraków, Czarnymi Lwów i Pogonią Lwów założycielem krótko istniejącego Polskiego Związku Sportowego⁸. 17 października 1910 roku rozwiązało się Krakowskie Koło KTN i powołano najpierw zrzeszenie „Narta”, które przetrwało jeden miesiąc i przekształciło się w Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy.

Towarzystwo od początku swojego istnienia nie było organizacją liczną, w 1910 roku składki w wysokości 5 koron opłaciło 78 osób, a w 1911–130. O prężności organizacyjnej świadczy fakt uzyskania zniżek komunikacyjnych w wysokości 33% na



przejazdu koleją w dni przed świętami oraz uzgodnienie możliwości przewozu nart tramwajami lwowskimi przez cały dzień (ale tylko na przedniej platformie i nie więcej niż cztery pary). Przed wybuchem I wojny światowej KTN osiągnął liczbę 403 członków.

Konsekwencją prowadzenia intensywnej działalności wycieczkowej było dążenie do posiadania własnej bazy noclegowej w górach. Na wniosek Zygmunta Klemensiewicza i Romana Kordysa wybrano Sławsko w Bieszczadach. W roku 1908 wynajęto tam kwatery w karczmie Rothfelda, a w 1910 rozpoczęto budowę własnego schroniska. Na budowę uzyskano subwencję w wysokości 10000 koron od Ministerstwa Robót Publicznych, a także, dzięki staraniom Kazimierza Lubienieckiego, zawarto umowę z Sodalcją Mariańską Panów we Lwowie, która pożyczyła 5000 koron⁹.

Od lutego 1911 roku rozpoczęto w schronisku działalność noclegową. Zachowała się księga pamiątkowa schroniska, w której pierwszy wpis ma datę 21 lutego 1911 roku, ostatni przed zniszczeniem obiektu w czasie I wojny światowej 29.04.1914 roku, a ostatni już po jego odbudowie 5 lutego 1922. 15 lipca 1911 roku została podpisana umowa z Michaliną Błażejowską, która stała się gospodarzem schroniska. Mimo że schronisko funkcjonowało już prawie przez rok, postanowiono dokonać uroczystego otwarcia 6 i 7 stycznia 1912 roku w środku sezonu narciarskiego. W pierwszy dzień o godzinie 12 jezuita ksiądz Stanisław Sopuch poświę-

cił schronisko, a następnego dnia rozegrano bieg otwarcia schroniska ze szczytu Tróściana (1235 m npm) do schroniska. Stał się on imprezą coroczną.

Położony w odległości 300 metrów od stacji kolejowej obiekt miał 44 miejsca noclegowe. W sumie kosztował 15082 koron i 20 halerzy, podczas gdy z działalności schroniskowej uzyskano: w 1910/11 – 59 koron, 1911/12 – 387,20 korony. Z powyższego zestawienia wyraźnie widać, że nie został wybudowany w celu prowadzenia rentownej działalności hotelowej. W sezonie 1911/12 nocleg w schronisku kosztował 1 koronę członków KTN, 2 korony – pozostałych, a w schronisku nocowało 476 narciarzy. Zadbano też o promocję schroniska poprzez druk 1000 pocztowych kart z jego wizerunkiem.

W maju 1915 r. obiekt został spalony przez wojska rosyjskie¹⁰. Latem 1922 przystąpiono do odbudowy schroniska w poprzedniej lokalizacji. Już na Boże Narodzenie udzielano w nim noclegów, a 11 marca 1923 r. w południe zostało poświęcone¹¹. Do odbudowy uzyskano wsparcie z Ministerstwa Robót Publicznych, a także dotacje wielu firm przemysłowych. Pomocy udzielił również Oddział Lwowski Towarzystwa Tatrzańskiego (1 500 000 marek i 20 złotych), za co uzyskał obietnicę znížek dla swoich członków jak dla członków KTN w okresie 15.04–31.10 każdego roku.

Schronisko miało 134 m² powierzchni użytkowej i 56 miejsc noclegowych. Już w zimie 1924/1925 urządzono 3 kursy narciarskie. Prowadzone nadal przez Michalinę Błażejowską, oferowało całodzienne utrzymanie. Zimą 1924/1925 udzielono 530 noclegów, latem 1925 –79, w następnym sezonie odpowiednio 550 i 125. W 1926 roku założono w schronisku telefon (Sławsko nr 2). W okresie tym udzielono 810 noclegów zimą i 98 latem. W czerwcu 1928 roku gospodarzem obiektu została niejaka pani Alber¹² (udzielając zimą 1125, a latem 95 noclegów), a od czerwca 1929 roku – Szczepan Witkowski¹³. Przed sezonem zimowym 1930 roku przeprowadzono remont, który polegał na przedłużeniu schroniska od strony wschodniej o 6 metrów na całej wysokości. Uzyskano w ten sposób nową jadalnię oraz zamiast starej kuchni miejsce na umywalnię i natryski z ciepłą wodą – uży-

cie natrysku było płatne poza ceną noclegu (0,5 zł). Na sfinansowanie budowy uzyskano pożyczkę w Miejskiej Kasie Oszczędności we Lwowie w wysokości 6000 złotych oraz uzyskano taką samą subwencję od Ministerstwa Robót Publicznych (niezawodny Mieczysław Orłowicz)¹⁴. Projekt urządzenia jadalni był dziełem Janusza Witwickiego i Marii Łomnickiej.

W sezonie 1935/36 schronisko udzieliło po 1200 noclegów w zimie i w lecie. W celu pełnego wykorzystania możliwości noclegowych schroniska kontraktowano zimą oficerskie kursy narciarskie, a w lecie kolonie akademickie ze Lwowa. W sezonie 1936/37 w zimie udzielono 2000 noclegów, latem 1936 roku schronisko w Sławsku było zamknięte z powodu panującej w okolicy epidemii duru plamistego. W roku 1938 dzierżawcą obiektu jest Roman Bielański¹⁵.

Schronisko w Sławsku było ewenementem w historii turystyki. Było dziełem stosunkowo nielicznej organizacji turystycznej, zbudowanym w początkowym okresie jej rozwoju. Nadało nowe tory rozwoju całej miejscowości, popularyzując ją w kręgach lwowskich turystów, co doprowadziło do jej wzrostu gospodarczego i przekształcenia w znaną miejscowość letniskową.

W maju 1995 roku obiekt miał się dobrze, choć był opuszczony. Jak wynikało z relacji miejscowej ludności, schronisko pełniło od czasu II wojny światowej rolę szkoły, później świetlicy kulturalnej¹⁶.

Troska o eksploatację schroniska nie przysłała zarządowi KTN konieczności prowadzenia innych działań popularyzujących turystykę i sporty narciarskie. 5 lutego 1911 roku wspólnie z Sekcją Narciarską AZS, SN TT i Zakopiańskim Oddziałem Narciarzy TT urządzono pierwsze Międzynarodowe Zawody Narciarzy w Zakopanem¹⁷. Zimą 1911 powstało w oparciu o nowo wydany Regulamin Kół, Koło KTN w Wiedniu założone przez pięciu studiujących tam członków KTN¹⁸. W okresie między 23 stycznia a 1 lutego 1912 roku Towarzystwo gościło delegata Ministerstwa Robót Publicznych, Willego Rickmer-Rickmersa, który wizytował schronisko w Sławsku oraz wziął udział w kilku wyprawach górskich. Dzięki tej wizycie KTN zostało we wrześniu 1912 roku przyjęte do Austriackiego Związku Narciarskiego¹⁹.

Popularyzując narciarstwo urządzono kilka odczytów, rozwijano działalność sportową – 6–7 stycznia 1912 roku urządzono w Sławsku pierwsze w kraju zawody narciarskie w skokach, na których zwycięzca osiągnął odległość 9,90 m, 3 i 4 lutego 1912 roku zawodnicy KTN zajęli pierwsze miejsca w zawodach o mistrzostwo Moraw i Śląska urządzonych w Oslawicy. Rok 1912 zakończył KTN w liczbie 221 członków.

W tym czasie coraz żywiej rozpoczęła się dyskusja na temat dualizmu w rozwoju narciarstwa, a mianowicie na temat pogłębiającego się rozdziału sportowego i turystycznego do niego podejścia. Karpackie Towarzystwo Narciarzy opowiedziało się za jednakowym traktowaniem obydwu tych kierunków. Po osiągnięciu najwyższych laurów w rozpoczętej rywalizacji sportowej w roku 1912, rozpoczęła 21 marca 1913 roku wyprawa KTN dokonała zimowego przejścia granią Gorganów. W roku tym nadal prowadzono intensywną akcję propagandową przeprowadzając 29 odczytów oraz wydając przy pomocy dotacji Ministerstwa Robót Publicznych oraz Krajowego Związku Turystycznego broszurę pt *Zima i narty*²⁰. Liczba członków osiągnęła poziom 317 osób.

Na sezon 1912/1913 zarząd pozyskał dla swoich członków bazę noclegową w budynku Lwowskiego Zarządu Kolejowych Kolonii Wakacyjnych w Tuchli²¹. W roku 1913





i 1914 zawodnicy KTN wygrywali praktycznie większość krajowych zawodów sportowych. 7 stycznia 1914 roku we Lwowie i Sławsku pojawił się na zaproszenie KTN Sepp Obereder z Grazu, a 21 stycznia 1914 roku Georg Bilgeri, którzy przeprowadzili intensywne szkolenie narciarskie.

Pierwsze po wojnie Walne Zgromadzenie KTN odbyło się w październiku 1919 roku w mieszkaniu Kazimierza Lubienieckiego²². Za najważniejsze zadanie uznano odbudowę schroniska w Sławsku. Starając się o rozwój narciarstwa doprowadzono w 1922 roku do rozpoczęcia produkcji nart we Lwowie. KTN był jednym z pięciu członków założycieli Polskiego Związku Narciarskiego, którego I Walny Zjazd odbył się 20 lutego 1920 roku w Zakopanem²³.

W 1923 roku w Sławsku KTN urządziło na zlecenie PZN IV Związkowe Mistrzostwa Polski w narciarstwie²⁴. W 1924 roku urządzono już kilkanaście wycieczek zorganizowanych przez KTN, jeszcze więcej zorganizowanych przez członków KTN prywatnie. Rozpoczęto prace ziemne nad budową we Lwowie skoczni narciarskiej na Zniesieniu²⁵. Budowę skoczni zakończono w 1926. Już w marcu 1926 roku odbyły się na niej Mistrzostwa Lwowa w skokach narciarskich oraz w jej okolicy zawody w biegu na 14 km²⁶. W zawodach tych wzięła udział cała krajowa czołówka, w kategorii juniorów w biegu na 7 km zwyciężył Bronisław Czech (Sekcja Narciarska PTT). W tym

czasie pojawiła się gwiazda polskich biegów narciarskich w kategoriach kobiecych, Janina Loteczkowa. W roku 1926 zdobyła Mistrzostwo Polski, Lwowa, pierwsze miejsce w zawodach Karpathenverain w Starym Smokowcu. Talent jej rozwinął się w 1927 roku, kiedy to zdobyła mistrzostwo Austrii, Czechosłowacji, Francji i Polski stając się najlepszą narciarką w Europie.

W roku 1926 gruntownie przebudowano skocznię narciarską na Zniesieniu. W wyniku tej modernizacji w zawodach, które odbyły się 16 stycznia 1927 roku zwycięzca osiągnął odległość 38 metrów. Bieg Rocznicowy na 18 km 22 stycznia 1927 roku zgromadził pokaźną ilość 36 seniorów i 8 juniorów. Konkurs skoków, który odbył się następnego dnia, wynikiem 30 metrów zwyciężył Bronisław Czech²⁷. Na koniec tego roku KTN liczył 199 członków.

Zimą 1928/1929 KTN urządził wiele wycieczek turystycznych poświęcając się głównie organizacji ruchu turystycznego. Kilku jego zawodników wzięło udział w zawodach FIS w Zakopanem, jednak bez większych sukcesów. Rok 1928 kończyło Towarzystwo licząc 267 członków. Latem 1930 roku podjęto decyzję o likwidacji skoczni na Zniesieniu z powodu kłopotów finansowych z jej utrzymaniem. Użytkujące go wspólnie inne towarzystwa turystyczne ze Lwowa, a także władze miasta nie uznawały za stosowne partycypowanie w kosztach (deficyt za okres 4 lat eksploatacji przy kosztach 6965

zł wyniósł 2507,89 zł)²⁸. W roku tym odniesiono kilka sukcesów sportowych w postaci dobrych miejsc Józefa Lankosza w skokach i biegach narciarskich (w tym 6 miejsc w Polsce w biegu złożonym na Mistrzostwach Polski oraz dobre miejsce na zawodach krajowych i na Słowacji w skokach narciarskich).

Jednak KTN powoli stał się zapleczem dla rozwoju narciarstwa wyczynowego w Polsce – jego zawodnicy wygrywali zawody na szczeblu Lwowskiego Okręgowego Związku Narciarskiego PZN. Najbardziej znani zawodnicy tego okresu to Jan Szczepanowski, Stanisław i Andrzej Teisseyrowie, Lesław Chlipalski, Zbigniew Jakubowski i Józef Lankosz. 27 marca 1928 roku sformalizowano istnienie prężnej, ponad 30 osobowej Sekcji Kajakowej, na której czele stanęli Kazimierz Lubieniecki oraz Adam Zieliński. Sekcja ta rozwijała się tak prężnie, że w 1937 mając 57 czynnych członków i wyposażona w 15 własnych kajaków stała się Sekcją Polskiego Związku Kajakowego²⁹. Rok 1928 kończy Towarzystwo licząc 362 członków.

Na okres 1931/32 Wydział Towarzystwa pozyskał dwie stacje noclegowe. Jedna z nich mieściła się w Zarządzie Dóbr Jabłonki w gminie Baligród (zarządca Gostomski), druga w miejscowości Sokole nad Sanem (u Brandysów)³⁰. Pod koniec okresu międzywojennego powstało schronisko Karpackiego Towarzystwa Narciarzy na południowym stoku Wielkiej Maryszewskiej, na wysokości ok. 1370 m n.p.m. Poświęcenie schroniska odbyło się 24 stycznia 1937 roku i było częścią uroczystości związanych z obchodami 30-lecia KTN. Schronisko otrzymało imię Zygmunta Klemensiewicza. Świącił je dominikanin ojciec Cyryl (inż. Edmund Szlachetowski – dawny członek KTN) w obecności ministra Aleksandra Bobkowskiego oraz licznych przedstawicieli organizacji turystycznych i społecznych³¹.

Budowę schroniska rozpoczęto na podstawie podjętej 12 kwietnia 1934 roku uchwały Walnego Zgromadzenia KTN³². Autorami dokumentacji byli członkowie KTN inż. Karol Kocimski i inż. Lech Neyman. Elewacja zewnętrzna została zaprojektowana przez inż. architekta Tadeusza Brzozę. W początku maja 1934 roku Zygmunt Klemensiewicz we współpracy z inż. Józefem Dobieckim wybrał i zakupił za 333 zł od Fundacji Skarbkowskiej

w Żabiem 2-morgową (ok. 1,12 ha) parcelę położoną na południowych stokach Wielkiej Maryszewskiej, odległą od przełęczy o 650 m i położoną od niej o 50 m niżej. Już w lutym 1936 roku można było korzystać z noclegów. Nadzór budowlany nad budową prowadził J. Wilczyński, całość prac wykonywali miejscowi majstrowie, część ciesielską – Wasyl Kopylczuk i Hryć Martyszczuk z Sokółówki. Koszt schroniska wyniósł 35 000 zł.

Było zorientowane frontem na południe, wybudowane na planie prostokąta o wymiarach 13,10 x 10,10 metra. Wysokość obiektu od podłogi suterenu do szczytu dachu wynosiła 14,80 metra. Architekturę wnętrza utrzymano w stylu huculskim (stoły i ławy). W sali jadalnej dano nad piecami fryzy ze starych kafli huculskich, ozdobiono rzeźbami w stylu huculskim belki stropowe. Część z 57 łóżek przykryto łyżnykami zamiast koców. Do zagospodarowania schroniska przyczyniło się Towarzystwo Przyjaciół Huculszczyzny darowizną sprzętu regionalnego.

Rozkład budynku był bardzo funkcjonalny. Na parterze jadalnia, z której było wyjście na ganek ciągnący się wzdłuż całego frontu budynku, pokój dzierżawcy i dwie sypialnie. Komunikacja jadalni z kuchnią odbywała się windą towarową. Na piętrze – sześć pokoi sypialnych, do których wejście było z korytarza. Poddasze to dwie duże sypialnie i jedna mała. W górze budynku obszerny strych. W każdej kondygnacji w pobliżu schodów pomieszczenie ubikacji, umywalni i natrysków, które w 1936 roku oddano do użytku dzięki doprowadzeniu do schroniska wodociągu grawitacyjnego z wysokości 30 m i odległości 230 m. W schronisku założono bojler ogrzewany gorącą wodą z pieca w celu uzyskania ciepłej wody do mycia i celów kuchennych, a także zainstalowano wodną instalację przeciwpożarową. Prace te przeprowadzono dzięki dotacji Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji w wysokości 5000 zł.

O popularności obiektu świadczy fakt, że w sezonie sprawozdawczym 1936/37 udzielono ponad 3000 noclegów. W 1936 roku KTN wdzierżawiła obiekt inżynierowi leśnictwa Witoldowi Tyskiemu, który wraz z żoną i córką Joanną gospodarowali w schronisku do wybuchu wojny, tworząc w nim niepowtarzalną atmosferę. Pracę rodziców opisuje córka Joanna Tyska-Kobylińska³³:



Początki pracy w schronisku (rok 1936) były bardzo trudne, wymagające od gospodarzy dużego poświęcenia, zapału, energii, a nawet odpowiedniej kondycji fizycznej i odporności. Od ostatniej stacji leśnej kolejki wąskotorowej w Foreszcence odległość do schroniska wynosiła kilka kilometrów. W po-

czątkowym okresie działalności schroniska nie było tam żadnej drogi. Wkrótce gospodarze kupili dwa konie. Pod nadzorem Witolda Tyskiego wybudowano skromną leśną drogę, którą mógł przejechać wóz zaprzężony w konie, a zimą sanki, w ten sposób znacznie ułatwiono transport. Samochody do schroniska nie dojeżdżały.

Doprowadzona w sierpniu 1936 roku linia telefoniczna z Worochty była dumą KTN – jej założenie wymagało wielkich zabiegów w Ministerstwie Poczt i Telegrafu. Niestety, wspaniale rozwijający się obiekt, podobnie jak cała działalność turystyczna odeszły na bok wobec zbliżającej się tragedii narodowej. W swoich wspomnieniach córka gospodarzy tak pisze o zakończeniu działalności schroniska w służbie polskich turystów³⁴:

17 lub 18 września żołnierze sowieccy okrążyli schronisko wzywając mieszkańców do poddania się. Po czym z bronią gotową do strzału wpadli do środka. W schronisku byli już tylko sami państwo Tyscy z kilkuletnią córką. Inżyniera Tyskiego zatrzymano na 24 godziny, podczas gdy sprowadzonych z pobliskiej wsi Bystrzec Hucułów żołnierze zachęcali do plądrowania schroniska i przywłaszczania wyposażenia. Zabrano również inwentarz żywy, tj. trzy konie i psa owczarka (zachował się on do dziś na fotografii autorstwa Witolda Tyskiego umieszczonej w książce Józefa Bieniasza „Lawina idzie” wydanej w 1947 roku). Następnego dnia kazano gospodarzom opuścić schronisko zabierając jedynie osobiste rzeczy. Było to ostateczne zakończenie działalności schro-

niska, które przez lata wojny stało opuszczone i zdewastowane, a pod koniec wojny zostało spalone.

KTN posiadało okresowo również i inne obiekty, nie tak znane, lecz przynajmniej jeden z nich był niezwykle interesujący. Było to schronisko w Berehach Górnych, będące własnością członka KTN, Władysława Serwatowskiego, właściciela folwarku w Berehach Górnych; KTN nie ponosiło kosztów jego utrzymania. Należy odnotować również fakt wynajmowania przez KTN w okresie po I wojnie światowej (wspólnie z PTT) pensjonatu Trościan w Sławsku (budynek istniał jeszcze w maju 1995 roku)³⁵. Na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku Towarzystwo notuje spadek liczebności z 350 członków na koniec 1931 roku do 170 osób w 1935 i ponowny wzrost do 210 w połowie 1937 roku.

23 stycznia 1937 r. Karpackie Towarzystwo Narciarskie obchodziło trzydziestolecie istnienia. KTN wydał album poświęcony Huculszczyźnie pt. *Czarnohora* ze zdjęciami m.in. Zygmunta Klemensiewicza, Romana Puchalskiego, Tadeusza Olszanieckiego, Henryka Teisseyre. Następne lata pełne były intensywnej działalności turystycznej i sportowej. Zawodnicy zdobywali główne nagrody na zawodach Okręgu Lwowskiego, startowali na mistrzostwach kraju, gdzie jednak zajmowali odległe pozycje³⁶.

Główne natężenie działalności skierowano w kierunku rozwoju turystyki górskiej. Mimo ambicji sportowych, naturalnym biegiem rzeczy wobec upływu lat, większość członków KTN mogła już tylko ją uprawiać, młodszy, pozbawieni takich warunków treningowych jak mieszkańcy Zakopanego, nie mogli osiągać wyników takich jak oni. Mimo to przez okresy zimowe organizowano na zlecenie PZN kursy dla narciarzy i instruktorów narciarstwa w Sławsku i na Maryszewskiej. Budowa schroniska na Maryszewskiej oraz powstanie innych obiektów turystycznych innych towarzystw w niedostępnych dawniej górach umożliwiło rozwój turystyki górskiej. I raczej w tym kierunku widziano dalszy rozwój Towarzystwa.

Jerzy Kapłon

¹ Zenobiusz Pręgowski, *Złota księga narciarstwa polskiego. Karpaty Wschodnie*. Wyd. PTTK Warszawa 1992, s. 101.

- ² Stanisław Faecher, *Narciarstwo polskie*, t. I–III, Aleksander Fredro-Boniecki *Historia narciarstwa polskiego 1907–1914*, s. 36, PZN.
- ³ Zenobiusz Pręgowski, *Złota księga ...*
- ⁴ Roman Kordys, *Jak „odkryliśmy” Sławsko*, „Wierchy”, r. 1, Lwów 1923, s. 203.
- ⁵ *Sprawozdanie Wydziału Karpackiego Towarzystwa Narciarzy za rok 1935/6*, s. 7, Lwów 1936
- ⁶ Zygmunt Januszewski, *Słowo Polskie*, nr 82 z 18 lutego 1908.
- ⁷ Stanisław Faecher, *Narciarstwo polskie*, t. I–III, Aleksander Fredro-Boniecki *Historia narciarstwa polskiego*, s. 41, PZN.
- ⁸ Zenobiusz Pręgowski, *Złota księga ...*
- ⁹ *Sprawozdanie KTN za czas od 1 listopada 1910 do 31 października 1911*, s. 5, Lwów 1911.
- ¹⁰ Część sprawozdawcza *Wierchy Nr 1 rok 1923*, Lwów 1923, s. 287.
- ¹¹ *Książka pamiątkowa schroniska w Sławsku 1911–1924*. W zasobach autora.
- ¹² *XXIII Sprawozdanie KTN za czas od 1 listopada 1928 roku do 31 października 1929*, Lwów 1929, s. 15.
- ¹³ *XXIV Sprawozdanie KTN za czas od 1 listopada 1929 roku do 31 października 1930*. Lwów 1930, s. 2.
- ¹⁴ *XXIV Sprawozdanie KTN za czas od 1 listopada 1929 roku do 31 października 1930*. Lwów 1930, s. 7, 8.
- ¹⁵ *Centralne Archiwum Turystyki Górskiej w Krakowie*. Sygn. 15.02.09 *Schroniska w Beskidzie Niskim i w Bieszczadach*.
- ¹⁶ Jerzy Kapłon *Sprawozdanie z wizji lokalnej w Sławsku w maju 1995 roku*. Maszynopis w posiadaniu autora.
- ¹⁷ *Sprawozdanie KTN za czas od listopada 1910 do października 1911*, s. 6 Lwów 1911.
- ¹⁸ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1911/12*, Lwów 1912, s. 9.
- ¹⁹ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1911/12*, Lwów 1912, s. 6.
- ²⁰ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1912/13*, Lwów 1913 s. 11.
- ²¹ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1912/13*, Lwów 1913, s. 9.
- ²² *XXV Sprawozdanie Wydziału KTN za czas od 1 listopada 1930 do 31 października 1931*, s. 2.
- ²³ Zofia Radwańska-Paryska, Witold Henryk Paryski *Wielka encyklopedia tatrzańska*, Wydawnictwo Górskie, Poronin 1995, s. 946.
- ²⁴ Praca zbiorowa pod redakcją Stefana Faechera *Narciarstwo polskie I–III*. Stefan Faecher *Towarzystwa narciarskie w okresie lat 1914–24*, s. 65, PZN.
- ²⁵ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1924/25*, Lwów 1925, s. 4.
- ²⁶ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1925/26*, Lwów 1926, s. 2.
- ²⁷ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1926/27*, Lwów 1927, s. 39.
- ²⁸ *XXIV Sprawozdanie KTN za czas od 1 listopada 1929 do 31 października 1930*, s. 3.
- ²⁹ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1936/7* Lwów 1937, s. 10.
- ³⁰ *XXVI Sprawozdanie KTN za czas 1 grudnia 1931 do 30 listopada 1932*, Lwów 1932, s. 18.
- ³¹ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1936/7* Lwów 1937, s. 4, 5.
- ³² *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1935/6* Lwów 1936, s. 11.
- ³³ Joanna Tyska-Kobylińska, *Wspomnienia*. Rękopis sporządzony w 1994 roku w posiadaniu autora.
- ³⁴ Joanna Tyska-Kobylińska, *Wspomnienia...*
- ³⁵ Jerzy Kapłon *Sprawozdanie z wizji lokalnej w Sławsku w maju 1995 roku*. Maszynopis w posiadaniu autora.
- ³⁶ *Sprawozdanie Wydziału KTN za rok 1936/37*, Lwów 1937, s. 7, 8.

Archiwum



Załączone zdjęcie przedstawia stoisko lwowskiego Związku Popierania Turystyki na Wystawie Letniskowo-Turystycznej BIESZCZADY w Lwowie na przełomie maja i czerwca 1939 r. Autorem tego stoiska był arch. Adam Klimek, który do 1945 r. mieszkał we Lwowie przy ul. Żyżyńskiej 41. Zmarł w roku 1989 w Kielcach.

FRYDERYK PAUTSCH

malarz lwowsko-krakowski

Fryderyk Pautsch (1877–1950), urodzony w Delatynie jako syn leśnika Fryderyka i Elżbiety z d. Sprdlik, po dziesięciu latach, by móc kształcić się na poziomie gimnazjalnym, przeniósł się z rodzicami do Lwowa i zamieszkał przy ul. Kochanowskiego 11 A.

Uczęszczał zrazu do II Gimnazjum w latach 1889–1892, kiedy to odbywał nauki z zakresu klas I do III (z powtórzeniem kl. III), a potem do klas IV do VIII, otrzymując świadectwo maturalne z datą 21 IX 1897 r., gdyż po wakacjach poprawiał język łaciński. Postęp bardzo dobry otrzymał z języka niemieckiego, z fizyki i religii oceniono go na dobry, reszta stopni była dostateczna. Na świadectwie czytamy: *Egzaminowany uczynił tedy wymaganiom prawnie przepisany i otrzymuje niniejsze świadectwo dojrzałości, które go uprawnia do zapisania się w poczet słuchaczy zwyczajnych uniwersytetu*¹.

Z formuły skorzystał po roku, gdyż w okresie od 1X 1897 r. do 30IX 1898 r. odbył roczną służbę wojskową, stając się kadetem artylerii. Wpisał się na Wydział Prawa i Administracji ck Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie bez przerwy uczęszczał przez dwa półrocza – semestr zimowy i letni 1898/1899. W świadectwie odejścia dziekan Stebelski napisał m.in. *Zachowanie się akademickie Jmć Pana Fryderyka Pautscha było zupełnie zgodne z przepisami akademickimi*².

Podczas studiów uczestniczył w działalności Czytelnicy Akademickiej, wokół której ogniskowała się młoda elita intelektualna w Kółku Filozoficznym, prowadzonym przez Kazimierza Twardowskiego, już wówczas profesora.

Na lat kilka pożegnał Lwów – jako miejsce stałego zamieszkania – gdyż zamierzał się kształcić w Matejkowskiej uczelni. Po studiach w Krakowie odbytych na kierunku prawa i administracji na Uniwersytecie Jagiellońskim (co było kontynuacją studiów

lwowskich) i w Szkole Sztuk Pięknych (która podczas studiów Pautscha w październiku 1900 r. w przekształciła się w Akademię) u znakomitych profesorów – Józefa Unieżyńskiego (zięcia Matejki) i Leona Wyczółkowskiego, po rocznym stypendialnym pobycie w Paryżu, Pautsch powrócił do Lwowa, skąd wyjeżdżał na huculskie plenery. Bo i został – jeszcze w dzieciństwie – zauroczony niezwykłą urodą ludu huculskiego, tamtego pejzażu, które to elementy bogato wkroczyły do jego twórczości.

Ok. 1908 roku powstały portrety reprezentantów lwowskiego życia artystycznego – Leopolda Staffa, Antoniego Muellera czy Ostapa Ortwina. Portrety badaczy sztuki – Władysława Kozickiego i Mieczysława Tretera dołączyły niebawem do tej grupy prac naszego artysty. Portret Staffa, kolegi z gimnazjum, był najczęściej pokazywany. W księdze o Staffie *W kręgu literackich przyjacieli* czytamy o życiu artystycznym ówczesnego Lwowa:

... Łączyła ich wspólna kawiarnia artystyczna i owe upamiętnione przez Władysława Kozickiego spotkania u Naftuły, Töpfera, Schneidera, George'a, wspólne zainteresowania artystyczne. Staff lubił i znał malarstwo, interesował się nie tylko sztuką, ale i malarstwem współczesnym. Oglądał głośne wystawy paryskie, ale i przede wszystkim obrazy i rysunki swoich przyjaciół malarzy. Chętnie zachodził do ich malarskich pracowni: do Sichulskiego na Ponińskiego 8, do Jareckiego na Pułaskiego 10, do Pautscha, któremu pozował do portretu.

14 lipca 1908 roku Pautsch pobrał się z Wilhelminą Joanną Albertyną Gayer von Ehrenberg (ur. w 1884 roku w Czeskim Brodnie)³, poznaną jeszcze w 1901 roku w Pradze. Powstało wówczas kilka prac portretowych narzeczonej i żony, to w owalu, to prostokątne, ładnej rudawej kobiety, na ogół z głową strojną w ukwiecone kapelusze lub tylko z wstążką na tle rozłożonej



Fotografia ok. 1905 r.

parasolki, czy bez kapelusza z koronkowym szalem...

W spisie alfabetycznym mieszkańców Lwowa znajdujemy adres ojca artysty – *Pautsch Fryderyk, radca budownictwa, ul. Lenartowicza 3*. Brak oddzielnego adresu artysty wskazuje, że przed ślubem mieszkał on z ojcem⁵.

Ale wróćmy do atmosfery artystycznego Lwowa młodości Pautscha. Kazimierz Sichulski notując *Wspomnienia o lwowskiej kawiarni Schneidera w latach 1905–1910*, w których przywoływał ponad trzydzieści nazwisk bywalców kawiarni w ich ulubionych kątkach, ukazując ich w typowych charakterystycznych ruchach, z małymi, choć celnymi dygresjami, określającymi cechy ich psychiki, napisał tak:

*Z karykatury nic nie będzie, wstają i przynoszą się do kąta za filarem, gdzie na uboczku znakomity malarz Fryderyk Pautsch rysuje zapalkami, maczanymi w kawie, przepyszne karyki na białym marmurze stolika (nigdy na papierze), czemu w skupieniu przypatrują się – zresztą wcale gadatliwy – Dębicki i milczący jak zawsze Jarocki...*⁶

Anna Kasproicz-Jarocka we wspomnieniach *Córki mówią...*, pisząc o lwowskiej wystawie „Sztuki” z 1910 r., jaka odbywała się na pl. powystawowym w Parku Stryjskim, zanotowała o kontaktach Jana Kasproicza z Pautschem: *... Z dzieł malarskich zapamiętałam dużych rozmiarów obraz Pautscha „Topielec”. Malarz ten wykonał już wcześniej portret ojca, bardzo młodopolski w stylu i stąd datowała się ich znajomość*⁷.

Władysław Kozicki, pisząc obszerniejsze studium o Pautschu, notował: *W roku 1911 w kwietniu urządził pierwszą wielką wystawę zbiorową swych prac, nie w oficjalnym lwowskim salonie, ale w prywatnym pałacyku przy ul. Mochnickiego we Lwowie, należącym niegdyś do śp. prof. Dunikowskiego. Było to wówczas dla Lwowa prawdziwe wydarzenie artystyczne. Krytyka lwowska, reprezentowana wówczas przeważnie przez młodych, spragnionych nowych wartości artystycznych teoretyków sztuki, powitała wystawę Pautscha z radością i entuzjazmem. Dr Treter napisał obszerny wstęp do Katalogu, ja poświęciłem 34-letniemu wówczas artyście kilka gorących felietonów w „Słowie Polskim”. Dostaliśmy wówczas mocno po palcach od hołdującego starym prądom, niezwykle zresztą około kultury artystycznej Lwowa zasłużonego, wiceprezydenta miasta Tadeusza Rutowskiego w redagowanym przez niego miesięczniku „Sztuka”*⁸.

Tenże Władysław Kozicki, w artykule o lwowskim okresie twórczości Staffa na ćwierćwiecze działalności poety, wspominał na łamach „Wiadomości Literackich” o kawiarnianych radościach Lwowa:

... Jedną z najgroźniejszych eksplozji takiego ształu dionizyjkiego było słynne w rocznikach artystycznego Lwowa pożegnanie Pautscha, który odjeżdżał do Wrocławia na stanowisko profesora tamtejszej akademii malarskiej. Zaczęło się to w zamkniętym „gabiniecie” u George’a w ścisłym kółku kilkunastu przyjaciół zwołanych zaproszeniami w starej skomponowanych polszczyźnie. Powoli grono żegnających zaczęło rosnać jak na drożdżach. Jakimś sposobem spadł z Krakowa nawet Boy-Żeleński (wtedy jeszcze nie wielki Boy od tysiąca i jednego przekładów z literatury francuskiej i osiemdziesięciu wieczorów „Flirtu z Melpomeną”, ale mały Boy od „Zielonego Balonika” i „Słówek”. Po północy „pożegnanie” wzięło we



władanie dosłownie wszystkie sale restauracyjne. Cały „George” jak jeden mąż zegnał Pautscha. A że niektórym proceder wypijania ciągłych toastów ze szklaneczek wydawał się zbyt nużący, więc co dzielniejsi pili szampana z cukierniczek. Pamiętasz Poldziu? Wtedy umiano szanować sztukę!

... A potem? Potem przyjaciół się pożeniły. Piliśmy teraz wino i śpiewaliśmy „Zaczeka” już nie po restauracjach, ale u państwa Kasprowiczków, u państwa Germanów, u państwa Treterów... A potem przyszedł sierpień 1914 r., wojna, inwazja rosyjska i generalne rozproszenie przyjaciół na cztery strony świata. Ja z Kasprowiczem i Jarockim znaleźliśmy się w Zakopanem, German i Sichulski w Legionach, Pautsch jako rezerwowo porucznik artylerii – w der K. und K. Armie, a Staff z Treterem oparli się aż w mitycznym Charkowie, gdzie tułaczy lwowskich przygarnął gościnny dom p. Henryka Toeplitza⁹.

Po pierwszej wojnie wylądował Pautsch znów we Wrocławiu, ale na krótko, gdyż został wezwany do organizacji szkoły zdobnictwa w Poznaniu i tam działał od października 1919 r. Lwowski „Szczutek” drukował w 1918 r. jego satyryczne rysunki o treści antimilitarystycznej i redakcja tego pisma przyznała Pautschowi nagrodę w konkursie na rysunek satyryczny. Lwowskie prywatne galerie często prezentowały jego prace w okresie międzywojnia, ale wówczas największy pokaz jego obrazów – 48 prac! – wystawiono w 1930 r. na 89 wystawie „Sztuki” w Pałacu Sztuki we Lwowie.

W latach 1925–1950 Pautsch był profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Jak uświadamia album *Polskie malarstwo w zbiorach za granicą* autorstwa Stefanii Krzysztofowicz-Kozakowskiej (Wydawnictwo Kluszczyński, Kraków) kompozycja Pautscha *Kobieta z dzieckiem* jest ozdobą Lwowskiej Galerii Sztuki, przypominając o polskim artyście, którego 60-lecie śmierci (5 VII 1950) będziemy obchodzić niebawem, co my jako autorzy chcemy uczcić wydaniem kolejnej, 9 już publikacji z cyklu „krakowsko-szlakowego” – pracą *Krakowskim szlakiem Fryderyka Pautscha*.

^{1,2} Por.teczka osobowa Fr. Pautscha krakowskiej ASP.

³ L. Staff, *W kręgu literackich przyjaźni. Listy*. Opr. Jadwiga Czachowska i Irena Maciejewska. PIW W-wa, 1966, s. 545.

⁴ Patrz 1, 2.

⁵ *Księga adresowa mieszkańców Lwowa*, 1909, s. 128.

⁶ Ewa Hołuszka: *Kazimierz Sichulski. Katalog*. Muzeum Narodowe Wrocław, 1994, s. 22.

⁷ Anna Kasprowicz-Jarocka: *Córki mówią*. PIW W-wa 1966, s. 258.

⁸ Władysław Kozicki: *Fryderyk Pautsch*. „Sztuki Piękne” 1927/28, Kraków, s. 123.

⁹ Tenże: *Lwowski okres twórczości Staffa*. „Wiadomości Literackie” 1929, 14 VII, nr 28.

Z ostatniej chwili

Powstrzymanie prowokacyjnego rajdu banderowskiego dało nam pełną satysfakcję. Cieszymy się, że znaleźli się ludzie, którzy zdołali przekonać do tego polskie władze.

Dziękujemy w szczególności ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu za jego konsekwentną obronę naszej narodowej godności.

Zarząd Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, Redakcja „Cracovia–Leopolis”

Marta Walczewska

LWOWSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE

W naszym piśmie „Cracovia–Leopolis” i wrocławskim „Semper Fidelis” pojawiła się przed kilku laty prośba o przekazanie do Archiwum Korporacyjnego w Poznaniu pism i pamiątek związanych z ruchem korporacyjnym. Z dokumentów, które pozostały po moim ojcu, dowiedziałam się, że był on w latach 30. XX wieku filistrem, czyli członkiem korporacji „Zagończyk” działającej we Lwowie. Dotąd nie wiedziałam na ten temat. Otrzymane z Poznania od p. dr. Wróblewskiego materiały pozwoliły mi poznać ciekawą historię korporacji – najbardziej barwnych organizacji studenckich.

Korporacje powstały na przełomie XVIII i XIX wieku w Niemczech i szybko rozprzestrzeniły się w Europie. Od początku XIX w. działały na uniwersytetach w państwach zaborczych, m.in. we Wrocławiu, Dorpacie, Rydze, Petersburgu, Kijowie, Wiedniu i Lipsku. Polskie korporacje zaistniały na uniwersytetach niemieckich: w 1916 r. „Polonia” we Wrocławiu oraz w 1918 r. bliźniacza „Polonia” w Berlinie. W czasach zaborów działało około 40 polskich korporacji.

W II Rzeczypospolitej od 1920 roku spontanicznie powstało ok. 200 nowych korporacji na wyższych uczelniach Wilna, Warszawy, Lwowa, Poznania, Krakowa, Lublina i Cieszyna. Były to elitarne stowarzyszenia ideowo-wychowawcze, związane ze środowiskami narodowymi i konserwatywnymi oraz Kościołem Katolickim.

W 1921 roku powstał Związek Polskich Korporacji Akademickich (ZPKA). Dewizą związku było *Salus Republicae Suprema Lex (Dobro Rzeczypospolitej Najwyższym Prawem)*. Funkcjonowały też korporacje chadeckie, konserwatywno-sanacyjne

i lewicowo-sanacyjne. One też tworzyły reprezentacje ogólnokrajowe. W 1924 roku z inicjatywy środowisk związanych z Akademickim Stowarzyszeniem Katolickim „Odrodzenie” została założona Sanacyjna Federacja Polskich Korporacji Akademickich. Były próby tworzenia korporacji żeńskich, ale szybko zanikły. Federacje mniejszości narodowych łączyły studentów ukraińskich, żydowskich, niemieckich.

Korporacje cieszyły się w 20-leciu międzywojennym dużym prestiżem. Ich członkami było wiele wybitnych postaci życia politycznego, religijnego, naukowego i kulturalnego, jak I. Paderewski (K! „Patria”), prezydent I. Mościcki (K! „Walencja”), marszałek J. Piłsudski (K! „Piłsudia”), R. Dmowski (K! „Baltia”), gen. W. Sikorski (K! „Leopolia”), abp. A. Kakowski (K! „Ostoja”), abp. J. Teodorowicz (K! „Obotritia”), W. Tatarkiewicz (K! „Aquilonia”), F. Nowowiejski (K! „Surma”) i Jan Kiepura (K! „Grunwaldia”).

Korporacje prowadziły bogate życie organizacyjne, społeczno-polityczne, religijne, sportowe i towarzyskie oraz stricte korporacyjne (komerse, fidułki, bumele). Przy całej wielkiej różnorodności cechą łączącą organizacje korporacyjne była hierarchiczna, trójstopniowa struktura organizacyjna, demokratyczny sposób podejmowania decyzji, symbolika i zewnętrzne atrybuty, dożywność członkostwa, działalność samopomocowa, samokształceniowa, towarzyska i społeczno-polityczna. Korporacje skupiały studentów i absolwentów uczelni. W Polsce podkreślany był charakter ideowo-wychowawczy (tradycja wileńskich Filomatów i Filaretów). Korporacje posiadały swoje symbole:

- cyrkiel korporacyjny – jest to monogram ze splecionych liter V-C-F (Vivat, Crescat, Floreat) i pierwszej litery nazwy korporacji, zakończonych wykrzyknikiem;
- dekiel – to czapka z daszkiem, często z symboliką uczelni bądź korporacji, czasem z trójkolorową taśmą, symbolizującą bandę;
- banda (szarfa) – była wykonana z tkaniny, przewieszona z ramienia na bok, tak jakby na niej była zawieszona szablą; banda trójkolorowa – dla barwiarza, jedno- lub dwukolorowa – dla fuksa.

Barwiarz to pełnoprawny członek korporacji, noszący bandę lub kokardę. Fuks to

kandydat na członka korporacji. Filister to korporant po ukończeniu studiów.

Trójbarwność jest charakterystyczna dla czapek, szarf, dewizek i wydawnictw. Pojawiają się też skróty: Korporacja – „K”, Filister – „F”, Comiliton – „C”. Są to rodzaje członkostwa w korporacji.

Wybuch II wojny światowej zakończył legalne działanie korporacji. Zginęło ok. 15% korporantów. Pozostali starali się nadal utrzymywać kontakty. Przyznanie się do członkostwa w korporacji było źle widziane. Dopiero w latach 1970. i 80. odsłonięto kilkanaście tablic, poświęconych pomordowanym korporantom. Przemiany, dokonane w Polsce po 1989 r. umożliwiły reaktywację korporacji. Pierwsza była korporacja „Lechia” w Poznaniu w latach 1990–1993. W 1991 r. powstało Stowarzyszenie Filistrów Poznańskich Korporacji Akademickich. W latach 1990–2007 reaktywowano 18 przedwojennych korporacji, powstały też nowe.

Większość archiwaliów korporacyjnych uległa zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Najmniej pamiętek zachowało się ze Lwowa i całych Kresów. W Polsce powojennej były podejmowane wysiłki, aby zachować ocalałe pamiętki korporacyjne. W tych działaniach duże zasługi położył dr Zbysław Popławski z Lwowskiej Korporacji „Slavia”. W Poznaniu rozpoczęto w roku 1974 akcję gromadzenia pamiętek. Dzięki pomocy ks. abpa Antoniego Baraniaka deponowano je w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu. W roku 2000 członek korporacji „Lechia” dr Bartłomiej P. Wróblewski podjął się stworzenia Archiwum Korporacyjnego, przy wsparciu Stowarzyszenia Filistrów Poznańskich Korporacji Akademickich oraz Korporacji „Lechia”. W roku 2001 powstało w Poznaniu Archiwum Korporacyjne, gromadzące pamiętki i zbierające informacje o historii i tradycji polskich korporacji. W latach 2001–2008 stworzono Muzeum Korporacyjne. Zarejestrowano wywiady z kilkudziesięcioma przedwojennymi członkami korporacji. W 2007 r. otwarto pierwszą wystawę zebranych pamiętek.

KORPORACJE AKADEMICKIE WE LWOWIE

Lwów na przełomie wieków XIX i XX był największym w Polsce ośrodkiem akade-

mickim, przyciągającym do swoich uczelni studentów ze wszystkich części Polski.

Uniwersytet Lwowski, utworzony przez króla Jana Kazimierza w 1661 roku z Kolegium Jezuickiego, od 1919 roku nosił nazwę Uniwersytetu Jana Kazimierza. Akademia Techniczna, w 1877 r. przeobrażona w Szkołę Politechniczną, od 1921 roku nosiła nazwę Politechniki Lwowskiej. Założona w 1881 roku Cesarsko-Królewska Szkoła Weterynaryjna, przekształcona w 1909 r. w Akademię Weterynaryjną o pełnych prawach uniwersyteckich, od 1922 r. nosiła nazwę Akademii Medycyny Weterynaryjnej. W 1922 roku utworzono Wyższą Szkołę Handlu Zagranicznego, od 1937 r. znaną jako Akademia Handlu Zagranicznego.

W latach 20-lecia międzywojennego w roku akademickim 1921/22 na Uniwersytecie Lwowskim studiowało 4773 studentów, a w roku 1937/38 – 6050. Na Politechnice w roku 1921/22 – 2305 studentów, a w roku 1937/38 – ok. 2570.

Na rozwijających się lwowskich uczelniach powstawały studenckie stowarzyszenia korporacyjne. Najstarszą polską korporacją Lwowa była K! „Lutyco-Venedya”, utworzona w 1921 r. z połączenia dwóch dorpackich korporacji – „Lutycyli” i „Venedyi”, powstałych na Uniwersytecie Weterynaryjnym w Dorpacie. W 1923 r. ukonstytuowały się K! „Leopolia” i K! „Znicz”. W latach międzywojennych istniało we Lwowie 39–44 korporacji, większość na Uniwersytecie Jana Kazimierza, kilka na Politechnice (K! „Scythia”, K! „Tytania”, K! „Sylvania” i K! „Osnova”) oraz na Akademii Medycyny Weterynaryjnej (K! „Lutyco-Venedya”, K! „Korpus Zawiszy Czarnego”, K! „Lutycya”). Większość z nich należała do Związku Polskich Korporacji Akademickich i tworzyła Lwowskie Koło Międzykorporacyjne, które w 1939 r. liczyło 14 korporacji. Były też korporacje chadeckie, sanacyjne, a także korporacje mniejszości narodowych – ukraińska Osnowa oraz żydowska.

W roku akademickim 1927/28 w 11 korporacjach zrzeszonych w Związku Polskich Korporacji Akademickich były 392 osoby, co stanowiło ok. 5% studentów wszystkich szkół wyższych Lwowa. W roku 1930/31 w 14 korporacjach związkowych było 670 członków – 9% ogółu studentów. W tym okresie funkcjonowało jeszcze co najmniej

kilkanaście korporacji, o których liczebności brak danych.

Członkami lwowskich korporacji byli rektorzy i profesorowie Uniwersytetu Jana Kazimierza, były też postacie z życia publicznego – duchowni, politycy, wojskowi, działacze społeczni, jak abp. obrządku ormiańskiego J. Teodorowicz (K! „Obotritia”), gen. T. Rozwadowski (K! „Leopolia”), Naczelnny Wódz gen. W. Sikorski (K! „Leopolia”, K! „Scythia”), gen. L. Berbecki (K! „Ikaria”), dowódca obrony Lwowa w 1918 r. brygadier Cz. Mączyński (K! „Obotritia”), wiceprezydenci miasta: prof. L. Stahl (K! „Leopolia”) i K. Irzyk (K! „Cresovia Leopoliensis”) oraz społecznik hr. Włodzimierz Dzieduszycki (K! „Leopolia”).

W 20-leciu międzywojennym Lwów był trzecim po Warszawie i Poznaniu najsilniejszym ośrodkiem korporacyjnym w Polsce. Lwowskie środowisko korporacyjne wyróżniało się patriotyzmem i katolickością. To przywiązanie do wartości narodowych, patriotycznych i religijnych pozwoliło korporacjom uzyskać wysoki prestiż w społeczeństwie miasta „Semper Fidelis”.

Na ok. 40 istniejących w 20-leciu międzywojennym we Lwowie korporacji w Archiwum Korporacyjnym udało się zgromadzić pamiętki tylko po 17 korporacjach. Były to następujące związki: K! „Lutyco-Venedya”, K! „Lutyca”, K! „Leopolia”, K! „Znicz”, K! „Gasconia”, K! „Scythia”, K! „Aquitania”, K! „Aragonia”, K! „Zagończyk”, K! „Obotritia”, K! „Cresovia”, K! „Tytania”, K! „Avanguardia”, K! „Śląsk”, K! „Slavia”, K! „Orlęta-Szczerbiec”, K! „Bellona”. Zbiór pamiętek po lwowskich korporacjach jest najskromniejszy, jeśli porównać go ze zbiorami pozostałych środowisk korporacyjnych. Najwięcej pamiętek zachowało się po K! „Lutyco-Venedyi”, „K! Gasconii” i K! „Slavii”. Udało się odnaleźć kilka dekli (czapek), pojedyncze insygnia i fotografie. Mimo podejmowanych wysiłków, aby powiększyć zbiory, nie udało się dotąd opracować wielu korporacji lwowskich.

Do już opracowanych należy Polska Korporacja Akademicka K! „Lutyco-Venedya” z pierwotną siedzibą w Dorpacie, a od 1921 roku we Lwowie. Jej barwy to błękit, czerwień i ciemne srebro. Dewiza: „Braterstwem i Pracą”. Była to najstarsza i największa korporacja we Lwowie. Powstała na zjeź-

dzie lekarzy weterynarii w 1921 roku. Należeli do niej wyłącznie studenci Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Prawa członka rzeczywistego Związku Polskich Korporacji Akademickich uzyskała w 1921 roku. Była organizatorem Lwowskiego Koła Międzykorporacyjnego.

Polska Korporacja Akademicka „Gasconia” powstała 10 stycznia 1924 r. we Lwowie. Jej barwy to liliowa, złota i czarna. Dewiza: *Malheur a qui me touche (Biada temu, kto mnie dotknie)*. „Gasconia” w lipcu 1926 r. uzyskała prawa członka rzeczywistego w Związku Polskich Korporacji Akademickich. Niekompletna lista członków zawiera 112 nazwisk. Po wojnie, do lat 80., członkowie korporacji urządzali spotkania.

Polska Korporacja Akademicka „Śląsk” z siedzibą we Lwowie powstała w r. 1932, założona przez studentów z Górnego Śląska. Jej barwy to niebieski, srebrny i czarny. Dewizą było hasło *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*. W 1934 roku uzyskała prawa członka rzeczywistego Związku Polskich Korporacji Akademickich. Niekompletna lista członków obejmuje 37 nazwisk. Po wojnie odbywały się na Śląsku nieoficjalne spotkania niewielkiej grupy członków.

Polska Korporacja Akademicka „Slavia” powstała w 1931 r. we Lwowie. Jej barwy to jasnogranatowa, złota i karmazynowa. Dewiza: *Polska dla Polaków*. W lutym 1934 uzyskała prawa członka rzeczywistego. Działała w podziemiu na terenie Lwowa do 1944 roku. Kompletna lista członków przedwojennej „Slavii” obejmuje 98 nazwisk. Po wojnie do lat 90. organizowała nieoficjalne spotkania.

Korporanci z Poznania – pracownicy Archiwum Korporacyjnego, wysłali 4000 listów w poszukiwaniu pamiętek korporacyjnych. Odpowiedź otrzymali od 100 osób. Odnaleziono tylko 4 dekle – czapki korporacji lwowskich. Czapka K! „Zagończyka” zachowała się u rodziny korporanta, która na razie nie chce się z nią rozstać.

Jestem pełna uznania i podziwu dla poznajskich zapaleńców, utrwalających historię studenckich korporacji. Mam nadzieję, że może ktoś po przeczytaniu tego artykułu znajdzie w swoim archiwum rodzinnym jakąś pamiętkę, ślad przeszłości, i zechce powiększyć zbiory Archiwum w Poznaniu.

INFORMACJA O KORPORACJACH I UŻYWANEJ PRZEZ NIE SYMBOLICE

Polskie korporacje akademickie były stowarzyszeniami studenckimi, które działały od początku XIX w. do 1918 r. na uniwersytetach w państwach zaborczych (m.in. Wrocław, Dorpat, Ryga, Petersburg, Kijów, Wiedeń, Lipsk, Fryburg), a po odzyskaniu niepodległości do 1939 r. na uniwersytetach i wyższych szkołach w Polsce (Warszawa, Poznań, Kraków, Lwów, Lublin, Wilno, Cieszyń), bądź też rzadziej także poza jej granicami (m.in. Gdańsk, Czerniowce, Kowno, Wiedeń, Paryż). Niektóre z nich w okresie powojennym kontynuowały działalność na emigracji (Londyn, Chicago, Montreal), a także organizowały nieoficjalne spotkania w komunistycznej Polsce. Najstarsze polskie korporacje to: Konwent Polonia, Arkonia, Welecja, Lutyco-Venedya, Lechicja, Sarmatia, Jagiellonia, Wisła, Magna-Polonia, Lechia, Aquilonia, Chrobacja, Gnomia, Sparta, Respublica, Patria, Posnania, Vilnensia, Gnomia, Akropolis, Corolla, Hetmania, Filomatia Vilniensis, Concordia Varsoviensis.

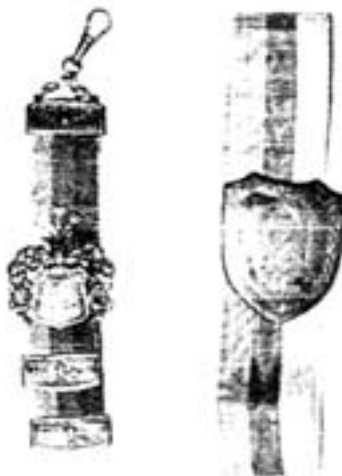
Korporacje akademickie kultywowały stare tradycje studenckie. Posiadały swoje zwyczaje i symbole. Niektóre z nich widoczne są na wielu insygniach i innych przedmiotach związanych z korporacjami. Można wskazać na kilka ich najbardziej charakterystycznych cech.

Po pierwsze: występowanie cyrkla korporacyjnego, tj. monogramu złożonego ze splecionych liter: V, C oraz F (pierwsze litery ha-



sła – Vivat, Crescat, Floreat) oraz pierwszej litery nazwy danej korporacji (np. w cyrkle Korporacji „Lechia” jest to litera L) – zakończonych wykrzyknikiem.

Po drugie: cechą charakterystyczną jest często pojawiająca się na insygniach i na innych utensyliach korporacyjnych trójbarwność (widoczna m.in. na czapkach, szarfach, dewizkach, wydawnictwach).



▲ Dewizka do zegarka Korporacji „Hermesia”, szarfa ze srebrną tarczką Korporacji „Magna-Polonia” oraz herb Korporacji „Obotritia”

◀ Cyrkiel Korporacji „Lechia” w formie odznaki oraz wyhaftowany na czapce Korporacji „Aesculapia”

Po trzecie wreszcie: dla organizacji i tradycji korporacyjnej charakterystyczne są także pojawiające się w różnych kontekstach dziś egzotycznie brzmiące pojęcia i skróty takie jak np. Konwent (inaczej Korporacja – skrót „K!”), Filister – skrót „F!”, Comiliton – skrót „C!”, Fuks (nazwy oznaczające różne rodzaje członkostwa w korporacji), komers, fidułka, konwent, coetus (określenia różnych rodzajów spotkań korporacyjnych).

SYLWETKI

ZYGMUNT JAN RUMEL patron obchodów 65. rocznicy ludobójstwa na Ziemiach Wschodnich

Z.J. Rumel urodził się w 1915 roku. Jego ojciec był inżynierem rolnikiem, a matka poetką. Za kampanię 1920 r. ojciec otrzymał order *Virtuti Militari* i jako osadnik wojskowy zamieszkał koło Wiśniowca w powiecie krzemienieckim. W domu rodzinnym panowała atmosfera miłości i patriotyzmu. Utrzymywało przyjazne stosunki z Ukraińcami.

Zygmunt ukończył słynne Liceum Krzemienieckie. Był wybijającym się uczniem i działaczem Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej. Pisywał wiersze liryczne i artykuły na tematy społeczne i ekonomiczne dotyczące wsi wołyńskiej. Tworzył i rozwijał przyjazne współistnienie dwóch narodów i kultur. Miał wielu przyjaciół wśród Ukraińców.

W 1935 r. rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Był członkiem grupy poetyckiej „Wołyń”.

W roku 1939 brał udział w kampanii wrześniowej w stopniu podporucznika, a już w listopadzie podjął w Warszawie działalność konspiracyjną. Prowadził tajną drukarnię.

Jesienią 1941 r. z polecenia Komendy Głównej Batalionów Chłopskich w skrajnie niesprzyjających warunkach zakładał na Wołyniu siatkę konspiracyjną. Pomagała mu w tym dzielnie żona-aktorka. Wiosną 1942 powrócił do Warszawy, a w listopadzie udał się ponownie na Wołyń (przemycił drukarkę). W styczniu 1943 r. został komendantem Okręgu VIII BCh-Wołyń. W tym czasie banderowcy rozpoczęli masowe mordy ludności polskiej. Rumel otrzymał od wołyńskiego delegata rządu RP K. Banacha polecenie podjęcia rozmów z UPA – celem powstrzymania rzezi. 7 lipca wyruszył na te rozmowy wraz z Krzysztofem Markiewiczem i Witoldem Dobrowolskim. 10 lipca polscy parlamentariusze zostali po bestialskich torturach zamordowani przez rozerwanie końmi, a ich ciała poćwiartowano.

Wraz ze śmiercią Zygmunta Rumla niepowetowaną stratę poniosła również polska

kultura. Był on jednym z „brylantów, którymi strzelaliśmy do wroga” (słowa Stanisława Pi-gonia). Jego wielki talent poetycki dostrzegł Leopold Staff.

Zygmunt Rumel stał się symbolem tragedii Kresów, z rąk ukraińskich zginął człowiek szlachetny, żarliwy działacz na rzecz przyjaznego współżycia obu narodów. Natomiast jego matkę i siostrę uchronił przed śmiercią Ukraińców.

Feliks Budzisz

Wspomnienie o Wiktorze Poliszczuku

W nocy z 17 na 18 listopada 2008 zmarł wybitny człowiek – Ukraińiec, przyjaciel Polaków, miłośnik prawdy – profesor Wiktor Poliszczuk. Za jego prawość, uczciwość badacza-historyka, Społeczna Fundacja Pamięci Narodu Polskiego odznaczyła go orderem „Polonia Mater Nostra Est”.

Wiktor Poliszczuk urodził się w 1925 r. w Dubnie na Wołyniu. Pochodził z rodziny mieszanej. Ojciec był prawosławnym Ukraińcem, matka – Polką. Został wychowany na ukraińskiego patriotę, przyjaciela Polaków. Kiedy miał 14 lat, sowieci zamordowali jego ojca. W 1940 roku został wywieziony wraz z matką i siostrami do Kazachstanu. W 1944 r. przesiedlono ich na wschodnią Ukrainę. Dwa lata później udało się im wyjechać do Polski, gdzie mogli zacząć normalne życie. Młody Wiktor ukończył studia prawnicze we Wrocławiu. Tu powstały 3 rozprawy na temat praw człowieka w ZSRR, będące echem jego przeżyć.

W 1946 roku od najbliższych, zbiegłych z Dubna, dowiedział się o dramacie Wołynia. To był szok, trudna do przyjęcia gorzka prawda. W 1981 r. wyjechał z Polski i osiadł w Kanadzie. Tam zetknął się z patologicznym nacjonalizmem ukraińskim i nienawiścią do polskości. Odtąd pochłonęły go całkowicie poszukiwania materiałów o organizacji, działalności praktycznej i ideologii nacjonalizmu ukraińskiego. Wbrew oficjalnej propagandzie Poliszczuk wybrał drogę prawdy. W przeprowadzonym z nim wywiadzie powiedział: *Decydującym momentem była moralność. Po ujawnieniu zbrodni OUN-UPA powiedziałem sobie, że nie mógłbym umrzeć spokojnie, gdybym nie powiedział ludziom prawdy. Moja*

w tym względzie postawa jest postawą humanisty i chrześcijanina.

Plonem prac profesora jest kilkanaście książek, artykuły naukowe, polemiki, publikacje prasowe. Profesor Poliszczuk przetłumaczył na język polski *Nacjonalizm* Dmytra Doncowa – teoretyka ukraińskiego nacjonalizmu, opartego na darwinizmie społecznym. Pięciotomowe dzieło Wiktora Poliszczuka nosi tytuł *Integralny nacjonalizm ukraiński jako odmiana faszyzmu*.

Ten uczony człowiek nie miał łatwego życia. Nie akceptowali go Ukraińcy za odsłanianie trudnej prawdy. Polscy historycy byli zapatrzeni w wizję Giedroycia, nakazującą przemilczanie zbrodni UPA. Wiktor Poliszczuk okazał się dla wszystkich niewygodny, szczególnie naraził się nacjonalistom, hołdującym tradycjom OUN-UPA. Prawdziwe pojednanie polsko-ukraińskie mogłoby nastąpić, gdyby ta zbrodnicza działalność

została potępiona. Tymczasem na terenie tzw. Ukrainy Zachodniej powstają coraz to nowe pomniki „bohaterów” – Bandery, Szuchewycza, Kłyma Sawura i innych, prowadzona jest antypolska propaganda.

W swojej książce *Gorzka prawda – zbrodniczność OUN-UPA* prof. Poliszczuk pisze: *Za działalność OUN-UPA ma przyjąć odpowiedzialność obecna władza Ukrainy – jej Parlament i Prezydent. To oni powinni oficjalnie potępić OUN-UPA, odseparować naród ukraiński od tych zbrodniczych organizacji. (...) To samo powinna uczynić w pierwszym rządzie hierarchia Greckokatolickiej Cerkwi, bowiem pod jej skrzydłem powstała OUN. A także hierarchia Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, bowiem to jej wierni brali udział w masowych mordach na Wołyniu. (...) Powiedzmy światu prawdę, chociaż jest ona taka gorzka. Moja spowiedź jest pierwszym krokiem w tym kierunku.*

Marta Walczewska

MALCOLM SCOTT

Malcolm-Malek urodził się w Stryju 10 marca 1904, zmarł 17 marca 1988 w Sussex, gdzie wraz z żoną Jean mieszkał przez 18 lat. W tej ciszy miał zamiar napisać książkę *Mój dom, moja ulica, moje miasto* – o Lwowie, który ukochał i nosił pamięć o tym mieście przez całe życie.

Dziadek Malcolma – również Malcolm – był architektem, który wyemigrował ze Szkocji do Hamiltonu, Ontario, Kanada. Dla pracowników wydobywających naftę wybudował miasto „Petrolia”, ożenił się z Kanaadyjką, a jednym z ich dzieci był Elgin, który z grupą szkockich Kanadyjczyków wiertaczy wyjechał do Galicji, by tam poszukiwać ropy naftowej. Gdy grupa przyjechała w Karpaty, tzw. „Ojciec Elgin” rzucił swój kapelusz i w tym miejscu, gdzie upadł, zaczęli wiercenie. Szczęśliwie ropa trysnęła za pierwszym razem.

„Ojciec Elgin” zbudował dom na wzór angielski z parkiem, nazwał go „Ropienka”, poślubił polską panienkę Karolę Ludwig, utrzymywał angielskie tradycje, np. na imieniny królowej Wiktorii zamawiał orkiestrę strażacką, by grali angielski hymn narodowy. Z pięciorga dzieci Elgina (George, El-

gin junior, Małgorzata, Helena i Malcolm) to Malcolm był najmłodszy. Gdy byli już w szkolnym wieku, rodzina przeniosła się do Lwowa i zamieszkała przy ul. Dwernickiego. Malcolm początkowo był w szkole Kistryna, dla którego zachował miłość i poważanie, jak i dla innych profesorów, dzięki którym rozkochał się w polskiej poezji. Był już wtedy w 2 Szkole Realnej. W tym czasie ojciec Malka wiercił w Argentynie.

Inwazja ukraińska przerwała szczęśliwe lata. Koledzy Malka uciekali z domów, uciekł również Elgin, starszy brat, by walczyć za Lwów. Malek, choć za młody i angielski obywatel, za radą ojca, że *kto j i lwowski chlib, powinien bronić miasta*, przyłączył się do brata i Obrońców Lwowa.

Po wojnie bracia kończyli naukę, George założył sklep sportowy na ul. Akademickiej wraz ze szwagrem Leszkiem Pawłowskim. Elgin wyjechał wraz z żoną Lilą do Trynidadu, a Malek studiował w Mittweida w Niemczech, następnie przystąpił do firmy Babcock and Wilcox Renfrew w Szkocji. Obie siostry zamężne pozostały w Polsce. W roku 1928 Malcolm poślubił lwowiankę Alinę Stromenger i rozpoczął pracę w polskiej filii firmy ze Szkocji w Sosnowcu. W 1936 r. urodził się syn Alan. W 1938 r. Malcolm został powołany do British Military Mission to Poland pod

przewodnictwem generała Sir Adriana Carton de Wiart VC, bohatera I wojny światowej. 3 września 1939 r., gdy Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom, a Misja otrzymała nakaz wyjazdu do Anglii, Malcolm przez Rumunię i Kair przedostał się do Anglii, gdzie po kursie oficerskim w Aldershot został członkiem grupy, która została skierowana do Commando Training w Loch Eilort w Szkocji. Po ciężkim wypadku i długim leczeniu został odkomenderowany jako *British officer to the Polish Army in Scotland* pod dowództwo gen. Paszkiewicza.

Po wojnie Malcolm pracował w British Home Office i Foreign Office. Ojciec Malcolm Elgin pozostał we Lwowie – ten obywatel brytyjski, jeszcze słabo mówiący po polsku, mimo zarządzeń Home Office nie opuścił Lwowa. Wspaniały człowiek „Ojciec Elgin” zmarł we Lwowie w 1942 roku. W 1954 r. umiera żona Malcolm, Alina ze Stromengerów.

Malcolm pracował stale w British Home Office. Pozostał z synem Alanem. W 1959 poślubił drugą żonę Jean i zamieszkali w pięknym, dużym domu w Sussex. Wraz z Jeannie stale przyjmowali rozrzuconą po całym świecie rodzinę, przyjaciół lwowian. W 1970 r. przeszedł na emeryturę, ale stale wraz z żoną pracowali nad tłumaczeniami. Znalazł czas, by pracować też dla Koła Lwowian i nie opuścił nigdy Akademii Lwowskich czy opłatków, wszystko co lwowskie było mu drogie. Chętnie opowiadał o swych latach młodości we Lwowie, serdecznie wspominając batiarów lwowskich, którzy wołali za nim „Malik”. Tak bardzo chciał napisać o tych szczęśliwych latach lwowskich, ale choroba zaczęła go coraz bardziej opanowywać. Mimo to żona przywoziła go do Londynu, by mógł wspominać z przyjaciółmi i opowiadać – wcale nie o swych wyjazdach do Anglii, gdy był dzieckiem i młodym człowiekiem, ale przede wszystkim o Lwowie, o profesorach, którzy go nauczyli kochać i bliskim stał mu się „Adaśku” i „Julku”.

Bardzo zaprzyjaźniony z „Wesołą Falą”, po urodzeniu się syna zaprosił przyjaciół, by go im przedstawić, a z żoną długo wybierali imię dla synka, żeby nie można było zdrobnić, więc – „Alan”. Tymczasem Szczepcio, wchodząc do pokoju malca, rozłożył ręce jak do uścisku – „Serwus, Luśku” – a obojgu rodzicom opadły ręce, tyle trudu na nic.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

BIAŁOBOŻNICA

Wieś w pow. czortkowskim, wojew. tarnopolskim, położona w odległości ok. 8 km od Czortkowa. Parafia rzym.kat. w Chomiakówce, grekokat. w miejscu. Właścicielem majątku był Kalikst Belocki.

CELEJÓW

Wieś w pow. kopyczyńskim, wojew. tarnopolskim, leżąca nad potokiem Tajna, dopływem Zbrucza, położona o ok. 10 km na płn. zach. od Husiatyna i 6 km na płn. zach. od Kopyczyńca. Parafia rzym.kat. znajdowała się w Kopyczyńcach, grekokat. w miejscu.

W czasach I Rzeczypospolitej Celejów należał do dóbr królewskich w powiecie trembowelskim. Król Stefan Batory w 1563 r. nadał prawo dożywocia na wsiach Celejów i Uwiśle swemu dworzaninowi Mikołajowi Niemojewskiemu, z warunkiem sprowadzenia do tych miejscowości, spustoszonych przez Tatarów, osadników z Czermna z dóbr jego żony Barbary. W 2. poł. XIX w. Celejów był własnością Dziedzuszyckich.

IWANIE

Wieś w pow. zaleszczyckim, wojew. tarnopolskim, położona na lewym brzegu Dniestru, w dolinie potoku Ługa, na wys. 288 m n.p.m. Leży w odległości 12 km na płn. zach. od Zaleszczyk. Należała do parafii rzym.kat. w Czerwonogrodzie, parafia grekokat. w miejscu.

W czasach I Rzeczypospolitej Iwanie wchodziły w skład starostwa czerwonogrodzkiego w wojew. podolskim. W latach 80. XIX w. stanowiły własność Kaliksta Potockiego.

JABŁONÓW

W wieś w pow. kopyczyńskim, oddalona 5,5 km na zach. od Kopyczyńca. W czasach austriackich przechodził tędy gościniec rządowy Tarnopol–Zaleszczyki. Parafia rzym.kat. znajdowała się w Kopyczyńcach, grekokat. w miejscu.

Historia. Osada istniała już na pocz. XV w. W 1414 r. Mikołaj Ciesielski h. Lubicz otrzymał ją w dożywocie od króla Władysława Jagiełły za wykupienie jej z zastawu od Dobka z Olewina

Z TAMTEJ STRONY

Ratować Kamieniec Podolski

Z końcem lutego zawalił się w Kamieńcu Podolskim jeden z ważnych i charakterystycznych zabytków – Brama Polska. Kamieniec, Twierdza Rzeczypospolitej, położony w niezwykłym miejscu – w pętli rzeki Smotrycz (kolejnym, poniżej Zbrucza, dopływie Dniestru), przebijającej się wśród pionowych skał – miał dwie bramy w swych fortyfikacjach, Polską i Ruską.

Kamieniec Podolski, gród unikalny w skali europejskiej (porównywany z Toledo, położo-

nym na antypodach Europy – w Hiszpanii) jest ostatnio – głównie z inicjatywy polskiej i w dużej mierze polskimi siłami – przywracany do jakiego-takiego stanu, który odpowiadałby wartości tego nieporównywalnego zabytku. Odnowiono kilka obiektów, ale to kropla w morzu potrzeb, wynikłych z braku konserwacji przez ostatnie stulecia, ale jeszcze bardziej przez zniszczenia dokonane w czasie II wojny. Wandalizm bolszewicki oraz problemy – obiektywne i subiektywne – jakie ma nowa władza. Reporter „Kurier Galicyjskiego” (nr 6/09) pisze, że okres niepodległości państwa ukraińskiego to najgorsze lata dla zabytków na obszarze pozostającym pod jego administracją.

Brama Polska, zbudowana w pierwszej połowie XVI w., miała kilka wież – ta, *Nadbramna*, była najważniejsza. Po jej zawaleniu pozostały jeszcze trzy mniejsze: *Nad Skałą* i *Nadbrzeżna* przy samej bramie oraz *Kowalska*, po drugiej stronie rzeki. W 1994 r. spaliły się drewniane części wież.

Ruiny Bramy Lackiej



Trzeba jeszcze dodać, że obie bramy kamienieckie miały charakter nie tylko komunikacyjno-obronny, ale także hydrotechniczny. Były one wyposażone w urządzenia, które umożliwiały zamknięcie przy nich zapór, powodujących zalanie przez rzekę kanionu w razie groźącego niebezpieczeństwa w czasie oblężenia miasta. Zapory te w ciągu paruset lat były uruchamiane parokrotnie, ratując miasto przed zdobyciem przez Turków (zapewne wspomaganym przez Kozaków). W XVIII w. zapory zlikwidowała carska Rosja.

▶ Jeszcze raz opowiadał to, gdy był już bardzo chory i cieszył się, że ma przyjaciół koło siebie.

Zasnął w swym domu, przy boku najlepszej, kochającej żony Jean i syna Alana z synową, pozostawiając ich w smutku 17 marca 1988 r., pochowany nie na Cmentarzu Orłąt, lecz w Anglii, ale z grudką ziemi z cmentarza Obrońców Lwowa. A na wstędze przy wieńcu w kolorach lwowskich amarantowo-granatowych był napis „Lwów – Swemu Obrońcy – Semper Fidelis”.

Janina Rawska Bączkowska

Wspomnienie pochodzi z Biuletynu Koła Lwowian „Lwów i Kresy”, nr 59, kwiecień 1989.

Trzeba wspomnieć przy okazji starszego brata Malcolma Scotta, Elgina juniora. Urodził się we Lwowie. Był jednym z pierwszych Obrońców Lwowa w 1918 r., a po uwolnieniu miasta wszedł do dywizjonu kawalerii lwowskiej „Wilków”, walczył pod Zadwórzem, ocalał. Zmarł na Trynidadzie w 1984 r.

Na koniec prośba do Czytelników: który z braci Scottów był po II wojnie konsulem brytyjskim w Katowicach: George, Elgin jr czy Malcolm? Coraz trudniej się dopytać...

MATKA BOŻA STRYJSKA

**Piastunka
Ludzkich
Nadziei**

9 września
przypada
rocznica obró-
nacji Obrazu
Matki Bożej
w kościele
parafialnym
w Stryju. Z tej
okazji wydano
okoliczności-
wy folderek
z obrazkami
i modlitwą.



PIEŚŃ DO MATKI BOSKIEJ STRYJSKIEJ

Chwalmy sercem, chwalmy słowem
Naszą Matkę i Królowę
Za Jej łaski, za jej dary
Cześć składamy wciąż bez miary

Opiekunką miasta Stryja
Przenajświętsza jest Maryja
Wiedzą o tym dawne wieki
Co doznały Jej opieki

Więc stawajmy przed Jej tronem
Z wiarą, pieśnią i pokłonem
A ta Matka i Królowa
W swej opiece nas zachowa

I my wiemy, że w uściskach
Stąd nadzieja zawsze błyska
Że swe dzieci dobra Matka
Bronić będzie do ostatka



Kościół w Stryju

i wypożyczenie królowi 50 grzywien. Po śmierci M. Ciesielskiego Jabłonów miał powrócić do króla po wypłaceniu 250 grzywien jego spadkobiercom. W 1. poł. XVI w. dożywotnim dzierżawcą Jabłonowa był Jakub Potocki, a po jego śmierci, w 1551 r. dzierżawa przeszła na jego syna Mikołaja Potockiego, dworzanią króla Zygmunta Augusta i rządzącą zamku w Kamieńcu. W 1553 r. M. Potocki otrzymał przywilej na lokację na terenie wsi Jabłonów miasta na prawie magdeburskim z prawem do dwóch jar-marków rocznie (na św. Stanisława i św. Leonarda), przy zwolnieniu mieszkańców na lat 15 od wszystkich podatków i cel, oprócz pogranicznego. Mimo tego Jabłonów pozostał wsią, a w małym oddaleniu od niej, w kier. pln. wsch., za stawem, założono miasteczko Suchostaw. Od tego czasu historia Jabłonowa była z nim związana przez wspólnych właścicieli. Do początków XVII w. Jabłonów był ulubioną rezydencją Andrzeja Potockiego, kasztelana kamienieckiego, syna Mikołaja, który wraz z trzema braćmi dziedziczył dobra po ojcu.

Zabytki. Kościół pw. św. Elżbiety, z pocz. XX wieku (?).

SUCHOSTAW

Miasteczko w pow. kopczyńskim, wojew. tarnopolskim, położone w pobliżu Jabłonowa, w kierunku pld. zach., w odległości 8 km od Kopczyńc. Parafia rzym.kat. w Kopczyńcach, grekokat. w miejscu. Przechodził tędy gościniec z Kopczyńc do Trembowli.

Historia. Miasteczko założone przez Mikołaja Potockiego, dzierżawcę wsi Jabłonów (zob.). Lu-stracja z 1664 r. podaje, że niedawno jeszcze było tu 90 mieszkańców – a teraz w wojnie kozackiej spustoszało i żadnego nie masz w nim mieszczarstwa. W 1775 r. kolejny lustratorzy zapisali, że miasteczko znajduje się w posesji Franciszka Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. Po I rozbiore Polski Suchostaw przejęty został jako królewszczyzna przez rząd austriacki, od którego ok. 1776 r. nabył majątek Marcin Lipski wraz z żoną Teresą z Markowskich. Następnie powrócił w posiadanie skarbu rządowego. W 1886 r. władze oddały Suchostaw wraz z Jabłonowem spadkobiercom Tadeusza Dzieduszyckiego, jako częściową rekompensatę za odebrane dobra kosowskie.

WASYLKOWCE

Wieś w pow. kopczyńskim, wojew. tarnopolskim, położona na wys. 304 m n.p.m., w odległości 11 km na pln. zach. od Husiatyna. Przez wieś przepływają trzy potoki: Dworzyska, Rudka i Słobódka, które następnie łączą się i uchodzą do Zbrucza. Był tu przystanek kolejowy. Parafia rzym.

W Krakowie i dalej

DWUDZIESTOLECIE POD WAWELEM

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zawiązał się formalnie w lutym 1989 roku. Pierwszym prezesem został prof. dr Jerzy Kowalczyk, kolejnym był Andrzej Chlipalski, obecnie stanowisko prezesa piastuje Adam Gyurkovich. Oddział realizuje kilka form działalności na rzecz pamięci o polskości oraz na rzecz pomocy Rodakom. Wydaje dwa pisma, jednym z nich jest „Ulica na Bajkach” (wcześniej „Biuletyn Informacyjny TMLiKPW Oddział Kraków”), redagowany przez J. Kowalczyka, drugim kwartalnik „Cracovia–Leopolis” pod redakcją Andrzeja Chlipalskiego. W ramach Biblioteczki CL wydano dotąd 8 książek. Spośród licznych działań Oddziału wybijają się opieka nad Cmentarzem Łyczakowskim we Lwowie. Wszystko to sprawia, że OK uważany jest za jeden z najbardziej aktywnych w kraju.

* * *

20-lecie Oddziału obchodzono w Krakowie 25 kwietnia '09, jednak w przeddzień właściwego spotkania jubileuszowego grono działaczy i członków Oddziału złożyło wieńce na krakowskim cmentarzu Rakowickim, pod pomnikami Ofiar Komunizmu i Ofiar Ludobójstwa Polskiej Ludności Kresów Płd. Wsch. oraz na grobach o. gen. Adama Studzińskiego i Wandy Mazanowskiej.

Właściwe spotkanie zaczęło się mszą św. w kościele oo. Bernardynów (pod samym Wawelem). Było to krótko po Wielkiej Nocy, Boży Grób nie był jeszcze rozebrany. Zgromadzonym wiernym patronowała w czasie nabożeństwa wspaniała „Golgota”, przywieziona po wojnie ze Lwowa. Ten obraz stał się na czas mszy niezwykłym łącznikiem z opuszczonym Miastem i Ziemią...

Koncelebrowaną mszę św. prowadził o. Jerzy Bakalarz, dominikanin, który przejął opiekę nad naszym środowiskiem po śmierci Ojca gen. Adama Studzińskiego. Piękne kazanie wygłosił ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, przedstawiając zarys duchowych dziejów naszej Ziemi.

Dalszy ciąg jubileuszowego spotkania potoczył się w klasztorным refektarzu Bernardynów. Na samym wejściu można było otrzymać pierwszy tegoroczny numer „Cracovia–Leopolis”, do którego dołączono kolorowy folder, zawierający historię Oddziału oraz fotografie zabytków Cmentarza Łyczakowskiego, odnowionych czy wręcz uratowanych dzięki naszym staraniom.

Po zagajeniu przez Prezesa OK i odczytaniu listów gratulacyjnych krótkie wspomnienie wygłosił pierwszy, a zarazem Honorowy Prezes Oddziału prof. J. Kowalczyk. Po nim wystąpił o. J. Bakalarz, prezes ZG TMLiKPW dr A. Kamiński, dyrektor I Gimnazjum w Krakowie mgr M. Graniczka.

Kolejnym punktem programu była „sesja naukowa” – seria referatów, których „kresowa” tematyka została ułożona chronologicznie. Rozpoczął temat z przeszłości: dr K. Grodziskiej (Kraków) o widokach Lwowa w posiadaniu biblioteki PAN i PAU w Krakowie. Kolejny referat to styk przeszłości z teraźniejszością, przygotowany przez p. kustosz H. Wiórkiewicz z Muzeum Niepodległości w Warszawie na temat „Kolekcji Leopolis”, powstałej i stale rozwijanej w tym muzeum. Trzeci, wygłoszony przez dr K. Gąsowską z Rady Krajowej „Wspólnoty Polskiej” (Kraków–Warszawa) dotyczył aktualnej sytuacji Polaków w państwie ukraińskim. Wreszcie czwarty to również teraźniejszość, jednak z perspektywą ku

Składanie wieńców na cmentarzu Rakowickim w przeddzień uroczystości jubileuszowej. Dalsze zdjęcia zamieścimy w następnym numerze



przyszłości: przybyła ze Lwowa red. T. Dutkiewicz opowiadała o twórczości literackiej Polaków za jałtańskim kordonem.

Spotkanie zakończono występami artystycznymi aktorów – W. Habeli, J. Wrońskiej i J. Bożyka oraz zespołu „Tyłgentne Batiary” (A. Żurawski i A. Jaworski) z Bytomia.

Na uroczystość jubileuszową, poza stu parędziesięcioma krakowskimi członkami i sympatykami naszego Towarzystwa, przyjechało sporo gości z innych miast, głównie ze Śląska, Częstochowy, Tarnowa.

Wszystkim Uczestnikom programu i Gościom serdecznie dziękujemy i zapraszamy na zbliżające się ćwierćwiecze!

Notatki

◆ W Centrum Współpracy Polska–Wschód odbyła się w kwietniu br. **dekoracja medalami „Polonia Mater Nostra Est”** – nadawanymi przez Społeczną Fundację Pamięci Narodu Polskiego – dziesięciu osób szczególnie zasłużonych dla Polski*. Wśród udekorowanych znaleźliśmy kilka osób nam znanych: pośmiertnie Wiktor Poliszczuk (wspomnienie o nim zamieszczamy w tym numerze); Alfred Janicki z TMLiKPW, Węgliniec, założyciel m.in. Muzeum Kresów w wagonach kolejowych; Witold Listowski z TMLiKPW, Kędzierzyn-Koźle, organizator konkursów i konferencji historycznych; Grażyna Orłowska, redaktorka TVP-3, Wrocław, promująca historię Kresów, inicjatorka akcji pomocowych; Danuta Skalska z TMLiKPW, Bytom, działaczka i twórczyni Kabaretu „Pacatycha”; Zbigniew Umański z TMLiKPW, Wrocław, redaktor w piśmie „Semper Fidelis”.

Ponadto medale otrzymało kilku działaczy z innych organizacji kresowych.

* Wymienione instytucje i nadawany przez nie medal są nam dotąd nieznane. Omawianą dekorację określono jako kolejną. Od kiedy i w jakim mieście? Informację zacerpnęliśmy z „Naszej Polski” 17/09.

Z kroniki żałobnej

◆ Dowiedzieliśmy się z wielkim żalem o śmierci we Wrocławiu w 2007 r. naszego Czytelnika i Autora **dra Zbigniewa Kubasa**. Był znakomitym lekarzem, który przez lata kierował szpitalem w Brzozowie (obecnie

kat. w 2. poł. XIX w. znajdowała się w Husiatynie, grekokat. w miejscu.

ŻUROW (pierwotnie Dzurów)

Miasteczko w pow. żydaczowskim, wojew. stanisławowskim, położone 18 km na płd. zach. od Rohatyna, nad rzeczką Świrz (dopływem Dniestru), na terenie zasobnym w złoża alabastru.

Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Pierwsza wzmianka historyczna o Dzurowie pochodzi z 1394 r. Jest to akt nadania wsi przez Władysława Jagiełłę protoplaście rodu Daniłowiczów. W 1462 r. w wyniku rodzinnych układów finansowych majątek przeszedł do Mikołaja Sieniawskiego, ale już w 1494 r. wykupiony został przez Dymitra Daniłowicza. W 1510 r. Michał Daniłowicz uzyskał u króla Zygmunta Starego dla Żurowa prawa miejskie magdeburskie wraz z przywilejem na cotygodniowe targi, rozszerzonym w 1539 r. o jarmark roczny w dniu św. Marcina. W rękach Daniłowiczów – od XVI w. piszących się z Żurowa – miasto pozostawało do XVIII w. W roku 1771 utraciło prawa miejskie. W XVIII w. drogą dziedziczenia przeszedł Żurów do Potockich, a następnie do Michała i Anny Popielów. W połowie XIX w. należał do Wiktoryna Bocheńskiego, a na początku XX w. był własnością Stefana Tustanowskiego oraz Banku Parcelacyjnego we Lwowie. Ostatnim dziedzicem Żurowa był Tadeusz Dębiński.

Zabytki. Kościół parafialny istniał już w 2. połowie XVI w. Po jego zniszczeniu przez pożar Mikołaj Daniłowicz ufundował na początku XVII w. nowy kościół murowany pw. św. Stanisława bpa i uposażył parafię. W 1668 r. fundację na rzecz parafii powiększył wnuk Mikołaja. Dokładali się do niej następnie kolejni członkowie rodu. Kościół, ukończony zapewne w 1621 r., istniał do XX w. Przed samą II wojną światową został poddany gruntownemu remontowi. W 1944 r. zamknięto go i zamieniono na magazyn, a w 1958 r. rozebrano. Zachował się tylko niewielki fragment murów.

Część wyposażenia kościoła, w tym otoczony kultem obraz MB z Dzieciątkiem z ołtarza głównego, pochodzący zapewne z XVI/XVII w., przeniesiona została do miejscowej cerkwi gr.kat. pod wezw. św. Dymitra. Do kościoła parafialnego w Firlejowie trafił obraz patrona kościoła. św. Stanisława bpa, wskrzeszającego Piotrowina. Zachowana tablica fundacyjna kościoła przechowywana jest w szkole. Nie zachował się natomiast alabastrawy nagrobek kobiety, prawdopodobnie Heleny z Uchańskich, żony Michała Daniłowicza (XVI/XVII w.), który znajdował się w prezbiterium.

Teksty opracowała dr Maria Taszycka

wojew. podkarpackie), rozbudował go i nastawiał na lecznictwo onkologiczne. Szerzej pisaliśmy o Nim w CL 2/05, a w CL 4/07 opowiadał nam o wsi Wołowe k. Bóbrki, o całej okolicy i tamtejszych ludziach.

Zbigniew Kubas urodził się w 1929 r. w podlwowskiej Bóbrce, pod koniec życia osiadł we Wrocławiu i tam zmarł. Cześć Jego pamięci.

◆ W marcu zmarła córka **Kazimierza Sichulskiego, Kamilla Sichulska-Schmidt**, wdowa po ułanie jazłowieckim, Włodzimierzu Schmidcie. Pogrzeb odbył się we Wrocławiu. Miała lat 88. O malarzu Sichulskim i jego rodzinie pisaliśmy w poprzednim i niniejszym numerze CL.

◆ W Krakowie zmarł **znakomity fotografik Zbigniew Łagocki**, urodzony w 1927 r. we Lwowie. Z zawodu architekt, absolwent Politechniki Krakowskiej, wykładowca w krakowskiej ASP, popularyzator polskiej fotografii na świecie.

Archiwum

Po dr. Tadeuszu Krzyżewskim zostało zdjęcie z 40-lecia matury w I Gimnazjum we Lwowie (1930), obchodzonego w Sopocie w r. 1970. Na zdjęciu znajduje się 7 panów, ale na odwrocie wypisano 10 nazwisk: Hamerski, Karski (Karoski?), Klimek, Kienzler, Krzyżewski, Kurz, Kuhnel, Olańczuk, Papużyński, Ruczkal. Rozpoznaliśmy tylko T. Krzyżewskiego (u góry, po prawej) – czy ktoś wyjaśni kim są pozostali?



POLACY Z POLAKAMI

W ŻÓŁKWI

Siostry Dominikanki działające w Żółkwi, którym Oddział Krakowski TMLiKPW przesyła corocznie pomoc materialną na organizację wakacji dla tamtejszych dzieci, którymi Siostry się opiekują i uczą po polsku – nadesłały nam szeroko opracowane i bogato zilustrowane zdjęciami sprawozdanie z wakacji w 2008 roku.

Siostry uczą dzieci w wieku 8–15 lat. Nauka odbywa się w ramach Sobotniej Szkoły Języka Polskiego (nie podano, ile dzieci bierze udział w lekcjach). Oprócz dzieci z rodzin polskich i mieszanych szkołą interesują się też rodziny ukraińskie.

W czasie wakacji urządza się dwie formy wypoczynku: obóz językowy na Krymie, dla grupy dwudziestu kilku dzieci z Żółkwi i Skwarzawy oraz półkolonie dla ponad setki dzieci w wieku 5–16 lat z samej Żółkwi i kilku okolicznych wsi.

Po zapoznaniu się z wykonanym programem zajęć wakacyjnych zasługuje on w swej zasadzie na najwyższą pochwałę. Mamy jednak jedno istotne zastrzeżenie: uważamy, że obóz wakacyjny powinien mieć miejsce nie na Krymie, nie na ziemi obcej (choć zapewne atrakcyjnej), lecz ojczyściej, która również może dostarczyć wielu atrakcji: Karpaty Wschodnie – rozległe góry i niezanieczyszczone potoki, obozy wędrownicze do pięknych zabytków, lasy, uzdrowiska z wodami mineralnymi. Innym argumentem byłoby pomniejszenie przepaści między wyjazdem na obóz a półkolonią.

Jest rzeczą oczywistą, że najbardziej opowiadalibyśmy się za przyjazdami na tę stronę granicy, wyjaśniono nam jednak, że formalności paszportowe są uciążliwe i kosztowne, z różnych zresztą powodów (np. liczne rozbite rodziny, co uniemożliwia zebranie podpisów obojga rodziców). A jednak próbować trzeba – przecież wiele grup młodzieżowych, mimo takich czy innych problemów, tutaj przyjeżdża.

UJK tylko we Lwowie

Krakowski „Dziennik Polski” z 16 III zwraca uwagę na kuriozum, wyniki (całkiem obocznie) z przemianowania Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach na Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Kochanowskiego. Autor artykułu pt. *Wzrost poziomu nauczania czy triumf nieuctwa W. Wilczyński* pisze:

Świadczy o tym częstotliwość używania nowego skrótu – UJK – przez pracowników i władze uczelni w informatorach, adresach internetowych, a zwłaszcza w mediach. A przeciw skrót UJK oznacza całkiem inną uczelnię. Kielecki „UJK” nie jest w żadnej mierze spadkobiercą tradycji lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Gdyby np. w Jarosławiu powstał uniwersytet, tamtejsza społeczność, z racji elementarnej przyzwoitości, nie ośmieliłaby się skracać jego nazwy do „UJ”, bo to skrót już zajęty, znak firmowy innej instytucji

Nie mamy nic przeciwko uczelni kieleckiej, tym bardziej że wychodzi stamtąd sporo prac o Lwowie. Jednak zlekceważenie – chyba na skutek niewiedzy – skrótu jednego z najczciodszych uniwersytetów polskich – jest nieeleganckie. Prawdziwy UJK nie może się bronić, tak jak UJ, możemy więc jedynie stawiać na zrozumienie u ludzi, od których mogłaby zależeć zmiana zaistniałej kolizji.

Możemy też przytoczyć analogię, w której zwyciężyła godność historyczna i kultura. Oto przed laty, gdy tworzone nowe województwa (likwidując reformę gierkowską), powstał problem, jak nazwać województwo w obrębie historycznej Małopolski, ze stolicą w Rzeszowie (za komuny nazywało się *rzeszowskie*). Część *ludzi nowych* nie miała problemu – oczywiście Małopolska Wschodnia. Szczęśliwie znaleźli się ludzie na poziomie*, którzy przekonali, że pojęcie *Małopolski Wschodniej* ma swoje miejsce w naszej historii i tradycji i niszczyć tego nie wolno. Wtedy powstała nazwa *województwa podkarpackiego*.

Uważamy, że TMLiKPW, moralnie odpowiedzialne za pamięć o Lwowie, o jego historii, kulturze, nauce, ludziach i instytucjach, powinno zwrócić się do rektora uczelni kieleckiej i zaproponować zmianę: Uniwersytet im. Jana z Czarnolasu – UJC. Kulturalni Polacy powinni to zrozumieć.

KULTURA NAUKA

RATUJEMY SPUŚCIZNĘ ORMIAN POLSKICH

Dobrą wiadomością ostatnich miesięcy jest wszczęcie konserwacji malowideł J.H. Rosena w katedrze ormiańskiej we Lwowie. Przedsięwzięcie to opisał J. Smirnow w „Kurierze Galicyjskim” 7/09.

Piękne polichromie wykonane w latach międzywojennych są obecnie w bardzo złym stanie technicznym, niektóre wręcz krytycznym. Sprawił to wpływ wielu dziesiątków lat bez jakiegokolwiek dbałości, a przede wszystkim niewłaściwe użytkowanie świątyni – w nawie urządzili sowioci magazyn.

Obecnie do prac konserwatorskich przystąpiła grupa polskich fachowców pod kierunkiem Pawła Baranowskiego z muzeum wilanowskiego, działająca dzięki funduszom udzielonym przez polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ekipe polską wspomaga kilkoro konserwatorów miejscowych. Na początek poszło malowidło *Ścięcie głowy św. Jana Chrzciciela*, pozostające dotąd w stanie katastrofalnym. W roku 2008 komisja odebrała ten pierwszy etap – na jej czele stał dyr. Jerzy Petrus z Wawelu, dr Janusz Smaza z warszawskiej Akademii Sztuki i parę innych osób. O ratowanie katedry ormiańskiej zabiega jej proboszcz, o. Tadeusz Geworgian z Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego (niestety we Lwowie nie ma już Ormian-katolików), a także – w imieniu Fundacji Ormiańskiej KZKO z Warszawy – p. Maciej Bohosiewicz.

Przy okazji dowiadujemy się, że Fundacja Ormiańska zorganizowała w ub. roku prace ratunkowe na cmentarzu w Kutach, którego sporą część zajmują grobowce, nagrobki i pomniki Ormian polskich. Prace wykonywało 40 wolontariuszy z Polski i paru innych krajów, nawet z Ameryki, pod kierunkiem konserwatorów z Warszawy. W planie są podobne prace w Horodence.

W tym wszystkim cieszy bardzo, że są w naszym kraju ludzie, którzy doceniają

potrzebę ratowania spuścizny naszej historii i kultury. Na szczęście nie tak, jak to proponował p. Nowak-Jeziorański – o tym pisaliśmy w poprzednim numerze CL.

CHRYSTUS NAZAREŃSKI OD LWOWSKICH SS. BENEDYKTYNEK

W renesansowym kościele ss. Benedyktynek Łacińskich, położonym w północnej części Starego Miasta we Lwowie, znajdowała się figura Chrystusa Nazareńskiego z XVII wieku. Opuszczając Lwów po II wojnie, Siostry rzeźbę wywoziły i znalazła się ona w końcu w Opactwie Benedyktynek w Krzeszowie na Dolnym Śląsku. Załączona

ilustracja przedstawia ową figurę na tle lwowskiego kościoła i klasztoru Benedyktynek.

Obrazek ten (i inne, które również pokażemy w CL) nadesłała nam z Warszawy pani prof. Anna Komornicka, która w br. wraz z najbliższą rodziną odwiedziła Krzeszów. Tam bowiem na

klasztornym cmentarzu spoczywa Jej siostra Teresa Wolańska – jako S. Gertruda, benedyktyнка.

NA CMENTARZU ŁYCZAKOWSKIM

Z „Dziennika Galicyjskiego” dowiedzieliśmy się, jakie zabytki cmentarne zostały wybrane do tegorocznych robót konserwatorskich. Jest ich sześć (w ub. roku cztery): nagrobki A. Grotgera, abpa ormiańskiego I. Isakowicza, historyka K. Szajnochy, M. Ciemirskiego, poety ukraińskiego M. Szaszkiwicza oraz grobowiec rodziny Wenzlów (jeden z najstarszych na Łyczakowie, z pocz. XIX w.). Renowacji zostanie poddany również pomnik Jana Kilińskiego w Parku Stryj-

skim (jak długo utrzyma się kolejna szabla?). Robotami kieruje, jak dotąd, prof. Janusz Smaza z ASP w Warszawie. Finansuje polskie Ministerstwo Kultury i DN.

Trzeba pamiętać, że wymienione groby to szczególne obiekty o wartości historycznej, artystycznej, czasami (z konieczności) – politycznej. Ale poza tymi i jakąś liczbą podobnych, które zostaną fachowo odnowione w przyszłych latach (da Bóg!), pozostają tysiące innych, czasem o nie mniejszej wartości, nie tylko na Łyczakowie i nie tylko we Lwowie, które jednak razem tworzą historię miasta i jego społeczeństwa. Te także muszą być ratowane, choć Państwo Polskie nie może udzielić na to wszystko środków. Do tego potrzebna jest dalsza akcja społeczna z naszej strony. Dla przykładu pokazaliśmy kilka owoców takich właśnie działań w folderze jubileuszowym dołączonym do CL 1/09, a ponadto „Apel do wszystkich Strońskich” w CL 2/09.

Kronika

◆ W tekście *Słowa od Redakcji* w CL 2/09 informowaliśmy o przyjęciu przez władze Krakowa programu pn. *Poznanie dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej przez krakowskich gimnazjalistów*. W programie założono zwiedzanie najważniejszych obiektów na Ziemiach Wschodnich (Małopolska Wschodnia, Wołyń, Polesie, Grodzieńszczyzna, Wileńszczyzna) oraz w państwach północnych: Litwie, Łotwie i Estonii.

Na terenie Małopolski Wschodniej przewidziano największą liczbę miejscowości: Buczacz, Brzeżany, Drohobycz, Jaremcze, Jazłowiec, Kołomyja, Krzemieniec, Kuty, Lwów, Okopy św. Trójcy, Olesko, Podhorce, Rudki, Sambor, Skała Podolska, Stanisławów, Stryj, Tarnopol, Trembowla, Truskawiec, Wiśniowiec, Włodzimierz Woł., Worochta, Zadwórze, Zaleszczyki, Zbaraż, Żabie, Żółkiew, a także – spoza Małopolski Wsch.– Chocim, Kamieniec Podolski i Żwaniec.

Bardzo się z tego cieszymy.

Życzliwy artykuł na powyższy temat zamieścił krakowski „Dziennik Polski” z 15 V '09 pt. *Kresowym szlakiem*, pióra red. J. Świdra, cytując bardzo popierające wypowiedzi nauczycieli.



Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Wydawnictwo WAM (Kraków 2009) w cyklu *Wielcy Ludzie Kościoła* wydało książkę biograficzną autorstwa **Małgorzaty i Stanisława Dziedziców** pt. **Ojciec Serafin Kaszuba**. Niedawno minęła 30 rocznica śmierci tego Sługi Bożego, urodzonego w 1910 r. na obrzeżach Lwowa, który po niezmiernie ciężkim i pracowitym życiu spoczął także we Lwowie, na cmentarzu Janowskim.

Alojzy Kaszuba – później ojciec Serafin – wychował się w bogobojnej rodzinie lwowskich robotników. Od dzieciństwa odwiedzał najbliższy kościół i klasztor oo. Kapucynów, co wpłynęło na jego wybór zyciowy. Wkrótce po maturze w 1928 r. w Gimnazjum im. Żółkiewskiego we Lwowie rozpoczął nowicjat w klasztorze oo. Kapucynów w Sędziszowie Małopolskim. Kolejno przechodził różne szczeble nauki seminarnej, teologicznej i polonistycznej. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1933 r., a stopień magistra historii literatury polskiej na UJ w 1939 r. Wybuch II wojny światowej i okupacja sowiecka zastały go we Lwowie.

Wiosną 1940 r. wezwany został do pracy na Wołyniu, gdzie bardzo brakowało księży. Na terenie, na którym przebywał prawie 2 lata, zetknął się z ludobójstwem na Polakach prowadzonym przez bandy UPA. Niejednokrotnie był śmiertelnie zagrożony i cudem uchodził śmierci.

W latach 1944–45 odbywał liczne „podróże apostołskie” po Wołyniu, do Wilna i Lwowa, a nawet Leningradu. W 1945 r., gdy z rodziną miał opuścić Lwów, podjął niespodziewanie decyzję pozostania – wysiadł z pociągu (zostawiając rzeczy) i rozpoczął posługę kapłańską na *nieludzkiej ziemi*.

Tułaczka Ojca Serafina po bezkresnych rejonach im-

perium sowieckiego, w stałym zagrożeniu życia i wolności, w ustawicznym poniżeniu, niedostatku, o głodzie i chłodzie, była stałym daniem świadectwa miłości Boga i ludzi. (DTS)

📖 Minęło trochę czasu nim dotarła do nas książka **Barbary Gierszewskiej** pt. **Kino i film we Lwowie do 1939 roku** (Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej, Kielce 2006). Na samym wstępie trzeba podkreślić dwa pozytywne: 1^o – takich naukowych książek nam potrzeba jak najwięcej, 2^o – chwala środowisku naukowemu Kielc, które już po raz któryś zwraca się w swych badaniach ku kulturze, sztuce i nauce polskiego Lwowa.

Rzetelna praca habilitacyjna B. Gierszewskiej zawiera na ponad 350 stronach m.in. opis życia kulturalnego Lwowa przed wybuchem II wojny, dzieje powstania pierwszych lwowskich kin, charakterystyki ich właścicieli i repertuaru. Wędrujemy z autorką po lwowskich kawiarniach, gdzie odbywały się na początku XX wieku seanse *niemych obrazów elektrycznych*. W jednej z takich kawiarni – „Amerykańskiej” przy ul. 3 Maja 11 powstało później kino „Elite”.

Stare kino Lwów posiadał od 1906 roku. Jedne wybierały repertuar rozrywkowy, inne edukacyjny, w kinach funkcjonowały bufety. W 1911 r. powstało kino „Apollo” przy ul. Chorażczyzny 7 dla wymagającej publiczności. Wyróżniało się gustownymi plakatami i wyższymi cenami biletów. Od 1912 r. do dzisiaj istnieje kino „Kopernik”, podobnie jak „Corso” przy pl. Akademickim, dziś już pod całkiem inną nazwą.

Rodzina Kucharów prowadziła m.in. kino „Kuchar”, „Lux” i „Lew”, natomiast w Krakowie kino „Wanda”. W kinie „Lew”, mieszczącym się w Teatrze Skarbka, prowadził wykłady znany filozof prof. K. Twardowski. Była tam sala mogąca pomieścić 1000 słuchaczy.

Historię kina i filmu we Lwowie autorka rozpoczyna (rozdział I) od kontekstu społeczno-kulturalnego. Z rozdziału II (do zakończenia I wojny światowej) dowiadujemy się m.in. o początkach wytwórczości filmowej



we Lwowie, o czasopiśmie filmowych. Rozdział III to szerokie omówienie kina i filmu w II RP (1918–1939), są wiadomości o filmie niemy i dźwiękowym, o repertuarze kin, o piśmiennictwie filmowym.

Ciekawym aneksem jest spis stałych kin we Lwowie do 1939 roku. Niektóre były efemerydami, powstawały – trwały dłużej lub krócej – zniknęły, zmieniały właścicieli. W 1939 r. było tych kin we Lwowie – większych i mniejszych – 28.

Trzeba dodać na koniec, że B. Gierszewska zajmuje się kinem lwowskim od szeregu lat. Jej artykuły na ten temat ukazywały się w wielu czasopiśmie.

Książka zawiera ponad 60 dokumentalnych fotografii. (TK)

📖 Wśród licznych „skarbów”, które pozostały po dr. Tadeuszu Krzyżewskim (a które kolejno przekazujemy do „Kolekcji Leopoldis” w Muzeum Niepodległości w Warszawie), znalazły się wspomnienia wojenne **Jerzego Lerskiego** pt. **Emisariusz Jur**. Książka została wydana w Londynie w 1984 r. (przez Polish Cultural Foundation) i zapewne stamtąd przywieziona, bo nabycie jej w kraju było wtedy niemożliwe*.

Kim był Jerzy Lerski? Urodził się w 1917 r. we Lwowie w rodzinie inteligenckiej**. Ukończył AHZ i prawo na UJK. Najważniejszym okresem jego życia i zasług była działalność w czasie II wojny światowej. Zmobilizowany, po kampanii wrześniowej powrócił do Lwowa i włączył się do walki podziemnej, jednak w grudniu '39 zagrożony, przeszedł przez Gorgany na Węgry. Stamtąd, po krótkim pobycie we Francji, gdzie zgromadziło się ok. 2,5 tysiąca młodych Polaków, przedostał się do Szkocji. Niebawem w Londynie zetknął się z pierwszym emisariuszem rządu londyńskiego Janem Karskim***. Na następnego – po rozpoznaniu jego kwalifikacji – wyznaczono Lerskiego, który przybrał pseudonim *Jur*. Po odpowiednim przeszkoleniu i wprowadzeniu w tajniki i zawołoci

kontaktów rząd londyński – AK w Kraju, Jur został przetrzycony drogą lotniczą do Polski (skok z samolotu w rejonie Opoczna).

Trudno opisywać wszystkie niezwykle wydarzenia, jakie towarzyszyły misji Lerskiego w okupowanej Polsce, w kontakcie z Londynem. Jest to opowieść ważna historycznie i pasjonująca w czytaniu.

Powrót nastąpił w styczniu 1944 r. Lerski wyjechał na fałszywych papierach pociągiem z Warszawy do Berlina, a dalej przez okupowaną Francję (Paryż, Tuluza). Wraz z 40-osobową grupą Polaków – głównie uciekinierów ze stalagów – dotarli pod Pireneje i z pomocą francuskich przewodników przeszli przez góry do Hiszpanii. Tam na nich czekali – samochodem brytyjskim przedostali się – unikając frankistowskiej policji – do Gibraltaru. Stąd powrót samolotem do Londynu.

W drugiej części książki opisuje Lerski swoją działalność przy rządzie emigracyjnym – to niemniej ciekawe wątki.

Po wojnie Jan „Jur” Lerski osiadł w San Francisco, został profesorem tamtejszego uniwersytetu, a w międzyczasie wykładał historię i nauki polityczne w Pakistanie, Japonii i na Cejlonie. Zmarł w 1992 r. w San Francisco.

* * *

Książka Jana Lerskiego powinna być – ze względu na swą wartość historyczną i pasjonującą fabułę – powtórnie opublikowana, tym razem w kraju. Jeśli wyszła na emigracji – w Polsce jest praktycznie nieznaną. Namawiamy któreś z poważnych wydawnictw do zajęcia się tym tematem.

* Dr T. Krzyżewski był w stałym kontakcie ze środowiskiem polskim w Londynie, pisywał do Biuletynu Koła Lwowian. Tą drogą zapewne książka ta dotarła do Polski. Ciekawostką jest, że dr Krzyżewski opatrywał wszystkie swoje książki dziesiątkami uwag, poprawek, uzupełnień i dodatkowych informacji. Tak jest też w tym wypadku.

** Syn Mieczysława i Zofii z Gordziejewiczów; jego ojczymem był dr Adam Sołtysik, chirurg, ze znanej lwowskiej rodziny. Sam Jan nosił w jakimś okresie podwójne nazwisko – Sołtysik-Lerski.

*** W czasie II wojny było kolejno czterech emisariuszy, którzy byli wysyłani w szczególnych misjach z Londynu do kraju: Jan Karski (wł. Kozielewski), Jur (Jan Lerski), Jan Nowak (Jeziorański) i Marek Celt (Tadeusz Chciuk).



📖 Wywiad-rzeka z wybitną kompozytorką, przeprowadzony przez **M. Woźną-Stankiewicz**, ukazał się przed dwoma laty (ale rozmowa odbyła się 2–3 lata wcześniej). Książka jednak przeleżała się u nas, czekając na swoją kolej, a jej bohaterka niestety zmarła w ubiegłym roku (patrz CL 4/08). Tytuł brzmi: **Lwowskie geny osobowości twórczej. Rozmowa z Krystyną Moszumańską-Nazar** (wyd. Musica Iagellonica, Kraków 2007).

Krystyna Moszumańska urodziła się we Lwowie w 1924 r. Tamże ukończyła gimnazjum, a równocześnie uczyła się muzyki u Anny Niementowskiej, potem w lwowskim Konserwatorium. Zarazem śpiewała w chórze Adama Sołtysa. Maturę zdała za drugiej okupacji sowieckiej. Rodzina wyjechała ze Lwowa w 1945 r. prosto do Krakowa.

Wszystkie te sprawy opisuje rozdział I, po nim następują trzy kolejne, które omawiają studia i wczesny okres pracy pedagogicznej (II), profesurę i rektorstwo w krakowskiej Akademii Muzycznej (III), a ostatni (IV) – pracę kompozytorską, charakter

tej muzyki oraz liczne sukcesy krajowe i zagraniczne. Trzeba powiedzieć szczerze, że książka-wywiad, obiektywnie ciekawa, z wieloma ogólnymi dygresjami, dotyczy głównie strony muzycznej życia i działalności Krystyny Moszumańskiej. Jako taka trafi przede wszystkim do czytelnika znającego się i odbierającego muzykę świadomie, oczywiście nie tylko profesjonalisty.

Czytelnik nieprofesjonalista może się tam wiele nauczyć.

* * *

Tak się złożyło, że studiując książkę-wywiad Pani Krystyny, natknęliśmy się na passus, nie dotyczący może jednego z najważniejszych wątków w Jej życiu i twórczości, ale wobec którego nie możemy – my, zaangażowani w problematykę lwowską – przejść całkiem obojętnie. Problem omawiamy w ramce obok.

Oto słowa prof. Krystyny Moszumańskiej Nazar, zawarte w wywiadzie-rzeczce *Lwowskie geny osobowości twórczej...*, s. 168–169:

... już pisząc pierwszy „Fresk” w roku 1988 wiedziałam, że stworzę ich cykl.

A Fresk III „Lwowski”? (pytanie rozmówczyni)

„Lwowski” fresk nie tylko dlatego, że został skomponowany w 1993 roku w związku z ogłoszeniem w październiku tego roku – rokiem Lwowa. Poza tym także nie tylko w związku z inicjatywą Stanisława Gałońskiego, aby utwory temu miastu poświęcone zamówić u kompozytorów. W samej materii mojej kompozycji znajdują się bowiem nawiązania do muzycznej i niejako codziennej tradycji mojego rodzinnego miasta. Wprowadziłam do Fresku III cytaty z hymnu maryjnego „Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa”, z pieśni „Legiony” oraz z piosenki batiarskiej, czyli piosenki lwowskiej uliczników, którą w okresie II wojny śpiewała jednak cała młodzież...

A teraz nasze wyjaśnienie.

Towarzystwo nasze – krakowski oddział TMLiKPW – postanowiło uczcić w 1994 r. stulecie słynnej Wystawy Krajowej we Lwowie z 1894 roku (zorganizowanej w stulecie Bitwy pod Raławicami – patrz CL 2/95), ważnej dla umocnienia patriotycznego ducha w Galicji, ale i w całej podzielonej zaborami Polsce. Po owej wystawie – jak pamiętamy – pozostał Plac Powystawowy nad Parkiem Stryjskim, gdzie w latach międzywojennych odbywały się Targi Wschodnie.

W naszym programie obchodu jubileuszowego znalazła się cała seria wystaw, zaś imprezą wieńczącą całość stał się koncert zatytułowany *Homagium Leopoli* (W hołdzie Lwowowi), który wykonano 24 listopada 1994 r. w sali Filharmonii Krakowskiej pod batutą Stanisława Gałońskiego. Na program złożyły się utwory siedmiu znanych żyjących kompozytorów polskich, pochodzących z Małopolski Wschodniej, zadedykowane Lwowowi.

Dopiero dwa lata później (15 IX 1996) koncert *Homagium Leopoli* odegrano w Katedrze Lwowskiej (dyrygował Józef Radwan), a dzień wcześniej w Przemyślu.

Jak doszło do zorganizowania jubileuszowego koncertu? ▶



Pomocą będą nam dwa zapisy. Pierwszy, obszerniejszy, w „Cracovia–Leopolis” nr 4 z 1996 roku. Znalazło się tam omówienie wykonania *Homagium Leopoli* z 1994 r. pióra Jerzego M. Bożyka. Po jego tekście zamieszczono następujący komentarz (pióra Karola Odryckiego):

Nie od rzeczy wydaje się zanotowanie „dla historii” okoliczności powstania koncertu „Homagium Leopoli”.

Pomysłodawcą był Andrzej Chlipalski (od niego pochodzi też tytuł koncertu), a swego poparcia z całym entuzjazmem udzieliła pani prof. Krystyna Moszumańska-Nazar. Ustalono listę kompozytorów oraz zwrócono się do pani dyrektor Filharmonii Krakowskiej Joanny Wnuk-Nazarowej, która przyrzekła udostępnić nieodpłatnie salę Filharmonii, zaś jako wykonawcę koncertu zaproponowała Capellę Cracoviensis z jej dyrektorem, p. Stanisławem Gałońskim. Dyr. Gałowski do idei odniósł się z równym entuzjazmem (sam pochodzi z Małopolski Wschodniej). W lecie 1993 wspólnie wystosowano listy do siedmiu kompozytorów: Towarzystwo Miłośników Lwowa przedstawiło prośbę o skomponowanie utworu dedykowanego Lwowowi, zaś Capella Cracoviensis określiła warunki odtwórcze.

Po kilku miesiącach otrzymano pięć utworów specjalnie skomponowanych, od Andrzeja Kurylewicza, Stanisława Machla, Krystyny Moszumańskiej-Nazar, Andrzeja Nikodemowicza i Bogusława Schaeffera. Wojciech Kilar i Stanisław Skrowaczewski wskazali jedynie swoje wcześniejsze utwory. Wszyscy kompozytorzy potraktowali wykonanie swoich utworów honorowo.

Drugi zapis odnaleźliśmy w wydawnictwie jubileuszowym na 30-lecie Capellae Cracoviensis ze stycznia 2000 r. W Kalendarium pod datą 24 XI [2000] czytamy:

Homagium Leopoli – koncert utworów kompozytorów polskich wywodzących się ze Lwowa: [wymieniono wszystkie 7 nazwisk]. Większość wykonywanych utworów została napisana w inicjatywy prezesa Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Andrzeja Chlipalskiego specjalnie na tę okazję. [...]

Dla pełnej ścisłości dodajmy (na podstawie notatek niżej podpisanego), że pierwotnie zamierzano w ramach „Roku Lwowskiego” zorganizować festiwal muzyki lwowskiej.

W związku z tym troje członków zarządu oddziału TMLiKPW w Krakowie udało się na rozmowę 25 II 1993 do prof. Krystyny Moszumańskiej-Nazar, która jednak zwróciła uwagę na ogromne koszty z tym związane.

Pomysł koncertu żyjących kompozytorów lwowskich przedstawiłem Pani Profesor 31 maja '93, wtedy też ustaliliśmy ich listę. Moja pierwsza rozmowa z p. dyr. J. Wnuk-Nazarową odbyła się 8 I '93, kolejna zaś, z udziałem dyr. Berwalda – 31 VIII '93. Rozważaliśmy warianty tytułu koncertu, ostatecznie przyjęto moją propozycję. Rozpoczęła się korespondencja lub spotkania z kompozytorami. Po raz pierwszy byłem na rozmowie u p. dyr. S. Gałowskiego 20 IX '93. Wtedy uzgodniliśmy termin koncertu – październik 1994 (jednak odbył się miesiąc później).

Między latami 1994–96, kiedy odbyły się koncerty, a okresem przeprowadzenia wywiadu, minęła co najmniej dekada. Prof. Nazarowa prowadziła niezwykle intensywne życie, komponowała, uczyła, jeździła po świecie, spotykała mnóstwo ludzi. Dlatego też nie może dziwić, że do jej relacji wkrały się takie czy inne nieścisłości, jednak naszą sprawą jest – to, co wiemy z pamięci, dokumentów i zapisków – dla historii utrwalić.

Najważniejszym błędem jest więc mylna informacja co do pierwszego wykonania *Homagium Leopoli*, a miało to miejsce w listopadzie 1994 r. (a nie w 1993 r.) w ramach „Roku Lwowskiego” w Krakowie. We Lwowie dwa lata później (1996) odbyła się powtórka.

Inną nieścisłością jest pominięcie rzeczywistych pomysłodawców, do których przecież również zalicza się Pani Profesor. Bynajmniej nie umniejsza to ogromnej zasługi Pana Dyrektora S. Gałowskiego, bez którego twórczego wkładu koncert w ogóle nie mógłby się odbyć.

Andrzej Chlipalski

Warto dodać, że owe nieprawdziwe informacje już poszły w świat. Oto w związku z niedawnym odejściem prof. K. Moszumańskiej-Nazar krakowski publicysta P.M. Stański wypisał pośmiertne wspomnienia, zaczerpnięte zapewne z wyżej omawianej książki-wywiadu, nie sprawdzając oczywiście niczego. Teksty te posłał do „Gazety Wyborczej” (!) z 30 III '09 oraz do „Semper Fidelis” nr 1/2009.

📖 Jesteśmy w posiadaniu odbitki kserograficznej rzadkiej już chyba książki wydanej przed ponad 80 laty pt. **Lwów dawny i dzisiejszy** – praca zbiorowa pod redakcją **Bohdana Janusza** (Wydawnictwo „MAR”, Lwów, 1928). Książka jest niezwykle ciekawa przez różnorodność tematyki, ogarniającej wiele dziedzin życia naszego miasta, a przy tym – w swej warstwie informacyjnej – aktualna nie tylko historycznie. Jest też tematyka organizacyjno-ekonomiczna – tu można sobie wyobrazić szanse i drogi rozwoju, zamknięte przez katastrofę II wojny. Pozwalamy sobie przekazać tytuły rozdziałów wraz z nazwiskami ich autorów:

I. W OPIECE MUZ

A. Czołowski, *Z przeszłości dziejowej Lwowa*
B. Janusz, *Zabytki architektury Lwowa*
K. Tyszkowski, *W stulecie Ossolineum*
B. Janusz, *Wartość naukowa lwowskich zbiorów publicznych*
Z. Stankiewicz, *Ogrody i plantacje miejskie*
J. Chołodecki, *Cmentarze dawne i obecne*
M. Lityński, *Oblicze dzisiejszego Lwowa*
W. Terlecki, *Kultura artystyczna*
W. Jampolski, *Kultura teatralna*
L. Jaworski, *Kultura muzyczna*
R. Wacek, *Lwów kolebką sportu polskiego*

II. SPOD ZNAKU MERKUREGO

Z. Stankiewicz, *Z działalności Zarządu miasta*
M. Lenartowski, *Targi Wschodnie a przeszłość Lwowa*
K. Trawiński, *Izba przemysłowo-handlowa*
Z. Opiłowa, *Kasy oszczędności i banki*
Z. Opiłowa, *Izba rękodzielnicza*
Z. Starzak, *Fabryki i przedsiębiorstwa*
Z. Stankiewicz, *Przemysł drzewny i budowlany*
J. Bohusz, *Lwowskie zakłady graficzne*
K. Tyszkiewicz, *Kasy chorych*

📖 W wydawnictwie LTW mają się ukazać reprints książek z przedwojennej serii „Cuda Polski”, a przede wszystkim **Huculszczyzna** F.A. Ossendowskiego, **Lwów** S. Wasylewskiego i **Wilno** A. Remera. Niedawno wydano **Między Niemnem a Dźwiną** T. Łopalewskiego. Przypomnijmy, że serię 14 tytułów wydał w latach 1930. R. Wegner w Poznaniu (wydawca lwowski, który przeniósł się do Poznania, gdzie – w przeciwieństwie do Lwowa – brak było po I wojnie polskich wydawnictw).

Właściciele wydawnictwa LTW są zdania, że największe zainteresowanie rynku dotyczy pozycji, które dotyczą Kresów. Autor notatki w „Rzeczypospolitej” (z 4–5 IV '09) T. Stańczyk zaznacza, że są to książki, które pokazują, *czym były Kresy Wschodnie dla polskich dziejów i kultury*.

Powyższa informacja doskonale wpisuje się w treść *Słowa od redakcji* z poprzedniego numeru CL, gdzie wykazaliśmy niesłabnące zainteresowanie społeczeństwa polskiego Kresami – wbrew państwowej polityce „wygaszania pamięci”.

📖 W znanym nam wydawnictwie „Wołanie z Wołynia” ukazała się w 2008 r. następną pozycją – tom 60: **Marka A. Koprowskiego Między Bugiem a Styrem**. Jest to kontynuacja poprzedniej książki tegoż autora *Wołynia dzień dzisiejszy*, omówiona w CL 1/05.

Poszczególne rozdziały – a jest ich 18 – poświęcone są kolejnym wołyńskim miejscowościom będącym głównymi ośrodkami Kościoła katolickiego w obwodzie łuckim. Mówią o historii dawnej, nowszej i najnowszej takich miejscowości jak Poryck, Klewań, Ołyka, Zaturce, Łuck, Włodzimierz Wołyński, Kowel, Hołoby, Kiwerce... A także o wkładzie w rozwój Wołynia rodów magnackich: Czackich, Czartoryskich, Radziwiłłów lub Lipińskich. O wkładzie pracy współczesnych kapłanów katolickich – w większości z RP – w odrodzenie życia religijnego wspólnot parafialnych, odbudowę kościołów i cmentarzy (z przedwojennych 165 parafii w diecezji łuckiej obecnie działa 36).

Autor zwraca uwagę na konieczność ratowania zabytków kultury polskiej (i łacińskiej), materialnej i duchowej na wschód od Bugu. Temu celowi służą polskie towarzystwa oświatowo-kulturalne z najważniejszym wśród nich Stowarzyszeniem Kultury Polskiej na Wołyniu im. Ewy Felińskiej w Łucku. Przy omawianiu historii XX w. autor nie unika tematu mordowania ludności polskiej przez bandy OUN-UPA na Wołyniu i Polesiu Wołyńskim oraz masowej ucieczce bezbronnym Polaków i przesiedlaniu ich do powojennej Polski.

Na kartach książki odżywa dawny Wołyń z ośrodkami kultury, wielonarodowy, a obecnie prawie nieznanymi w społeczeństwie polskim. (DTS)

📖 Ukazała się kolejna książka o charakterze wojskowo-wspomnieniowym pt. **Frontowe drogi i bezdroża** (Warszawa 2008). Autorem jest **Władysław Kubów**, urodzony w 1923 r. w rodzinie polskich rolników we wsi Berezowica Mała koło Zbaraża na Podolu. Działal w ruchu oporu AK i Samoobronie. Był świadkiem masowego mordu dokonanego przez banderowców w lutym 1944 r. na ludności polskiej w rodzinnej wsi (zginęło 131 osób). Przeżył on i rodzina – dzięki ucieczce do Tarnopola. Po zajęciu terenu przez Armię Czerwoną rodzina wróciła na kilka miesięcy do rodzinnej wsi. Natomiast autora w kwietniu 1944 r. powołano do tworzonej polskiej oddziałów wojskowych. Po wstępnej selekcji został skierowany do szkoły podoficerskiej w mieście Sumy na Wołyniu.

Ciekawie opisuje codzienne życie w szkole podoficerskiej w bardzo trudnych warunkach okresu wojennego w Związku Sowieckim. Zwięzłym stylem, ale dokładnie, relacjonuje kolejne etapy swej kariery wojskowej. Rzetelnie pisze o składzie narodowościowym w wojsku, o polskich wątkach i zwyczajach w wojsku w latach 1944–45. Np. obchodzone święta 3 Maja, 11 Listopada, Bożego Narodzenia, Nowy Rok. Żołnierze dopominali się o opiekę duszpasterską, ale kapelanów było mało. Pogadanki szkoleniowe prowadzili *politruki* – przeważnie Polacy pochodzenia żydowskiego.

Okres bezpośrednich walk frontowych autor odbył – począwszy od Nowego Roku 1945 – w ramach 17 Pułku Piechoty. Frontowa droga prowadziła przez Warszawę, Łódź, Poznań, Gorzów Wielkopolski, Wrocław, Nysę Łużycką i „operację berlińską”. Tam w kwietniu 1945 został ranny i skierowany do szpitala polowego. Wtedy nastąpił koniec wojny. Po zdemobilizowaniu osiedlił się na poniemieckim gospodarstwie w Poznańskiem. Później skończył szkoły, studia. Pułk – ale już bez autora – został skierowany do walki z siejącą pożogę i śmierć UPA na wschodnich ziemiach powojennej Polski. Brał udział w okresie od 28 IV do 29 V 1947 r. w akcji „Wisła”.

Autor podkreśla, że swą skromną książką chce upamiętnić i złożyć hołd tym, którzy polegali lub odnieśli rany w działaniach bojowych. Ponieważ osobiście nie przeżywał wysiedlenia z rodzinnej ziemi kresowej, poprosił żyjące 2 siostry, aby spisały dalsze

losy rodziny. Na końcu książki zamieścił ich szczegółowe relacje. Wynika z nich, że po przesunięciu się frontu na zachód w drugim półroczu 1944 r. znów wróciło mordowanie Polaków przez Ukraińców. Po kilku tygodniach ukrywania się ojciec z 2 córkami zgodził się na opuszczenie ojcowizny i przesiedlenie do powojennej Polski. Podróż i pierwsze miesiące na Lubelszczyźnie były niezwykle ciężkie.

Na końcu książki znajduje się zestaw fotografii i mapek, pamiątek ilustrujących wojenną drogę autora.

W notce biograficznej podano, że Władysław Kubów jest autorem i wydawcą 7 pozycji książkowych dotyczących życia na Podolu, w Berezowicy Małej i Zbarażu w strasznych czasach II wojny światowej.

(DTS)

📖 Do tematyki polskich dziejów na *niełudzkiej ziemi* nawiązuje książka **Andrzeja Kalinina** pt. **I Bóg o nas zapomniał** (wyd. „Arcana”, Kraków 2006). Jest to spisana przez autora autentyczna relacja Antoniego Tuchockiego, starszego strzelca WP, o jego dziejach po 17 września 1939 r. Książce nadano formę opowiadania bohatera w pierwszej osobie, kierowaną do autora książki. Cechą niezwykłą i ujmującą jest piękny kresowy język z charakterystyczną wymową i rusycyzmami. Oto fragment wstępu:

I tak panu dzisiaj opowiadać zamieruji o wszystkim, co w pamięci mojej zachowane zostało... Tyle lat już przeszło, tyle życia przewalko si, a one [obrazy] ciągle w człowieku siedzą. Więc o nich, obrazach tych, opowiadać panu zamieruji. O tym tylko, co widzieli oczy moi i uszy moi słyszeli. I nic poza tym. I to wystarczy.

Rzeczywiście, ilość wiadomości o życiu w niewoli w Związku Sowieckim wystarczy, aby wstrząsnąć czytelnikiem.

Książka składa się z czterech obszernych rozdziałów, czyli czterech obrazów, przedstawiających chronologicznie dzieje bohatera. Dzieje były takie, że aż dziś bierze na wytrzymałość jednego człowieka – starszego strzelca pochodzącego ze wsi kresowej.

Obserwatorem był bystrym. Mimo że relacjonuje niby bez emocji, ujawnia straszliwe wydarzenia i absurdy władzy sowieckiej. Natomiast jeśli udało się dostrzec w kimś

prawdziwe człowieczeństwo, z radością relacjonuje to także. Mimo iż przeżył klęskę wrześniową, niewolę, łagry, zsyłkę do Kazachstanu, głód, ciężką pracę, chorobę na granicy śmierci – zachował zasady moralne wyniesione ze swego środowiska i serce zdolne do kochania.

Podsumowaniem są ostatnie zdania książki: *Tamuj, gdzie ja był, przez osiem lat mordowano na wszystkie sposoby, za pomocą głodu, mrozu, tortur okrutnych, kuli w tył głowy, pracy katorżniczej, na łądzi, wodzi, bagnach, śniegach. Boże drogi, aż spamiętać nie można. Nawet szatan tyle okrutności wymyślić by nie potrafił.*

Książka przez swą autentyczność i formę językową zdecydowanie zasługuje na polecenie. (DTS)

📖 Nie omawialiśmy książek wcześniej wydanych:

- **Marian E. Wagner**, *Lwowski chłopaka na wojnie* (lata 1918–1921; Londyn 1982)
- **Zofia Kurzowa**, *Polszczyzna Lwowa i Kresów południowo-wschodnich do 1939 r.* (Państw. Wydawnictwo Naukowe, Warszawa–Kraków 1983)
- **Jerzy Habela i Zofia Kurzowa**, *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939 r.* (Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Warszawa 1989)
- **Zofia Kurzowa**, *Elementy kresowe w języku powieści powojennej* (Państw. Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975)
- **Adam Hollanek**, *Ja z Łyczakowa* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991)
- **Jan Parandowski**, *Kiedy byłem recenzentem* (część; Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1963)
- **Jan Parandowski**, *Zegar słoneczny* (wyd. „Czytelnik”, Warszawa 1953)
- **Irena Parandowska**, *Dzień Jana* (część; wyd. „Iskry”, Warszawa 1983)
- **Tadeusz Kielanowski**, *Prawie cały wiek dwudziesty* (Krajowa Agencja Wydawnicza, Gdańsk 1987)
- **Władysław Łoziński**, *Opowiadania imć pana Wita Narwoja* (wyd. „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1951)
- **Witold Szolginia**, *Dom pod żelaznym lwem* (Instytut Wydawniczy „Pax”, 1971)

- **Witold Szolginia**, *Na wesolej Lwowskiej Fali* (Wydawnictwo „Polonia”, Warszawa 1991)
- **Bronisław Dąbrowski**, *Na deskach świat oznaczających* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977)
- **Horacy Safrin**, *Przy szabasowych świecach* (I t. Wydawnictwo Łódzkie, 1988; II t. „Omega”, Warszawa 1990)
- **Jerzy Michotek**, *Tylko we Lwowie* (wyd. „Omnipress”, Warszawa 1990)
- **Grzegorz Hryciuk**, *Polacy we Lwowie* (wyd. „Książka i Wiedza”, Warszawa 2000)
- **Lew Kaltenbergh**, *Ułamki stłuczonego lustra* („Czytelnik”, Warszawa 1991)
- **Adam Lenkiewicz**, *Na nartach w Czarnohorze* (wyd. PTTK „Kraj”, Warszawa–Kraków 1990)
- **Józef Wittlin**, *Mój Lwów* (wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1975)
- **Wacław Szetelnicki ks.**, *Zapomniany lwowski bohater* (Rzym 1983)
- **Jacek Bryl**, *Wacek Kuchar* (Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1982)
- **Janusz Wasylkowski**, *Antologia piosenki lwowskiej ulicy* (wyd. „Kalambur”, Wrocław 1987)
- **Marian Tyrowicz**, *Wspomnienia o życiu kulturalnym i obyczajowym Lwowa* (wyd. Ossolineum, Wrocław 1991)
- **Marian Tyrowicz**, *W poszukiwaniu siebie* (2 tomy; Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1988)
- **Jerzy Janicki**, *Ni ma jak Lwów* (Oficyna Literatów „Rój”, Warszawa 1990)
- **Stanisław Wasylewski**, *Lwów* (Wydawnictwo Polskie, Poznań 1931)
- **Kornel Makuszyński**, *Uśmiech Lwowa* (wyd. Oficyna „Cracovia”, Kraków 1989)
- **Bartłomiej Kaczorowski**, *Zabytki starego Lwowa* (Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990)
- **Zofia Ottawa-Rogalska**, *Lwy spod ratusza* (wyd. Ossolineum, Wrocław 1987)
- **Stefan Mękarski**, *Lwów. Karta z dziejów Polski* (wyd. Koło Lwowian, Londyn 1982)
- **Szczepko i Tońko**, *Dialogi* (reprint; wyd. Ossolineum, Wrocław 1989)

Teresa Konopka (TK),
Danuta Trylska-Siekańska (DTS),
Elżbieta Mokrzyńska

Wertując wydawnictwa

➔ W „Rzeczpospolitej” z 11–13 IV '09 przeczytaliśmy obszerny artykuł A. Rybak o **starej lwowskiej rodzinie Longchamps de Berier**, zatytułowany *Wybitnie polskie nazwisko* – szkoda, że nie najzgrabniej napisany (poczynając od każdorazowego powtarzania nazwiska razem z przydomkiem *de Berier*, co wypada sztucznie*).

O rodzinie tej pisaliśmy niejednokrotnie, także o pilotce Wandzie Olszewskiej z Longchampsów, o której akurat w tym artykule niewiele. Wspominaliśmy też o niemądrej argumentacji władz ukraińskich, że wśród profesorów lwowskich zamordowanych na Wulce byli nie tylko Polacy, bo przecież – Longchampsowie! Pozwoliliśmy sobie wtedy wyliczyć, ile krwi francuskiej mogą mieć dziś potomkowie tej rodziny. Wyszło, że nie więcej niż 2 promile, ale nie trzeba tego mylić z innymi promilami**.

Paradoksalnym faktem jest bowiem, że rodzina Longchamps należy do najstarszych – ponad trzy i półwiekowych (od przelomu XVII/XVIII w.) – nosicieli rodowego nazwiska w historii Lwowa. Nie dorównują im wcale krakowscy Estreicherowie, z którymi nb. obie rodziny się spokrewniły na przełomie XIX/XX wieku***.

* Nieporozumieniem jest też parokrotnie użyta nazwa rodzinnego domu: *longszarówka*, zamiast *lonszanówka*.

** Rodzinę proszę o wybaczenie!

*** Matka Karola II Estreichera (o którym ostatnio głośno w Krakowie, bo wreszcie udało się odbudować jego dom na Woli Justowskiej) była z domu Longchamps.

➔ Z Gorzowa Wielkopolskiego nadeszła **nowa seria herbowych kart pocztowych** – długo oczekiwany Wołyń. Jesteśmy pełni uznania dla inicjatorów i twórców tych serii (ta jest już piąta, a poprzednio były trzy województwa wschodniomałopolskie oraz Polesie). Herby są niezwykle starannie opracowane graficznie (autor art. plast. Dariusz Szpakowski, rodzinnie związany z Grodnem), komentarz historyczny napisany kompetentnie. Równocześnie załączono 3 kartki z pomnikami lwowskimi:



Kilińskiego i Głowackiego oraz statwę św. Jana z Dukli.

Spośród 20 pocztówek herbowych prezentujemy tu cztery oraz jedną z pomnikiem. Chętni do nabycia – najlepiej zbiorowo – mogą wysłać zamówienie pod adresem: Poczta Polska ORJ, 66-400 Gorzów Wkp., ul. Jagiellończyka 8, lub telefonicznie: p. Robert Kulik 0-95 / 721-02-29. Z Krakowa zbiorowe zamówienie może wysłać TMLiKPW, Oddział Krakowski.

➔ Od mec. A. Redzika otrzymaliśmy kolejny numer „Palestry” – pisma adwokatery polskiej, które już opisywaliśmy, cytując zawarte tam leopolitana. Nadesłany teraz numer 11–12/08 zawiera niezwykle ciekawy dla nas artykuł dra Adama Redzika pt. „Reforma sądowa”, z wyjaśnieniem w podtytuł: *Od miesięcznika poświęconego nowym ustawom procesowym do organu Krajowego Związku Sędziów*. Problematyka dotyczy przełomu XIX/XX wieku.

Pismo ukazało się we Lwowie w roku 1897, a jego twórcą, redaktorem i wydawcą był sędzia dr Romuald Aleksander Prawdzic-Lewandowski (1855–1908). Nowe pismo zyskało szybko poparcie lwowskich i krakowskich profesorów prawa. Związały się z nim tak znakomite nazwiska, jak dr Mau-

rycy Allerhand, Leopold Hauser (1844–1908, rodem z Kałusza, prezes Krajowego Związku Sędziów we Lwowie), Edward Nahlik. Ciekawostką dla nas będzie to, że redakcja pisma mieściła się kolejno przy ulicach Jagiellońskiej 14, Kurkowej 5 oraz na Sobieszczyźnie.

Pismo przestało wychodzić w r. 1908. Dopiero w 1933 roku, w Odrodzonej Polsce, ukazało się w Warszawie analogiczne pismo, idące tropem lwowskiej „Reformy Sądowej”.

➔ Trochę prędej niż dotąd ukazał się kolejny 17. numer „Czasopisma Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich” (z roczną datą 2007). Zeszyt ten zawiera nieco więcej materiałów *wschodnich* niż poprzedni (z datą 2005), gdzie więcej było tematyki ukraińskiej niż polskiej.

W tym numerze naszą uwagę zwracają trzy artykuły:

■ Relacje z przeprowadzenia gen. K. Sosnkowskiego w IX/X 1939 przez Karpaty Wschodnie na Węgry. Omawiając wędrówkę przez bezdroża powiatu dolińskiego i gorgańskie płaje, autorzy relacji dają niezwykle szczegółowe i barwne opisy terenu, którym przemykała się grupa osób w niebezpiecznym czasie.

■ O sytuacji ludności polskiej w rejonie czortkowskim w 1945 r. w świetle raportów obwodowego delegata rządu RP w Czort-

kowie. Warto zacytować krótki fragment relacji:

[...] *Dnia 1 VII [1945] odbyło się ostatnie nabożeństwo w jednej cerkwi, następnie została ona zamknięta. Nabożeństwo odprawia się obecnie na razie w drugiej cerkwi, ale jest zapowiedź i jej likwidacji.*

Dnia 7 VII władze sowieckie zamknęły 2 cerkwie w Romaszówce i Kosowie. Ksiądz obsługujący te dwie parafie wyjechał w nieznanym kierunku.

Fakty te zmuszają Ukraińców do zbliżenia się do Polaków. Oto w niedzielę 8 VII, w dzień po zamknięciu tych cerkwi, przyszło z tych wsi do kościoła w Chomiakówce wielu Ukraińców. Skłonni (jak opowiada nasz korespondent) są oni podać rękę do zgody. Zazdroszczą nam, że mamy możliwość wyjazdu na zachód. Kilku Ukraińców zjawiało się u naszego proboszcza z propozycją zmiany obrządku. [...]

■ O katalogu monet rzymskich, sporządzonym przez Wojciecha Kętrzyńskiego, dyrektora Ossolineum we Lwowie w latach 1876–1918. Katalog dotyczy kolekcji lwowskiej, której większość znalazła się we Wrocławiu. Co do innych zbiorów ossolińskich, to być może ok. 70% przedwojennych zasobów pozostało we Lwowie – dziś nie ma pewności, ile i gdzie się znajdują.

➔ Wpadła nam w ręce wspomnieniowa książka Jolanty Wachowicz-Makowskiej

Przed wojną Lwów pełnił rolę jednej z dwóch kresowych stolic Polski. Był też znamienitym centrum kultury promieniującej nie tylko na okolice, ale na cały kraj.

Miał też – jak pisał Jacek Kolbuszewski w Kresach – całkiem odrębne, niepowtarzalne oblicze. Choć wielu badaczy kultury próbowało pojąć fenomen tej indywidualności i odrębności, nikomu nie udało się jednak wyodrębnić wszystkich czynników, które sprawiły, że nie tylko mieszkańcy miasta, ale każdy, kto choć krótko przebywał we Lwowie, odczuwał jego niezwykłość. Niezwykłość krajobrazu, niezwykłość architektury, a przede wszystkim niezwykłość ludzi, którzy Lwów tworzyli i którzy Lwów kochali.

W przełomowym dla dziejów Polski dwudziestym roku Lwów stał się symbo-

lem heroizmu i wierności wobec Rzeczypospolitej. Odnajdując miasto-bohatera Orderem Virtuti Militari, Józef Piłsudski powiedział: „Lwów był najbardziej bez trwogi. Tu serca Polaków były najśmielej”.

Jedno z tych serc przywieziono do Warszawy, aby umieścić je w Grobie Nieznanego Żołnierza.

Lwów był miastem wielkich artystów, wspaniałej sztuki: malarstwa, literatury, poezji, teatru. Lwów był miastem wybitnych naukowców. To tam mieścił się zasłużony dla polskiej myśli Zakład Narodowy im. Ossolińskich, a z Uniwersytetu im. Jana Kazimierza oraz Politechniki wywodziły się najtęższe umysły i tam powstawały najznakomitsze prace ze wszystkich dziedzin wiedzy.

Świat zapamiętany (Warszawa 2002), która dotyczy rodzin w Polsce centralnej, ale i tam znalazł się rozdział **Ni ma jak Lwów**, który dotyczy kilku rodzin lwowskich spokrewnionych z autorką (ur. 1943 w Warszawie). Cytujemy wstęp do tego rozdziału – w ramce na poprzedniej stronie.

➔ Znany już nam dobrze – pisaliśmy o Nim parokrotnie – dyrektor Akademickiego Liceum i Gimnazjum w Nowym Sączu **dr Bogusław Kołcz otrzymał honorowy tytuł Profesora Oświaty**. To zaszczytne wyróżnienie zostało Mu udzielone za niezwykle rozwijający i skuteczny sposób nauczania, doskonałe wyniki oraz szerokie horyzonty, pozyskiwane równoległe do zdobywanej wiedzy.

Jedną z metod edukacyjnych stosowanych przez dyrektora i zespół nauczycielski szkoły jest organizowanie podróży dla młodzieży – w tym często poza jałtański kordon, co ułatwia przyswajanie i rozumienie całej historii Polski. Bardzo ciekawym pomysłem jest założenie w szkole *Izby Lwowskiej*, w której młodzież poszerza wiedzę o tym, co przez inteligenta polskiego nie może być zapomniane.

➔ Z końcem minionego roku ukazało się niezwykle interesujące i ważne wydawnictwo – **jednodniówka „Gregoriana”**, wydana przez Fundację Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich, a poświęcona dawnej i współczesnej tematyce ormiańskiej, jednak przede wszystkim arcybiskupowi Józefowi Teodorowiczowi – w 70. rocznicę jego śmierci. Tytuł jednodniówki nawiązuje do pisma ormiańskiego, jakie ukazywało się we Lwowie przed II wojną światową.

W numerze (formatu gazety) znajdujemy więc całą serię przedrukowanych po 70 latach tekstów o Arcybiskupie, jego życiu i działalności, a także jego wypowiedzi i wspomnienia o Nim. W drugiej części jednodniówki – artykuły o Ormianach w Polsce południowo-wschodniej oraz niezwykle ciekawa informacja o ratowaniu spuścizny Ormian polskich. Są też zdjęcia plansz z wystawy o Teodorowiczu w Warszawie w 70-lecie śmierci, kronika z 1939 r., a wreszcie ciekawostki: liczne ogłoszenia instytucji i firm ormiańskich z przedwojennej lwowskiej prasy.

➔ Prof. Tadeusz Riedl, nasz już parokrotny autor, nadesłał swoje ciekawe i ważne opracowanie – nadbitkę z tomu „Szkice Humanistyczne”, wydanego przez Olsztyńską Szkołę Wyższą (t. VIII, Olsztyn 2008) pt. *Materiały do historii tenisa w Polsce. Część II. Polscy tenisiści lwowianie i ich wyniki sportowe*.

Wprowadzając w temat, na samym wstępie autor stwierdza, że dwie dyscypliny lwowskiego sportu można uznać za najbardziej dla niego reprezentatywne: piłkę nożną i tenis. O ile wiele napisano już o tej pierwszej, o tyle o tenisie lwowskim ciągle brak wnikliwego opracowania. Profesor Riedl – sam jako doskonały kiedyś tenisista (zbierał laury głównie jako junior we wczesnych latach powojennych) podjął pierwsze kroki w kierunku stworzenia takiej właśnie monografii.

Autor przedstawia kolejne mecze krajowe i międzynarodowe, w których lwowscy tenisiści – także po ekspatriacji ze Lwowa – odnosili sukcesy. Wśród 15 omówionych osób dominują dwa nazwiska: ogólnie znany Józef Hebda (1906–1975) oraz Włodzisław Olejniszyn (postać ciekawa też stąd, że będąc pochodzenia rusińskiego czuł się Polakiem i ekspatriował się do powojennej Polski). Inne wybitne nazwiska to Władysław Kurman, Stefan i Kazimierz Kołczowie, Adam Baworowski.

Pierwsze sekcje tenisowe przy lwowskich klubach sportowych powstały w latach 1910–11. W r. 1921 zawiązał się ogólnokrajowy Polski Związek Lawn-Tenisowy, a do 9 klubów-założycieli należał KS Czarni Lwów. Pierwsze korty tenisowe znajdowały się w centrum Lwowa – przy ul. Pełczyńskiej.

➔ Nie najświeższa to wiadomość, ale różne ciekawostki docierają do nas rozmaicie – szybciej lub wolniej, zależy kto, co i kiedy nam nadeśle. Nie sposób przecież czytać wszystkich gazet – dzienników, tygodników czy miesięczników. Przy okazji prosimy więc Czytelników: nadsyłajcie nam wycinki z prasy, jeśli natraficie na tematy, które interesują nasz kwartalnik (systematycznie czytamy tylko krakowski „Dziennik Polski”, chętnie zaglądamy do „Rzeczypospolitej”, bo tam znajdujemy najwięcej satysfakcjonujących materiałów).

Wracając do rzeczy: w „Dzienniku” – ale nie tym krakowskim, lecz tzw. *niebieskim* – z 5–6 VII '08 znalazł się **ciekawy artykuł pt. *Ile lwów jest we Lwowie***. Autor (Z. Kraska) zajął się tym poważnym problemem i dowiedział się, że liczba ta wynosi 2942. Podobno ma się ukazać specjalny album, ale autor nie podał, kto i gdzie go przygotowuje. Potem pisze autor o Lwowie w ogóle, o jego zabytkach i historii, i co ważne, pisze po polsku (nie tylko językowo, ale z ducha). Przytacza naszych autorów, którzy o Lwowie pisali (Parandowski, Lem).

Wokół artykułu znalazło się szereg różnych drobnych notek informacyjnych o Lwowie.

Analogie

W „Rzeczpospolitej” z 7–8 II przeczytaliśmy, że jakiś dziennik białoruski, wychodzący w Brześciu nad Bugiem, ogłosił, iż **Polska chce zająć Kresy Wschodnie i rozbić Białoruś**. A oto ich miażdżąca argumenty:

- ziemie leżące na wschód od granicy nazywa się w Polsce Kresami Wschodnimi! (a przecież to bardziej prawdziwe niż nazywanie Grodna lub Nowogródka Białorusią);
- wprowadzono Kartę Polaka, aby ułatwić Białorusinom (?) polonizację, ponieważ do jej otrzymania trzeba znać język polski (czy to coś dziwnego?);
- w związku z powyższym w Brześciu otwarto szkołę języka polskiego, w której zatrudniono nauczycieli z Polski (nauczyciele z Polski mogliby też nauczyć Białorusinów języka białoruskiego, bo z tym na Białorusi jest problem – tamtejsza władza woli język rosyjski);
- chce ściągać do Polski najlepszych białoruskich specjalistów, stosując „drenaż mózgow” (tylko jacy to mogliby być specjaliści? Od propagandy?).

A wszystko to zmierzało podobno do utrudnienia zorganizowania przez Andżelikę Borys – której władza Łukaszenki nie uznaje – zjazdu Związku Polaków na Białorusi. Zjazd jednak się odbył, bo Łukaszenka zauważył, że bez polepszenia stosunków z Zachodem i UE (w tym z Polską) ani rusz.

INTERNET

➔ Mamy wielkie wyrzuty sumienia wobec p. Krzysztofa Bulzackiego, żarliwego lwowianina, zamieszkałego w Jeleniej Górze, który oddany jest bez reszty sprawom polskiego Lwowa i Małopolski Wschodniej, przede wszystkim dziejom, wydarzeniom i ludziom na styku polsko-ukraińskim. Ma swoją stronę internetową, zatytułowaną:

<http://www.odlwowadojeleniejgory.pl.pl>.

Strona zawiera podstrony: Strona główna, Lwów, Rody lwowskie, Sylwetki lwowskie, Towarzystwo Miłośników Lwowa, Eseje historyczne, Zbrodnie ludobójstwa na Kresach pld.-wsch., Propaganda i fałszerstwa ukraińskich nacjonalistów, Holocaust, Kontakt. I parę innych, mniej dla nas istotnych.

Ze strony internetowej K. Bulzackiego dowiadujemy się wielu ważnych i interesujących spraw z przeszłości i teraźniejszości, nie zawsze dla nas i dla ogółu dostępnych, bo rozrzuconych po wielu czasopismach, audycjach medialnych i stronach internetowych. Dlatego polecamy naszym Czytelnikom korzystanie ze wskazanej strony K. Bulzackiego.

A skąd wyrzuty sumienia, o których na początku? Stąd, że dopiero teraz reklamujemy tę stronę, jednak nawał pracy redakcyjnej bardzo nam utrudnia kontakt z wieloma ludźmi i ich działalnością.

Informacje z mediów

Uruchomiony został nowy pociąg z Wrocławia do Lwowa pod nazwą „Lwów Express”. Wagony klasy *lux*, z klimatyzacją, przedziałami sypialnymi 3- i 1-osob., z własnymi toaletami i prysznicami. Wagony mają samoczynną zmianę rozstawu kół, dzięki czemu pociąg (teoretycznie) może krócej stać w Przemyślu, a cała podróż ma trwać o 1,5 godz. mniej niż dotąd. Wyjazd z Wrocławia 17.35, Kraków 22.19, Przemyśl 2.15, we Lwowie o 6.03. Z powrotem: wyjazd ze Lwowa 23.59, Kraków 5.25, Wrocław 10.26. Koszt biletu z Krakowa 19,90 euro, do tego miejsce sypialne 14 i 44 euro. Zniżki dla dzieci, seniorów i grup.

W „Dzienniku Polskim” z 22 VI '09 G. Skowron podaje wiele informacji na temat zakupów we Lwowie, noclegów, obiadów, stanu ulic, chodników i torowisk tramwajowych itp. itd.

LISTY DO REDAKCJI



List z Wrocławia od naszej Autorki, pani Heleny Żołnierzowej:

Redakcja „Cracovia-Leopolis” zamieściła w numerze 4/2008 mój artykuł pt. *Groby przodków*, w którym przedstawiłam powojenne zniszczenia poniemieckich nagrobków, krematorium i urn w kolumbarium na cmentarzu grabiszyńskim we Wrocławiu po zakończeniu wojny. To był okres powojenny, świeżo w pamięci były zbrodnie popełnione przez Niemców. Mało było przemyśleń, więcej emocji.

Minęło trochę lat, przyszło nowe pokolenie. I oto w lecie 2008 stało się zadość pamięci tych, którzy spoczywają na Cmentarzu Grabiszyńskim i innych cmentarzach Wrocławia, niezależnie od wyznania. Zbudowano mianowicie w parku grabiszyńskim – naprzeciw czynnego cmentarza – ścianę pamięci: Monumentum Communis Memoriae (Pomnik Wspólnej Pamięci). Na ścianie pomnika umieszczono kilka płyt nagrobnych z oryginalnymi napisami. Na głównej płycie umieszczono spis zlikwidowanych we Wrocławiu cmentarzy różnych wyznań. Park jest uporządkowany, alejki zadbane.

Mnóstwo ludzi w różnym wieku zatrzymuje się pod ścianą. Pałą znicze, trwają w zadumie i odchodzą w skupieniu i zamyśleniu.

Odchodzimy, nie myśląc o tym, że chodzimy po ludzkich kościach, bo przecież cały ten teren był cmentarzem. I to nie tak dawno, bo starsi ludzie to pamiętają. Ale idąc tym tropem myślenia, to cała Ziemia jest wielkim cmentarzyskiem, jeśli weźmiemy pod uwagę jej wiek.

Za ten piękny dar należy się uznanie Władzom Wrocławia. A gdyby tak jeszcze stanęła jakaś ławka dla starszych ludzi. Może być kamienna, bo zwykła długo nie postoji.

To piękne i godne słowa. Przecież zwykli Niemcy odczuwają to samo co my, gdy wchodzimy na nasze stare cmentarze lub to, co po nich zostało na zabranych ziemiach wschodnich. Dobrze że pomyślano o naprawieniu bodaj małej części tego zła, które dokonano się przed kilkadziesiątu laty.

Otrzymałam z Gorzowa Wielkopolskiego list, którego nadawca podpisał się kryptonimem „Tomasz Lwów”:

Szanowna Redakcjo, przesyłam Wam wierszowany tekst *Najnowsza historia nie tylko Pol-*

ski, z prośbą o zamieszczenie go w Waszym kwartalniku, jeśli uznacie, że nadaje się on do druku. Jeśli za wydrukowany tekst należy się honorarium, to bardzo proszę o przekazanie go na budowę Pomnika Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA [...]

Szanowny Panie! Myśli zawarte w Pańskim utworze podzielamy całkowicie, jednak gdybyśmy mieli go wydrukować, to prosimy o podanie imienia i nazwiska oraz miejscowości zamieszkania, bez tego ani rusz. Chętnie poznalibyśmy też Pana wiek. Danych tych nie musimy publikować, jeśli by Pan sobie tego nie życzył.

Pytanie: czy tego samego tekstu nie wysłał Pan do innych czasopism kresowych? Trzymamy się zasady, że w pismach, które trafiają do tego samego środowiska czytelników, nie drukujemy tych samych tekstów w tym samym czasie.

Co do honorarium – to u nas nie istnieje, ponieważ pismo wydajemy z dotacji, która wystarcza na skład komputerowy i druk, a prace redakcyjne i teksty nie są opłacane.

Zasylamy pozdrowienia.

W jednej z gazet krajowych ukazał się niedawno nekrolog, powiadamiający o śmierci wiekowej Lwowianki, z następującą, pełną żalu, informacją: *...dwukrotnie wypędzona: z rodzinnego miasta oraz z NN [tu nazwa obecnego miasta zamieszkania] do YY [tu nazwa dalszej dzielnicy poza centrum tego miasta].*

Oczywiście jesteśmy pełni żalu wobec śmierci Lwowianki oraz współczucia dla rodziny, jednak trudno oprzeć się zgorzzeniu. Bulwersujące jest to, że zestawiono tak nieporównywalne sytuacje, jak wypędzenie milionów Polaków z ojczyrstych stron – z przeniesieniem rodziny z prywatnej kamienicy, (odzyskanej zapewne przez przedwojennego właściciela) – do mieszkania zastępczego, co dziś zdarza się niestety często i nie tylko ekspatriantom. Nie wątpimy, że ani zmiana dzielnicy ani metraż nie radują owej rodziny, jednak trudno porównywać ekspatriację z przeprowadzką.

Podjezwamy, że ów podwójnie smutny nekrolog został napisany przez osobę urodzoną po wojnie, która nie zaznała tragedii polskich Ziemi Wschodnich.

O Kazimierzu Sichulskim, myśliwych i kościele św. Elżbiety

dokończenie ze s. 19

ściwie widzi w tym Feliksie? ... No tak, Feliks ma w sobie dużo uroku. To miły człowiek” – powiedział. Miał rację, Wygrzywalskiego wszyscy kochali i to: za jego humor, wspinały dowcip, umiejętność wybrnięcia na wesoło prawie z każdej sytuacji, za jego wdzięk, urok, wiecznie młodzieńcze usposobienie i serdeczny stosunek do ludzi. Po tej małej dygresji Profesor polecił mi znowu szukać w spisie. Tym razem pod literą S. Sichulski – reprodukcje obrazów i opisy ich zarejestrowane były na kilku stronach: – „Znalazła pani? To ja! – pani Marysiu”. Na pożegnanie ofiarował mi z bardzo serdeczną dedykacją karykaturę Wygrzywalskiego, którą kiedyś naszkicował w czasie jednej ze swoich wizyt w Kunstaustellung.

Zbliżała się chwila zamknięcia sklepu. Jak zwykle o tej porze Profesor odchodził do domu. Ledwo drzwi zamknęły się za nim, usłyszałam jakiś hałas i krzyki. To kilku smarkaczy dreptało za Sichułą przedrzeźniając, naśladując jego chód, naśmiewali się z jego brody. Sichuła odwrócił się, machnął laską krzycząc: „Kusz, bękarty”. Dziesięć któregoś z nich po grzbiecie. Wybiegła dozorczyńni, matka któregoś z wyrostków i wezwała milicjanta. Ten z punktu zabrał Profesora na komisariat, który mieścił się po przeciwnej stronie ulicy. Działo się to wszystko w tempie kinematograficznym. Pobiegłam do lotnika Szkota. Ten bez chwili namysłu udał się na komisariat. W sklepie bezradni, z zapartym oddechem, czekaliśmy na wynik tej interwencji. Po pewnym czasie Józef Szkot wyszedł razem z Profesorem z budynku Komisariatu. Prowadził go pod rękę, pomógł mu wsiąść do wojskowego słowackiego samochodu i odwiózł go do domu. Od czasu tego wypadku, Sichuła nigdy nie był już sobą. Stracił tupet, przygarbił się, opuściła go dawna żywotność. Jakby przygasł. Odwiedzał nas coraz rzadziej, aż w końcu przestał zupełnie przychodzić. Zachorował. Był w szpitalu. Znajomi przynosili mi od niego krótkie liściki pisane na skrawkach papieru. Kiedyś poszłam go odwiedzić w szpitalu. Był to dzień zaduszny. Chciałam zostać tylko chwilę, gdyż zamierzałam iść

na cmentarz. Sichuła zaprotestował, nie pozwolił mi odejść. – „To ciężko chorego chce pani zostawić i iść do umarłych?” – zostałam. Przesiedziałam do późnego wieczora w jego szpitalnym pokoiku. Nie przypuszczałam, że widzę tego drogiego mi człowieka po raz ostatni w życiu. Wracałam do domu ze ściśniętym sercem. W sklepie wisiał tryptyk – „Wesele huculskie” – jeden z dawniej malowanych obrazów, pozostawionych na sprzedaż przez Profesora. Czasy były ciężkie, zastój w sklepie, obrazy nie szły, doniesiono mi, że Profesor wrócił do domu. Chciałam w jakiś sposób mu pomóc, sądząc, że może być w kłopotach finansowych. Pożyczyłam, od kogo tylko mogłam, pieniądze i zamierzałam tryptyk kupić. W sklepie zastąpił mnie na chwilę ktoś ze znajomych. Pojechałam na Zofiówkę, by wręczyć pieniądze. Dom zastałam zamknięty. Na dzwonki, kołatania i wołania nikt nie odpowiadał. Dopiero następnego dnia dowiedziałam się, że profesor nie żyje. Pani Sichulska wycofała ze sprzedaży wszystkie obrazy męża. Gdyby nie to, zaginęłyby i tryptyk, tak jak zaginęły wszystkie moje obrazy, a wśród nich dwa z dedykacją od dwóch bardzo mi drogich, nigdy niezapomnianych ludzi: Sichuły i Wygrzywały. Szłam z Feliksem Wygrzywalskim i inż. Adamem Wojtanem za trumną wielkiego malarza, człowieka oryginała, czasami opryskliwego, czasami gburowatego, lecz w pojęciu nas wszystkich, którzyśmy go kochali – człowieka czarującego.

Kazimierz Sichulski został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie w grobowcu rodzinnym Langnerów. Potwierdzają ten fakt córki malarza. W kartotekach administracji cmentarza Łyczakowskiego na żadnej nie figuruje nazwisko profesora. Po 66 latach od jego śmierci coraz trudniej będzie ustalić dokładnie, w którym miejscu cmentarza spoczywa. Blisko głównej bramy tej nekropoli znajduje się również stary – wykonany z piaskowca – grobowiec SICHULSKICH – prawdopodobnie rodziców malarza (brak jest napisów, któreby pozwalały zidentyfikować pochowanych w nim zmarłych). Każdego przyjeżdżającego do Lwowa zachęcam do odwiedzenia kościoła św. Elżbiety i wspomnienia utraconego dorobku artystycznego Profesora.

Kaplica Hubertowska powstała dzięki wytrwałości i ofiarności małopolskich my- ▶

DLA HISTORII

Krakowski Oddział TMLiKPW istnieje już ponad 20 lat i wiele faktów idzie w zapomnienie. W naszym archiwum znaleźliśmy:

Schemat organizacyjny kół specjalistycznych i kół regionalnych w Oddziale TML-Kraków z pierwszego okresu jego istnienia

Koła specjalistyczne:

- Kombatantów, prowadzący Bolesław Jastrzębski
- Twórców, Aurelia Mikulińska-Korczyńska
- Architektów, Emilia Piastowska
- Adwokatów, Luise Pollak
- Istniało także przez krótki okres czasu koło Historyczne (prowadzący Andrzej Pankowicz).

Koła regionalne:

- Stanisławów i Ziemia Stanisławowska, prowadząca Krystyna Stafińska
- Tarnopol i Ziemia Tarnopolska, Wacław Obuchowicz

- Drohobycz i Zagłębie Naftowe, Leszek Reguła
- Żółkiew, Stanisław Z. Guga
- Sambor, Wacława Korzyn
- Stryj, Teresa Bielawska
- Złoczów, Roman Maćkowska
- inne, Andrzej Chlipalski
- nieco później dołączyło Koło Zaleszczyki.

Koła specjalistyczne nie wykazały aktywności i zamarły. Z kół regionalnych pozostały do dziś **Stanisławów** (prowadzi od początku Krystyna Stafińska), **Tarnopol** (kolejno Michał Lasocki, obecnie Anna Madej), **Stryj** (Wincenty Harmata, Wirginusz Lachowski, obecnie Eugeniusz Zychowicz) i **Zaleszczyki** (kolejno Jadwiga Schmidt, Zdzisław Buczkowski, obecnie Krystyna Palenica). Koła Drohobycz, Sambor i Złoczów usamodzielniały się, koło Żółkiew zamarło. Dalsze koła nie powstały, ponieważ ekspatrianci z innych miejscowości włączyli się do istniejących kół.

► śliwych. Znajdowała się u podstawy prawej frontowej wieży kościoła. Wewnątrz kościoła przylegała do transeptu na osi bocznej, prawej nawy. Wejście do kaplicy było zamknięte ostrołukowo i oflankowane kolumnami z kapitelami w kształcie stylizowanego liścia. Od strony nawy była zamknięta kutą mosiężną kratą. Miała też bezpośrednie zewnętrzne wejście na południowej elewacji wieży kościoła.

Jej wyposażenia, tak jak wielu innych skarbów naszej kultury, nie można dziś odtworzyć.

Zachowajmy ją więc przynajmniej w naszej pamięci, bo zmarli nie wybaczą nam naszego zapomnienia.

* Maria Rolecka – brzmienie nazwiska niepewne, może to być również Roleska, Policka lub tp. Rozbieżność wynika z odczytania odręcznie pisanego tekstu (wyjaśnienie autora artykułu).

Fot. i reprodukcje autora

Post scriptum

Feliks Wygrzywalski, również ceniony i uznawany lwowski malarz, wraz

z Marią Rolecką, niedługo po tym pogrzebie opuszczą w dużym pośpiechu Lwów. Przed wyzwolicielami ze wschodu będą uciekać na zachód. Zatrzymają się w Rzeszowie – zamieszkali w kamienicy przy ul. Grunwaldzkiej 6. 5 września 1944 roku niespełna 70-letni F. Wygrzywalski nie przeżył doznanego tu wylewu krwi do mózgu. Pochowany został 7 września (w grobie ziemnym) na cmentarzu w rzeszowskiej dzielnicy Pobitno, natomiast Maria Rolecka dalsze swoje lata życia spędziła w Londynie.

Osoby mogące podzielić się wiedzą o losach obrazu z kaplicy Hubertowskiej św. Elżbiety, Proszę o kontakt – tel. +48 697 867 521

JANUSZ HODYR, ur. 1961 w Rzeszowie. Absolwent Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Rzeszowie. Pracę zawodową rozpoczął w 1981r. w Banku Spółdzielczym w Rzeszowie. 1991–2004 prowadził własną działalność gospodarczą. Od 1996 członek Polskiego Związku Łowieckiego, działający w strukturach Okręgowej Rady Łowieckiej PZŁ w Rzeszowie. Kronikarz Rzeszowskiego Okręgu PZŁ.

do Bibliografii Kresowej (jej ideę prezentowaliśmy w CL 1/09), bo tego dzieła podejmie się jedna z krakowskich uczelni. Nadal jesteśmy w kontakcie z Muzeum Niepodległości w Warszawie, które przygotowuje już II Spotkania z Kresami.

* * *

Sumując, mamy moralne prawo, by się wypowiadać. Można oczywiście różnie. Czytamy prasę, słuchamy RTV i czasem chciałoby się krzyżeć. Ale takie sprawy pozostawiamy innym, fachowcom od polityki. Możemy ich tylko prosić, by nas nie zawiedli. Za to my im i sobie samym chcemy dalej opowiadać o tym, co my wiemy, a oni nie. Bo każdą materię trzeba znać z różnych stron, także historię własnego kraju i narodu – z lewej i z prawej strony mapy.

Objaśnienie nazwisk do tableau ze s. 32

G r o n o n a u c z y c i e l s k i e, rząd 1 od góry (od lewej): Wilma Drohonowska, Maria Szerbowska, Maria Reissowa, Helena Kostecka, ks. dr Franciszek Konieczny, dyr. Ludmiła Maderowa, dr Janina Lehnertowa, N Sanjocowa, Anna Nikliborcowa, Maria Polakówna, Helena Rudnicka; rząd 2, w części środkowej (od lewej): Kazimiera Bilińska, wychowawczyni dr Helena Grzymirska, Maria Piątkowska.

A b i t u r i e n t k i, rząd 2 od góry (od lewej): Stanisława Olszewska, Ludmiła Gorzynik, Zofia Rzepka, Jadwiga Krzeczowska, Janina Gann, Helena Heber; rząd 3: Marta Binkowska, Elżbieta Smolka, Zofia Kryszczukajitis, Danuta Tiger, Krystyna Bałtowska, Zofia Maurer, Krystyna Bandyra, Jadwiga Teodorczuk, Anna Waligórska; rząd 4: Jadwiga Bedronek, Maria Jenke, Wanda Dąbrowska, Krystyna Piskozub, Krystyna Pruszyńska, Maria Czech, Stefania Kiwała, Irena Świerzko; rząd 5: Matylda Żarska, Janina Kucharska, Olga Shorr, N Szeps, N Mandel; brak Marii Kiniarz.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska.
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska, Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o kwartalnikach CL: Romana Machowska, tel. (12) 637 1321

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 3500, 294 1528, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

	Jerzy Kapłon KARPACKIE TOWARZYSTWO NARCJARZY	39
Słowo od redakcji KONIEC CZY KONTYNUACJA	II Zofia i Tadeusz Z. Bednarscy FRYDERYK PAUTSCH MALARZ LWOWSKO-KRAKOWSKI	46
Cytaty MIASTO JAK BRYLANT (7)	1 Marta Walczewska LWOWSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE	49
Depolonizacja Stanisław Kostecki ANI SŁOWA PO POLSKU LIST DO ARCYBISKUPA	Sylwetki 2 Feliks Budzisz 3 ZYGMUNT JAN RUMEL	53
Historia Tadeusz Krzyżewski SERCE LWOWA Andrzej Chlipalski PARĘ SŁÓW O LWOWIE ŚREDNIOWIECZNYM Dariusz Jania TWIERDZA RZECZYPOSPOLITEJ (1) Stanisław B. Skowroński DZIEŃ 22 WRZEŚNIA 1939 ROKU	Marta Walczewska WSPOMNIENIE O WIKTORZE POLISZCZUKU Janina Rawska-Bączkowska 4 MALCOLM SCOTT 5 Słownik geograficzno- -historyczny 9 M. Taszycka BIAŁOBOŻNICA ♦ CELEJÓW ♦ IWANIE 14 ♦ JABŁONÓW ♦ SUCHOSTAW ♦ WASYLKOWCE ♦ ŻURÓW	53 54 55
Janusz Hodyr O KAZIMIERZU SICHULSKIM, MYŚLIWYCH I KOŚCIELE ŚW. ELŻBIETY (2)	Z tamtej strony 17 RATOWAĆ KAMIEŃC PODOLSKI MATKA BOŻA STRYJSKA	56 57
Rozmowy Sylvia Palka ROZMOWA Z KS. W. DERUNOWEM	20 W Krakowie i dalej DWUDZIESTOLECIE POD WAWELEM NOTATKI Z ŻAŁOBNEJ KARTY	58 59 59
Wspomnienia Zofia Dudrówna WSPOMINAM KRYSYTNĘ Zbigniew Schneigert ZWYKŁA KAMIENICA Anna M. Komornicka WSPOMNIENIA Z CZASU WOJNY Anna Wnukowa MATURA, ROK 1939	24 Polacy z Polakami W ŻÓŁKWI 26 Naszym zdaniem 28 UJK TYLKO WE LWOWIE 31 Kultura ♦ Nauka RATUJEMY SPUŚCZYNĘ ORMIAN POLSKICH CHRYSTUS NAZAREŃSKI OD LWOWSKICH SS. BENEDYKTYNEK NA CMENTARZU ŁYCZAKOWSKIM KRONIKA	60 61 61 62 62 62
Wiersze Janusz Wasylkowski PATRZĄC Z WYSOKIEGO ZAMKU ♦ KŁOPOTLIWY BAGAŻ ♦ WIARA Alina Wołosiecka Al-Koni BRZEŻANY	33 Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	63 63 70
Proza Lew Kaltenbergh KREWNY ŚWIĘTEJ RODZINY	34 Listy	74